

Norman Spinrad

Opowiadania

W

Urodził się w 1940 r. w Nowym Jorku, od dłuższego czasu mieszka we Francji. Debiutował w 1963 r. na łamach "Astounding Science Fiction"; od tego czasu wydał kilka powieści i dwa zbiory opowiadań. W Polsce znany jest przede wszystkim jako autor znakomitego i nominowanego do Nebuli opowiadania "Coś pięknego" (*A Thing of Beauty*), zamieszczonego w II tomie "Rakietowych szlaków". Czyelnicy "Nowej Fantastyki" zapewne pamiętają również inne doskonałe utwory Spinrada: "Anioły R" (*Carcinoma Angels*, "F" 8/87) i "Jeździec na pochodni" (*Riding the Torch*, "F" 2/88).

Spis treści

| | |
|-------------------------|----|
| Anioły R | 03 |
| Wielki błysk | 09 |
| Ziele czasu | 24 |
| Wszystkie dźwięki tęczy | 29 |
| Jeździec na pochodni | 49 |
| Rok myszy | 93 |

Anioły R

Mając lat dziewięć, Harrison Wintergreen odkrył, że świat to jego broszka. Akurat w modzie było kolekcjonowanie kart baseballowych. Kto miał największą kolekcję, ten był Kimś. Harry Wintergreen postanowił, że zostanie Kimś.

Uskładał dolara i kupił za niego sto kart baseballowych, bez przebierania, jak leci. Miał szczęście: w jego setce znalazł się niezwykle rzadki egzemplarz, z Yogi Beerem. W wyniku trzech niezależnych transakcji, Harry wymienił pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć kart na jedynych trzech Yogi Beerów w okolicy. Tym samym zredukował swój stan posiadania do czterech kart, jednocześnie monopolizując rynek na odcinku Yogi Beery'ego. Wyśrubował cenę do zawrotnej wysokości osiemdziesięciu kart. Uzyskawszy w ten sposób olbrzymi majątek, tworzył kolejne monopole: na odcinku Willie Maysa i Pee Wee Reese'a, stając się w końcu J.P. Morganem od kart baseballowych.

W gimnazjum Harry'emu szło jak po maśle dzięki prostej a skutecznej metodzie polegającej na mistrzowskim opanowaniu jednej tylko umiejętności: sztuki zdawania testów. W ostatniej klasie potrafił przechytrzyć każdego autora testów za pomocą ściągawki przymocowanej na plecach, i z palcem w nosie zdobył szereg wyróżnień.

Na studiach Harry odkrył Dziewczyny. Jako chłopiec w miarę przystojny i w miarę obyty, z pewnością nawet zwykłym trybem zebrałby należny plon podbojów. Byłoby to jednak niezgodne z mentalnością Harrisona Wintergreena.

Harry starannie wypracował sobie umiejętność jąkania się na zawołanie. Niewiele dziewcząt potrafiło się oprzeć urokowi przystojnego, obytego faceta o ujmującym sposobie bycia, który, jak widać, musiał tłumić w sobie jakieś zadawnione rany, skoro się jąkał. Niejedna dziewczyna usiłowała zgłębić sekret Harry'ego, a Harry tymczasem zgłębiał je, jedną po drugiej.

Na drugim roku Harry'emu znudziły się studia i wymyślił sobie, że teraz zostanie Bogatą Świnią. Przez miesiąc pilnie studiował powieści o seksie po czym w ciągu dwóch następnych miesięcy sam napisał trzy takie powieści, które natychmiast spieniężył, biorąc po tysiąc za sztukę.

Uzyskawszy tą drogą trzy tysiące dolarów, kupił lśniącą limuzynę z otwieranym dachem. Nowym wozem udał się do granicy meksykańskiej, i dalej, do miasteczka przygranicznego, cieszącego się wyjątkowo złą sławą. Tam bezzwłocznie nawiązał kontakt z podejrzanym pucybutem i zakupił od niego funt marihuany. Pucybut zakapował go naturalnie do kontroli granicznej i kiedy Harry chciał przejechać mostem do Stanów, został przeszukany aż do majtek. Nic przy nim nie znaleziono i Harry przekroczył granicę. Z Meksyku nie szmuglował niczego, a rzeczoną marihuanę wyrzucił gdzieś, ledwie ją kupił.

Skorzystał natomiast z obowiązującego w Meksyku embarga na wozy amerykańskie i nielegalnie sprzedał tam swoją limuzynę za 15 000 dolarów.

Owe 15 000 dolarów zawiózł następnie do Las Vegas, gdzie spędził sześć tygodni na fundowaniu przygodnym towarzyszom po barach, udzielaniu pożyczek splukanym hazardzistom, krótko mówiąc - na działalności godnej Świętego Mikołaja. W ten sposób zdobył zaufanie pijackiej społeczności i stracił pięć tysięcy dolarów.

Pod koniec szóstego tygodnia miał dzięki nowym kolegom trzy pewniaki giełdowe, od których w ciągu następnych dwóch tygodni jego pozostałe 10 000 dolarów spuchło do 90 000.

Harry nabył czterysta zdezelowanych jeepów z demobilu, systemem hurtowym cztery razy po sto, płacąc po 10 000 dolarów za setkę i nie zwlekając odsprzedał je wyjątkowo niesławnemu rządowi Ameryki Środkowej za 100 000 dolarów.

Za sto tysięcy dolarów kupił wysepkę na Pacyfiku, na której nie było nic, do tego stopnia, że żaden rząd się do niej nie przyznawał. Harrison obwołał się tam niezależnym rządem, bez systemu podatkowego, a dwudziestu milionerom, którzy przybyli tam jak do podatkowego rajy rozprzedał 21-akrowe działki, po 100 000 za działkę. Ostatniej działki pozbył się na trzy tygodnie przed tym, jak Stany Zjednoczone, przy poparciu ONZ, wystąpiły z prawem własności wyspy i wciągnęły ją na listę klientów Państwowego Urzędu Podatkowego.

Niewielką część swoich 2 milionów dolarów Harry zainwestował w wynajęcie na dwanaście godzin dużego komputera. Komputer sporządził system zakładów, który pozwolił Harry'emu pomnożyć 2 miliony dolarów do 20 milionów, metodą rozbijania brytyjskich totalizatorów piłkarskich.

Za pięć milionów dolarów kupił od zubożałego sułtana olbrzymią połąć pustynnego ugoru. Za następne dwa miliony wzniecił szeroko zakrojoną kampanię plotkarską, która rozniosła wieść, że właśnie ten kawałek pustyni tryska wprost ropą naftową. Dołożył jeszcze trzy miliony na stworzenie lipnej spółki, która udawała wielkie towarzystwo naftowe i otwarcie składała mu oferty zakupu pustyni za 75 milionów dolarów. Po ożywionym przetargu, lipna spółka przegrała transakcję z liczącym się amerykańskim towarzystwem naftowym, które odkupiło od Harry'ego tysiąc mil kwadratowych piachu za 100 milionów dolarów.

I tak, mając lat dwadzieścia pięć, Harrison Wintergreen zasłużył, według własnych kryteriów, na miano Bogatej Świni. Stracił zainteresowanie dla pieniędzy.

Postanowił, że teraz będzie Czynić Dobro. I czynił Dobro: Obalił siedem niesympatycznych rządów w Ameryce Łacińskiej i zastąpił je sześcioma socjaldemokracjami oraz jedną Dyktaturą Dobrej Woli. Nawrócił plemię łowców głów z Borneo na wiarę Różokrzyżowców. Założył dwanaście domów opieki dla podstarzałych prostytutek i zorganizował program kontroli urodzin, który pozwolił wysterylizować dwanaście milionów płodnych kobiet hinduskich. Na powyższych przedsięwzięciach udało mu się zarobić kolejne sto milionów dolarów.

Mając lat trzydzieści Harrison Wintergreen dał sobie spokój z Czynieniem Dobra. Postanowił Odcisnąć Swój Ślad na Piaskach Czasu. I odcisnął. Napisał światowej sławy powieść o Królu Faruku. Wynałazł Filtr Wintergreena - membranę, która przepuszczała czystą wodę, jednocześnie zachowując sole. Zakład Desalinizacji Wintergreena odsalał nieograniczone zasoby wody, a koszt operacji w przeliczeniu na jeden galon był bliski zera. Namalował jeden obraz, za który z miejsca zaoferowano mu 200 000 dolarów. Podarował go Muzeum Sztuki Współczesnej. Wyhodował mutanta wirusa, który niszczył bakterie syfilisu. Podobnie jak syfilis, wirus ów przenosił się drogą płciową. Działał zarazem jako umiarkowany afrodyzjak. W ciągu osiemnastu miesięcy syfilis przestał istnieć. Harrison Wintergreen kupił sobie wyspę u wybrzeży Kalifornii - pięćsetstopowej wysokości skałę wysuniętą w głąb Pacyfiku. Kazał ją przekuć na pięćsetstopowej wysokości statwę Harrisona Wintergreena.

Mając lat trzydzieści osiem, Harrison Wintergreen naodcisnął już dość śladów w Piaskach Czasu. Czuł się znudzony. Chciał rozglądać się za nowymi światami do podboju.

Tego właśnie człowieka, kiedy miał lat czterdzieści, poinformowano, że ma zaawansowanego, nieuleczalnego raka z przerzutami i że pozostał mu jeden rok życia.

Pierwszy miesiąc ostatniego roku życia Wintergreen spędził na poszukiwaniu istniejących remediów na nieuleczalną chorobę raka. Odwiedzał laboratoria, uczelnie medyczne, szpitale, kliniki, Wybitnych Lekarzy, szarlatanów, ludzi, którzy doświadczyli cudownego ozdrowienia z raka, uzdrowicieli i babki-zielarki. Nie znalazł lekarstwa na śmiertelną odmianę raka, czy to oficjalnie akceptowanego, czy też nie. Tak podejrzewał, a właściwie nawet - taką miał nadzieję. Teraz już wiedział, że będzie zmuszony działać na własną rękę.

Przez najbliższych sześć miesięcy szykował sobie grunt do działania na własną rękę. Pośrodku pustyni w Arizonie polecił wznieść klimatyzowaną willę otoczoną murem. Willa

wyposażona była w automatyczną kuchnię i zapas żywności na rok. Mieściło się w niej laboratorium biologiczno-biochemiczne wartości pięciu milionów dolarów. Także biblioteka mikrofilmów zawierająca wszystko, co kiedykolwiek napisano na temat raka, wartości trzech milionów dolarów. Także superapteka: obfitość wszelkich istniejących środków medycznych trucizn, środków przeciwbólowych, halucynogennych, antyseptycznych, antybiotyków, leków na bóle głowy, heroiny, chininy, kurary, maści zmijowej - dosłownie wszystkiego. Apteka miała wartość dwudziestu milionów dolarów.

W willi był również radiotelefon, działający tylko w jedną stronę, spory zapas podstawowych chemikaliów, z radioaktywnymi włącznie, Koran, Biblia, Księga Tory, Księga Zmarłych, Nauka i Zdrowie z Kluczem do Pisma Świętego, I King, a także komplety dzieł Wilhelma Reicha i Aldousa Huxleya. Był tam również bardzo duży i superkosztowny komputer. Pod koniec urzędowania willi, zasoby Wintergreena przeznaczone na drobne wydatki były bliskie wyczerpania.

Mając dziesięć miesięcy na dokonanie tego, co świat medycyny uznał za niemożliwe, Harrison Wintergreen wkroczył w mury swej cytadeli.

Przez pierwsze dwa miesiące chłonał zawartość biblioteki, śpiąc po trzy godziny na dobę i regularnie zażywając benzedrynę. Biblioteka oferowała wyłącznie dane. Wintergreen przyswoił je sobie i przeniósł się do apteki.

Przez kolejny miesiąc wypróbował aureomycynę, bacitracynę, fluorek cynku, hexylresercinol, cortison, penicylinę, hexachlorophen, wyciąg z wątroby rekina i siedem tysięcy trzysta dwanaście innych cudów współczesnej medycyny. Wszystko bezskutecznie. Zaczął odczuwać bóle, które natychmiast zaczął uśmierzać - i odtąd już stale uśmierzał - morfiną. Uzależnienie od morfiny było banalnym skutkiem ubocznym jego choroby.

Wypróbował szereg środków chemicznych: pierwiastki radioaktywne, viricydy, metody nauki chrześcijańskiej, jogę, wlewy doodbytnicze, leki patentowe; wywary z ziół, zamawianie choroby i diety jogurtowe. Zajęło mu to kolejny miesiąc, podczas którego dalej słabł z dnia na dzień, śpiając coraz mniej, a zażywając coraz więcej benzedryny i morfiny. Nic nie skutkowało. Zostało mu sześć miesięcy.

Był bliski rozpaczy. Spróbował innym tropem. Zasiadł w wygodnym fotelu i przez czterdzieści osiem godzin bez przerwy kontemplował własny pępek.

Skutkiem medytacji było poważne - nadwężenie wzroku i dwa znamienne słowa: "spontaniczna remisja".

Podczas dwumiesięcznych badań źródłowych, Wintergreen natknął się na wiele opisów przypadków w których nieuleczalny rak nagle się cofał, a pacjent, któremu już nie dawano żadnej nadziei, nagle okazywał się całkiem zdrowy. Nikt nie wiedział, jak to się dzieje, i dlaczego. Procesu remisji nie dawało się przewidzieć, ani też wywołać sztucznie, a jednak, co jakiś czas występował. Z braku naukowego wyjaśnienia nazwano go spontaniczną remisją. "Remisja" znaczy wyleczenie. "Spontaniczna" znaczy - diabli wiedzą, co ją wywołało.

Co przecież nie oznacza, że nie ma przyczyny. Wintergreen nabrał otuchy; stał się wręcz optymistą. Wiedział, że są na świecie ludzie, którzy wyszli z nieuleczalnego raka. A zatem nieuleczalny rak bywa uleczalny. A zatem cały problem przenosi się z rejestru rzeczy niemożliwych w sferę wysoce mało prawdopodobnych.

A dokonywanie tego, co wysoce mało prawdopodobne było wszak specjalnością Wintergreena.

Mając przed sobą mniej więcej sześć miesięcy życia, Wintergreen ochoczo przystąpił do dzieła. Ze swego kompletnego zbioru publikacji o raku wyluskał wszystkie opisy spontanicznej remisji. Każdy z nich zakodował do komputera: dane o historii choroby, rodzajach terapii, wieku, płci, religii, rasie, wierze, barwie skóry, narodowości, temperamencie, stanie cywilnym, współczynniku Duna i Brandstreeta, nerwicach, psychozach i ulubionym gatunku

piwa. Komputer Harrisona Wintergreena został tym samym zasiedlony pełnymi sylwetkami znanych historii medycyny istot ludzkich, wyleczonych z nieuleczalnego raka.

Wintergreen zaprogramował komputer na przeprowadzenie wszystkich możliwych korelacji między 10 tysiącami oddzielnych i rozmaitych czynników a spontaniczną remisją. W przypadku, gdyby którykolwiek z czynników - wiek, konto kredytowe, ulubiona potrawa, wszystko jedno co - korelował ze spontaniczną remisją, czynnik spontaniczności uległby usunięciu.

Za ten komputer Wintergreen wybuilił 100 milionów. Był to najdoskonalszy komputer na świecie. Wykonał zadanie w dwie minuty 7,894 sekundy. Odpowiedź przekazał Wintergreenowi w jednym dosadnym słowie:

– Negative.

Spontaniczna remisja nie korelowała z żadnym czynnikiem zewnętrznym. Była rzeczywiście spontaniczna: przyczyna nieznana.

Człowiek mniejszego ducha załamałby się w tym momencie. Człowiek myślący bardziej konwencjonalnie znalazłby się w kropce. Harrisona Wintergreena jakby kto na sto koni wsadził.

Jednym zamaszystym pociągnięciem wykluczył cały wszechświat zewnętrzny jako czynnik w procesie spontanicznej remisji. A zatem, w jakiś sekretny sposób, jedynie ludzki organizm i lub psychika mogły dokonać wyleczenia.

Wintergreen wyruszył na rekonesans i podbój wszechświata własnego wnętrza. Udał się do apteki i uwarzył trunek co się zowie. W największą z posiadanych strzykawek zlał co następuje: nowokainę, morfinę, kurarę, vlut – rzadko spotykaną truciznę z Azji Środkowej, wywołującą czasową ślepotę, olfactorcainę, produkowany wedle ściśle tajnej receptury neutralizator woni, który zażywają hodowcy skunksów, tympanolinę - narkotyk, który czasowo wyłącza nerwy słuchowe (używany głównie przez wojujących na długie mowy senatorów), sporą dawkę benzydryny, kwas lysergiczny, psilocybinę, meskalinę, wyciąg z peyotlu, siedem innych nie do końca zbadanych i ściśle zakazanych halucynogenów, oko pijawki i psi ozór.

Wintergreen wyciągnął się na swojej najwygodniejszej kanapie. Przemysł spirytusem miejsce w zagięciu lewego łokcia i naszprycował się wiedźmią polewką.

Serce załomotało. Krew wzburzyła się i poniosła tajemne chemikalia do wszystkich zakątków ciała. Nowokaina wyłączyła nerwy wszystkich zmysłów. Morfina zlikwidowała wszelkie doznanie bólu. Vlut spowodował pełne zaciemnienie. Olfactorcaina odcięła dostęp wszelkim zapachom. Dzięki tympanolinie Wintergreen ogłuchł jak sędzia kolegium do spraw kodeksu drogowego. Kurara go sparaliżowała.

Wintergreen znalazł się sam we własnym ciele. Nie docierały do niego żadne bodźce zewnętrzne. Popadł w stan kompletnej bezzmysłowości. Pokusa osunięcia się w błogą nieświadomość była nieodparta. Mimo że był człowiekiem wyjątkowo silnej woli, Wintergreen nie zdołałby utrzymać się w stanie świadomości bez pomocy. Olbrzymie dawki benzydryny nie pozwoliły mu zapaść w stan uśpienia.

Nie spał, był czujny, sam we wszechświecie własnego ciała, pozbawiony rozpraszającego działania wszelkich czynników zewnętrznych.

Nagle - jeden, drugi, a następnie w kombinacjach, jak ciosy dobrego, szybkiego boksera wagi lekkiej, uderzyły halucynogeny.

Organy zmysłów Wintergreena były co prawda unieszkodliwione, lecz ośrodki mózgu, odbierające dane zmysłowe działały nadal. To właśnie centra kory mózgowej zostały zaatakowane przez halucynogeny brawurową szarżą: Wintergreen ujrzał zwidy kolorów, kształtów, rzeczy bez nazwy i formy. Słyszał nieznośne symfonie, widmowe echa, wycia, od których można oszaleć. Przez jego mózg przetoczyła się chmara niesamowitych woni. Targało nim

tysiąc urojonych bólów i ciśnień, jak gdyby mu amputowano całe ciało. Ośrodki zmysłowe mózgu Wintergreena działały jak potężnej mocy odbiornik radiowy, nastrojony na martwą falę, pełną wzrokowych, słuchowych, zapachowych i dotykowych szumów bez żadnego znaczenia.

Narkotyki blokowały zmysły. Benzedryna podtrzymywała świadomość. Czterdzieści lat bycia Harrisonem Wintergreenem utrzymywało go w stanie opanowania i zdrowia psychicznego.

Przez niezdefiniowany czas poddawał się impulsom, próbując wyczuć obce, nowe nie-środowisko. Potem stopniowo, zrazu niepewnie, ale z rosnącą stanowczością, Wintergreen począł kontrolować rozwój procesu. Umysł jego wytwarzał nieprawdziwe, za to użyteczne, analogie do działań, które nie były działaniami, stanów istnienia, które nie były stanami istnienia, doznań zmysłowych niepodobnych do jakichkolwiek doznań zmysłowych, doświadczanych normalnie ludzkim umysłem. Analogie te, tworzone przez jego podświadomość na podobieństwo wykalkulowanego obłędu, na rzecz brutalnej przemiany niepojętego w uchwytne, pozwalały mu zarazem postępować z nie-środowiskiem, jakby to było środowisko, metodą przekładania zmian mentalności na ich odpowiedniki w konkretnych działaniach.

Wyciągnął analogo-rękę i przełączył nie istniejące radio na odbiór wewnętrzny: z martwej fali ubocznego wszechświata zewnętrznego na nieużywaną dotąd częstotliwość własnego organizmu, wszechświat wewnętrzny, będący jedyną ucieczką umysłu od chaosu.

Nastroił, wyczelował odbiór, wzmacnił ton, natężył się, poczuł, jak jego umysł uciska błona cienkości atomu. Z całą siłą napał na tę błonę, będącą analogią przezroczystego ekranu, który oddzielał jego umysł od wszechświata wewnętrznego, ekranu, który rozciągał się elastycznie, wybrzuszał do środka, stawał się coraz cieńszy... aż wreszcie pękł. Jego analogo-ciało przeszło na drugą stronę lustra jak Alicja w Krainie Czarów na drugą stronę zwierciadła.

Harrison Wintergreen znalazł się we własnym wnętrzu.

Był to świat cudów i ohydy, majestatu i śmieszności. Optyka Wintergreena, która przez analogię stała się ciałem wewnątrz jego rzeczywistego ciała, mieściła się w rozległej sieci pulsujących arterii, przypominającej monstrialne rozgałęzienie dróg i szos. Analogia skryształizowała się. Wintergreen istotnie prowadził samochód labiryntem szos. Z nabrzmiątych saków wypadały w sam środek gęstego ruchu rozmaite przedmioty: hormony, wydaliny, pokarm. Białe ciała krwi przemykały obok niego jak rozpędzone taksówki. Ciała czerwone posuwały się wolno i metodycznie, jak pojazdy solidnych mieszczan. Ruch wzmagął się i gęstniał, jak na skrzyżowaniu w godzinie szczytu. Wintergreen jechał naprzód i szukał, bezustannie szukał.

Dał sygnał skrętu w lewo, przeciął trzy pasy i skręcił w stronę węzła limfatycznego. I wtedy ujrzał to, czego szukał: stertę białych komórek, widok jak po karambolu dwunastu samochodów, w jego stronę mknął wyszczerzony od ucha do ucha motocyklista.

Motocykl – czarny. Skórzany strój – czarny. Twarz motocyklisty – czarna, matowo-czarna – z wyjątkiem pary szklistych krwistoczerwonych oczu. Na piersi i plecach kurtki motocyklisty nabite były szkarłatnymi ćwiekami litery, układające się w napis: "Czarne Anioły Raka".

Jednym dzikim zrywem Wintergreen nacelował swój analogo-samochód prosto na wymagowanego motocyklistę, prosto na komórkę rakową.

Trzaski Prask! Huk! Samochód Wintergreena zdruzgotał motocykl, motocyklista eksplodował w chmurę drobnutkiego czarnego pyłu.

Wintergreen dalej krążył po szosach własnego systemu krwionośnego, pełnym gazem prął przez arterie, przemierzał wstęgi żył, cał po cału przedzierał się przez wąskie uliczki naczyń włosowatych, cały czas wypatrując motocyklistów w czerni, Czarnych Aniołów Raka, których kruszył w pył pod kołami swojego wozu.

I oto znalazł się w mrocznej, wilgotnej puszczy własnych płuc, na grzbiecie śnieżno-białego analogo-konia, z wymagowaną lancą czystego światła w dłoni. Spoza gruzłowatych konarów rosnących drzew worków płucnych wzywały raz po raz krwiożercze czarne smoki o krwistoczerwonych oczach i drgających czerwonych jęzorach. Święty Wintergreen spiął konia ostrogami, opuścił ostrze lancy i jął nim dźgać smocze cielska, póki święty las płuc nie uwolnił się całkiem od smoków.

Teraz unosił się w przepastnej wilgotnej jaskini, widząc nad sobą niewyraźne bulwiaste zarysy gigantycznych organów, pod sobą zaś bezmiar połyskliwej, śliskiej równiny otrzewnej.

Spoza osłony wielkiego pulsującego serca wyleciała na niego z ogłuszającym rykiem formacja czarnych myśliwców ze szkarłatnymi oznaczeniami "R" na skrzydłach.

Wintergreen wcisnął gaz i wzniósł się ponad bandytów, kierując na nich ogień maszynowy, od którego najpierw pojedynczo, a potem po kilka naraz, myśliwce spadały w płomieniach na widniejące w dole pole otrzewnej.

Czarno-czerwony wróg atakował w tysiącu odmian i przebrań. Czerń – kolor zagłady, czerwień – kolor krwi. Smoki, motocykliści, samoloty, morskie stwory, żołnierze, czołgi i tygrysy, w naczyniach krwionośnych, w śledzionie, w klatce piersiowej, w pęcherzu - wszystko to były Czarne Anioły Raka.

Wintergreen toczył z nimi analogo-boje w równie licznych wcieleniach – jako automobilista, rycerz, pilot, nurek, żołnierz, przewodnik stada słoni, z ponurą radością dzikusa zaśmiewał pola bitwy własnego ciała czarnym pyłem upadłych Aniołów R.

Walczył i walczył, zabijał i zabijał, aż w końcu...

W końcu stanął po kolana w morzu soków trawiennych, bijących falą o ściany wilgotnej, piwnicznej jaskini, którą był jego żołądek.

Z przeciwka maszerował ku niemu na chitynowych odnóżach obrzydliwy czarny krab o krwistoczerwonych oczach, pokraczny, niezdarny, prymitywny.

Chrzęszcząc i klekocząc, krab spieszył ku niemu poprzez jego własny żołądek. Wintergreen przystanął, wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu i wyskoczywszy jak najwyżej w powietrze, wylądował obiema stopami na twardym czarnym pancerzu.

Jak wysuszona słońcem tykwa, krucha, pusta w środku, krab skruszył się pod jego ciężarem na milion pylistych cząstek.

Wintergreen został sam, nareszcie sam i zwycięski: Czarne Anioły Raka zostały co do jednego wytrzebione i pokonane.

Harrison Wintergreen, sam jeden we wnętrzu własnego ciała, po raz kolejny zwycięski i żądny nowych światów do podboju, czeka aż minie działanie narkotyków, czeka na powrót do świata, który przecież zawsze był jego broszką.

Czeka. I czeka. I czeka.

Wybierzcie się do najbardziej ekskluzywnego sanatorium na świecie: spotkacie tam Harrisona Wintergreena, który sam siebie uczynił Bogatą Świnia, Harrisona Wintergreena - Dobroczyńcę Ludzkości, Harrisona Wintergreena, który Odcisnął Ślad w Piaskach Czasu, Harrisona Wintergreena - katatoniczną roślinę.

Harrisona Wintergreena, który zstąpił do wnętrza własnego ciała, aby walczyć z Czarnymi Aniołami Raka i zwyciężył.

A teraz nie wie, jak wyjść.

przekład : Jolanta Kozak

Wielki Błysk

200 dni do godziny 0... odliczanie trwa...

Jak na mój gust, byli świrowaci – ale przecież o to biega w naszej branży, bo w biznesie rockowym „świrowaty” równa się „kasowy”. Dlatego też, jeżeli moja „Mandala” miała przetrwać rywalizację z „Amerykańskim Idealem”, lokalem należącym do sieci telewizyjnej, musiałem schować swój gust do szuflady i przebić w świrowaniu konkurencję. Przesłuchiwałem Jeźdźców Apokalipsy przez jakąś godzinę, a potem zaprowadziłem ich do biura, żeby obgadać z nimi sprawę szczerze i bez picu.

Zasiadłem przy swoim biurku z darów Armii Zbawienia („Mandala” to najkosztowniej-
sze z przedsiębiorstw z małym kapitałem), a Jeźdźcy zajęli jeden po drugim zbite razem krzesła, siadając wedle starszeństwa w zespole.

Najpierw klapnął ich herszt, gitarzysta solowy i wokalista Stony Clarke: blondyn z włosami do ramion i trupimi oczami, które odsłonił zdejmując ciemne cyngle w drucianej oprawce, mający opinię ostrego ćpuna, a w dodatku wyglądający na takiego, co koksuje na potęgę. Po nim Hair, perkusista, ubrany jak Piekielny Anioł, cały w swastykach itede, narkoman z fanatycznym wyrazem oczu osadzonych ciut za blisko siebie, co budziło we mnie wątpliwości, czy paraduje ze swastykami, bo rajcuje go Aniołowie, czy też przebiera się za Anioła, bo rajcuje go, że może nosić swastyki publicznie. Trzeci usiadł aparat tytułujący siebie, i to bez najmniejszej zgrywy, Super Czarnuchem: w uszach kolczyki, naturalny fryzur, podkoszulek a la Stokeley Carmichael, a na rzemyku zwisającym z szyi wyschnięta, skurczona głowa ludzka, wybielona pastą do butów w płynie. Robił u nich za multi – grał na sitarze, basówce, organach, flecie, czym się dało. Czwarty, który przedstawił się jako pan Jones, był najdziwniejszym okazem, jaki zdarzyło mi się spotkać w zespole rockowym, a widziałem niejedno. Był ich szpeniem od fajerwerków, dźwięku i elektroniki. Miał najmarniej czterdzie-
chę, ubranko w stylu Wczesny Hippis, wyglądające tak, jakby je szył na miarę u najdroższego krawca w Kalifornii, i – jak głosiła fama – rzucił robotę w Korporacji Randa zajmującej się modelowaniem „gier wojennych”. Tak, tak, nie ma to jak showbiznes.

– Dobra, chłopcy, modele z was, ale takie, jakie lubię. Gdzie przedtem graliście? – spytałem.

– Nigdzie, słonko – odparł Clarke. – Jesteśmy całkiem nowi. Ja handlowałem prochami i LSD w Haight Ashbury. Hair bębnił w jednym konfekcyjnym zespole w Nowym Jorku. Super Czarnuch twierdzi, że jest wcieleniem Charliego Birda, i nie radziłbym nikomu się z nim spierać. A co do pana Jonesa, to mówi niewiele. Może jest Marsjaninem. Dopiero co zaczęliśmy się zgrywać jako zespół.

Jedno jest pewne w naszej branży: grupę bez regularnego menażera można kupić tanio. Tamtych nie przegadasz.

– To git – powiedziałem. – Cieszę się, że zadebiutujecie u mnie. Nikt was nie zna, ale macie warunki, moim zdaniem. Dlatego zaryzykuję i wezmę was na tydzień. Granie od pierwszej w nocy do zamknięcia, czyli drugiej, od wtorku do niedzieli, czterysta tygodniowo.

– Coś ty, Żyd? – spytał Hair.

– Że co?!

– Przybastuj – polecił mu Clarke. – Rozchodzi mu się, że cztery stówki to bardzo kiepski pieniądz.

– Nie zgodzimy się na kontrakt z przedłużeniem – odezwał się pan Jones.

– Jonesio dobrze gada – poparł go Clarke. – Pierwszy tydzień gramy za czterysta, ale potem już całkiem inna rozmowa, kapę wu?

Nie tak to sobie wyobrażałem. Gdyby odnieśli sukces, nie mógłbym sobie na nich po-

zwolić. Z drugiej jednak strony cztery stówki to niewielka forsa, a ja strasznie potrzebowałem taniego zespołu na zamknięcie wieczoru w „Mandalii”.

– Zgoda – powiedziałem. – Ale umawiamy się na gębę, że jak skończycie te występy, ja pierwszy gadam z wami o interesach.

– Słowo honoru – przyrzekł Stony Clarke.

Taka to i branża – polegaj, człowieku, na słowie honoru byłego handlarza narkotyków i koksownika.

199 dni do godziny 0... odliczanie trwa...

Wojskowymi, którym obojętne są cele, łatwo można manipulować, łatwo nimi kierować i łatwo ich dezorientować. Przez cele rozumie się zadania, które wyznacza władza cywilna. Cele to usankcjonowana domena cywilów, środki zaś to domena wojskowych. Zadaniem wojskowych jest osiągnąć wyznaczone cele przez jak najlepsze wykorzystanie środków, jakimi dysponują.

Stąd dezorientacja moich umundurowanych klientów z Pentagonu co do wojny w Azji. Cel określono jasno: wytepienie partyzantów. Jednakże cywile posunęli się za daleko i wtrącili do sprawy środków. Generałowie uważają to za nieuczciwe, za, żeby tak rzec, naruszenie umowy. W sposobie prowadzenia tej wojny, w polityce ograniczania stosowanych środków, zaczynają oni (bądź też frakcja najbardziej zaniepokojonych) upatrywać intrygę cywilów, której celem jest zamach na ich uswięcone zwyczajem przywileje.

Okoliczność ta źle służyłaby interesom kraju, gdyby nie to, że rosnące zaniepokojenie generałów pozwoliło mi na pogranie nimi tak, żeby przedstawili prezydentowi oba moje projekty. Prezydent zgodził się na realizację mojego głównego planu pod warunkiem, że z pomocą planu pomocniczego uda się odpowiednio urobić opinię publiczną.

Mój główny plan jest jasny i prosty. Nieprzyjaciel, wiedząc, że kiepskie warunki pogodowe udaremniają naszemu lotnictwu konwencjonalnemu skuteczność rażenia, bowiem wymaga to stosunkowo dużej dokładności, opracował taktykę grupowania swoich sił w większe oddziały i co roku w porze deszczowej podejmuje mordercze kontrofensywy. Te zwiększone oddziały są jednakże bezbronne wobec naszej taktycznej broni atomowej, której skuteczność rażenia nie zależy od dokładności. Przekonany, że względy polityki wewnętrznej w naszym kraju wykluczają użycie broni atomowej w nadchodzącej porze deszczowej, nieprzyjaciel ponownie utworzy oddziały wielkości dywizji albo większe. Ograniczone użycie taktycznej broni atomowej, nawet tak skromnej ilości jak dwadzieścia bomb stukilotonowych, zrzuconych jednocześnie i według ustalonego schematu, zniszczy co najmniej dwieście tysięcy żołnierzy nieprzyjaciela, innymi słowy blisko dwie trzecie wszystkich jego sił, w ciągu jednej doby. Atak ten będzie druzgocący.

Plan pomocniczy, od którego powodzenia zależy realizacja planu głównego, jest znacznie bardziej skomplikowany, bo ma bardziej wyrafinowany cel, który sprowadza się do tego, żeby naród zaakceptował, a w najlepszym wypadku wręcz domagał się użycia taktycznej broni atomowej. Trudno go będzie osiągnąć, ale mój plan, choć może się wydać niezwykły, jest sensowny i przy pełnym, choć nie całkiem jawnym poparciu wyższych dowódców wojskowych, określonych kół administracji państwowej i decydentów z kluczowych firm lotniczo-astronautycznych, środki, którymi obecnie dysponuję, powinny okazać się wystarczające. Wprawdzie ryzyko jest statystycznie znaczące, ale nie przekracza poziomu możliwego do przyjęcia.

189 dni do godziny 0... odliczanie trwa...

Uważam, że sieć telewizyjna zasłużyła sobie na to, żebym ją wyrolował. Oni mnie przecież wyrolowali, tak czy nie? Przygotowałem dla tych łobuzów cztery udane seriale, dwa z nich padły po trzynastu tygodniach i za to zesłali mnie na te galery! Do dyskoteki – dacie

wiarę? – zrobili mnie kierownikiem zaszranego klubu! Te szmondaki zrobiły ze mnie rentiera. A jak te handeleśy zachwalały, co to za git interes ten „Amerykański Ideał”. Dwaście procent od zysków, mówią. A do tego dostęp do wszystkich naszych zespołów i muzyków kontraktowych, wzbogacisz się, Herm. A ja, będąc akurat splukany, podpisałem umowę jak ten hebes, nie czytając odnośników i aneksów. Miałem wiedzieć, że prowadzą ten „Amerykański Ideał”, żeby mieć ulgi w podatkach? Miałem wiedzieć, że muszę korzystać z ich głównianych orkiestr i drętowych muzyków kontraktowych, a do tego bulić im ze swojej kiesy? Miałem wiedzieć, że ich numer to prowadzić „Amerykański Ideał” tak, żeby przynosił straty, a potem robić tam telewizyjny show, za co ja nie dostanę złamanego grosza? Wychodzi na to, że będę im prowadził lokal tracący zielone i żył z pensji, a tymczasem się będzie zgarniać szmal za show, za który ja będę w końcu bulił z własnej kieszeni.

Czy takie gnojki nie zasługują na wyrolowanie? Jak by mało było, że służę im za frajera do zmniejszania podatków, to jeszcze mówią mi, kogo mam angażować.

– Zakontraktuj tych Jeźdźców Apokalipsy, zespół, który ściąga tłumy do „Mandali” – zapodają. – Chcemy ich do programu „Wieczór w Amerykańskim Ideale”. To sensacja sezonu.

– Owszem, sensacja sezonu – mówię – a to znaczy, że kosztują fabrykę pieniędzy. Nie stać mnie na nich.

Pokazują mi na to kolejny odnośnik drobnym drukiem (przysięgam, że następnym razem przeczytam umowę przez lupę). Muszę angażować wszystkich, których każą, a koszty wpisać na swój szcrot! Takie coś nawet z Rotszylda zrobiłoby antysemitę!

Cóż robić, musiałem pójść do „Mandali” i podpisać kontrakt z tymi hippisami. Postarałem się tam przyjść po wpół do pierwszej, żeby być w tym domu wariatów tylko tyle, co konieczne. Ale nora! Bernstein kupił splajtowany klub na Sunset Strip, zburzył w środku wszystkie ściany i w tym, co zostało po zburzeniu, ustawił olbrzymi namiot. Zwykle białe płótno nad podłogą z klepek. Straszliwa tandeta! Na zewnątrz namiotu umieścił projektory, światła, głośniki, wszelkie elektroniczne bajery, środek zaś wyglądał jak otoczony ekranami kinowymi. Nie było tam nic więcej, jedynie ten namiot i goła podłoga, brakło nawet prawdziwej estrady – tylko zwykła platforma na kółkach, wtaczana tam i z powrotem przy zmianie zespołów.

Rozumiecie więc sami, że „Mandala” nie ściąga publiki z prawdziwą klasą. Zwłaszcza że przy tej samej ulicy działa „Amerykański Ideał” prowadzony tak, żeby przynosił ulgi podatkowe sieci telewizyjnej. Tutejsza klientela to cuchnący, zaprzysięgli hippisi, których ja nie wpuszczam do środka, i rozwydrzeni uczniowie szkół średnich, którym wydaje się, że modnie jest obracać się w towarzystwie tych łachmytów. Narkotyki sprzedaje się tam na potęgę. Policji nie podoba się ten lokal, więc robi naloty zwijając stamtąd zawodowych grandziarzy.

„Mandala” to prawdziwa jaskinia grzechu – wchodziłem do niej jak Żyd do arabskiej kazby. Ostatni z zespołów już wyszedł, a Jeźdźcy jeszcze nie wjechali, więc nadziałem się w tym zwariowanym namiocie na tłum hipów, z czego połowa nagranych LSD, trawką, amfetaminami i – o ile się na tym znam – proszkiem do prania; kandydatów na hippisów ze szkół średnich, przeważnie również zaćpanych i skorych do draki, oraz paru szurniętych asfaltów szukających bójkę z policją. Stali tam czekając, aż coś się zacznie dziać, niemalże gotowi się do tego przyczynić. Ja na wszelki wypadek stałem blisko drzwi. Nastrój był taki, że – jak to mówią – „miałem lęki”.

Wtem światła gasną i robi się ciemno jak w duszy dyrektora sieci telewizyjnej. Trzymam się za portfel, bo nie do mnie ta mowa, że w takim towarzystwie nie ma doliniarzy. A tu wokół egipskie ciemności i martwa cisza, trwająca przez jakieś dziesięć uderzeń serca. Czuję, jak coś mi łązi po kościach, wiem jednak, że to efekt jakichś poddźwięków, a nie mojej wyobraźni, bo wszystkie hipy stoją nieruchomo i nie słychać dosłownie nic.

I wtedy z ogromnego głośnika dobywa się odgłos bijącego serca, uderzającego tak głośno, że świdruje w zębach, lecz niespiesznie, dwakroć wolniej, może tak jak serce wieloryba. Mam wrażenie, że to, co wędruje mi po kościach, pulsuje w rytmie tego bicia, jakbym to ja sam był tym wielkim nieczułym sercem bijącym w ciemnościach.

Wtem na wciągniętej do środka estradzie pojawia się plama ciemnego, krwawego światła, tak nikła, że prawie podczerwona. Stoi tam czterech zbójowatych typów w zwariowanych czarnych szatach – takich, jakie nosi Demon Śmierci, wiecie – skąpanych niby we krwi w tym wstrętnym czerwonym świetle. Przerazający widok. Bum-ba-bum! Bum-ba-bum! Serce bije dalej, poddźwiękowe ciarki wciąż łązą po kościach, a hippisi gapią się na Jeźdźców Apokalipsy niczym zahipnotyzowane kurczaki.

Basista, prawdziwy afrykański małpolud z buszu, podchwytuje rytm bijącego serca. Dum-da-dum! Dum-da-dum! Perkusista zagłusza go rozsadzającą bębenki uszu kaskadą uderzeń w werbel. A wreszcie rozlegają się straszliwe, ogłuszające akordy gitary elektrycznej, nastrojonej tak, jak wrzeszczy duszony kot. Uang-ka-uang! Uang-ka-uang!

Okropne – czuję to w brzuchu, czuję w kościach. Uszy zamieniają mi się w jedną wielką pulsującą żyłę. Wszyscy mu się poddają, poddaję mu się ja. Bum-ba-bum! Bum-ba-bum!

Gitarzysta zaczyna śpiewać w rytm uderzeń serca ochryłym, przeraźliwym głosem, jakby konał:

– Wielki błysk... Wielki błysk...

Facet przy konsolce do efektów świetlnych grzebie przy niej i po ścianach namiotu zaczynają wpełzać pierścienie światła – niebieskie na dole, wspinając się w górę zielenieją, żółkną, pomarańczowieją, aż wreszcie, utworzywszy na suficie krąg, zmieniają się w rażącą neonową czerwień. Każde koło wspina się po ścianie dokładnie tyle, ile trwa uderzenie serca.

Oj, oj, co za potworne uczucie! Jakbym był tubką pasty do zębów, wyciskaną rytmicznie, i za chwilę miał wytrysnąć z siebie przez głowę pod sufit wraz z tymi kołami światła.

Jeźdźcy zaczynają stopniowo przyśpieszać granie. To samo bicie serca, ten sam grzechot perkusji, te same akordy, te same koła, ta sama basówka, to samo mrowienie w kościach, lecz nieco szybsze... Szybsze! Jeszcze szybsze!

Myślałem, że umrę! Wiedziałem, że umrę! Serce waliło mi jak szalone. Perkusja grzechotała jak karabin maszynowy. Pierścienie światła wciągały mnie po ścianach w czerwoną neonową dziurę.

Aj, aj, aj, coś niesamowitego! Wciąż szybciej i szybciej, aż głos wokalisty stał się krzykiem, bicie serca grzmotem, grzechot perkusji jękiem, dźwięki gitary sprzężonym wyciem, a kości zaczęły wyskakiwać z ciała...

W namiocie zapłonęły wszystkie reflektory i oślepiło mnie nagłe światło...

Ze wszystkich głośników dobiegł straszliwy grzmot eksplozji, tak potężny, że aż się zachwiałem..

Czułem, że wytryskuję z siebie przez głowę, i było mi cudownie.

A potem...

Wybuch przemienił się w łoskot...

Światła zbiegły się na suficie w jeden krąg, a wszystko inne utonęło w mroku.

Krąg światła przemienił się w ognistą kulę.

Dudnienie zaczęło cichnąć i ognistą kulę zastąpiły spowolnione zdjęcia chmury po wybuchu bomby atomowej. Obraz zniknął, na chwilę zapadły kompletne ciemności, po czym na widowni rozbłysły światła..

Co za numer!

Gwałt, co za zespół!

Tak więc po występie, kiedy dopadłem ich samych i dowiedziałem się, że nie mają menażera ani nawet stałego kontraktu w „Mandali”, zacząłem myśleć tak szybko, jak jeszcze

nigdy w życiu.

Mówiąc bez ogródek i ozdobników, zrobiłem sieć telewizyjną w cztery dupy. Podpisałem z Jeźdźcami kontrakt, który zrobił mnie ich menażerem i zapewnił dwadzieścia procent dochodów. Potem wynająłem ich do gry w „Amerykańskim Ideale” za dziesięć patyków tygodniowo, jako kierownik tego lokalu wypisałem czek, czek ten wręczyłem sobie jako menażerowi Jeźdźców Apokalipsy, a potem zrezygnowałem z murzynowania w sieci telewizyjnej zostawiając im dziesięć tysięcy do zapłaty, sobie zaś dwudziestoprocentowy udział w dochodach najbardziej wystrzałowego zespołu od czasu Beatlesów.

A jak, kto wojuje odnośnikami pisanymi petitem, od petitu ginie.

148 dni do godziny 0... odliczanie trwa...

– Nie widział pan jeszcze tej taśmy, prawda, dyrektorze? – spytał mnie Jake.

Był cholernie zdenerwowany. Kiedy dochodzi się do mojego stanowiska, szefa emisji, to człowiek przywyka, że podwładni zachowują się nerwowo w jego obecności, ale Jake Pitkin był kierownikiem działu scenariuszy w naszej sieci, a nie jakimś gońcem, i z pewnością powinien wiedzieć, jak się załatwia sprawy z dyrektorami na moim szczeblu. Czyżby plotka była rzeczywiście prawdziwa?

Siedzieliśmy we dwójkę w sali projekcyjnej. Wątpiłem, czy operator nas słyszy.

– Nie, jeszcze nie widziałem – odparłem. – Ale słyszałem dziwne historyjki.

Jake wyglądał jak śmierć.

– Na temat taśmy? – spytał.

– Na twój temat, Jake – odrzekłem, miłym uśmiechem pokazując, że nie przywiązuje wagi do tej plotki. – Że nie chcesz puścić tego widowiska.

– Zgadza się, dyrektorze – przyznał cicho.

– Czy ty wiesz, o czym mówisz? Bez względu na nasze prywatne gusta – osobiście uważam, że w tych Jeźdźcach Apokalipsy jest coś niezdrowego są oni w tej chwili największą sensacją muzyczną w kraju i ten podły złodziej Herm Gellman wydoił z nas ćwierć miliona dolarów za godzinny program. Dalsze dwieście tysięcy kosztowała nas jego produkcja. Kolejne sto tysięcy wydaliśmy na reklamę. Firmy finansujące ten program dają nam najwyższe stawki. Tak czy inaczej na ten show postawiono ponad milion. Oto ile forsy wezmą diabli, jeżeli go nie nadamy.

– Wiem o tym, dyrektorze – powiedział Jake. – Wiem też, że stracę przez to pracę. Proszę to rozważyć. Bo pomimo że wiem o tym wszystkim, to i tak jestem przeciwny emisji tej taśmy. Puszczę panu końcowy fragment. Jestem gotów zaryzykować posadę i mam pewność, że pan przyzna mi rację.

Ścisnęło mnie w żołądku. Ja też miałem przełożonych, a ich rozkaz głosił, że „Seans z Jeźdźcami Apokalipsy” pójdzie na antenę, koniec, kropka. Bez względu na wszystko. Działo się coś dziwnego. Zapłata za reklamy w tym programie nie miała precedensu, a finansowała go duża firma lotniczo-astronautyczna, która jeszcze nigdy nie wykupywała czasu na naszej antenie. Ale tak naprawdę to dręczyła mnie myśl, że Jake Pitkin stawia na szali swoją posadę, choć przecież nie ma opinii odważnego. Musiał być święcie przekonany, że go poprę, bo inaczej nie zdobyłby się na tyle śmiałości. Nie mogłem mu jednak zdradzić, że w tej sprawie nie mam najmniejszego wyboru.

– Dobra, puść ją – polecił Jake operatorowi przez interkom. – Obejrzy pan ostatni numer – wyjaśnił mi po zgaśnięciu światła w sali projekcyjnej.

Na ekranie:

Puste błękitne niebo na dźwiękowym tle leniwych akordów gitary elektrycznej. Kamera wędruje po kilku chmurach i kieruje się na bardzo odległe słońce. Kiedy słońce, które jest malutkim krążkiem światła, przesuwa się na środek ekranu, gitarze zaczyna wtórować monotonne pobrzękiwanie sitaru.

Kamera bardzo wolno robi najazd na słońce. Kiedy obraz słońca powiększa się, gitara stopniowo milknie, sitar zaczyna grać głośniej i dołącza do niego rytmicznie perkusja. Głos sitaru potężnieje, perkusja wzmacnia i przyspiesza rytm, a słońce wciąż rośnie. W końcu cały ekran wypełnia nieznośnie jasne światło, któremu towarzyszą oszalałe dźwięki sitaru i perkusji.

Na to wszystko, zagłuszając sitar i perkusję, nakłada się dyszący pożądaniem głos, który śpiewa:

– Jaśniejszy... niż tysiąc słońc...

Światło zanika, ustępując miejsca zbliżeniu pięknej ciemnowłosej dziewczyny z wilgotnymi ustami, a na ścieżce dźwiękowej pozostaje tylko cicho grająca gitara i zniżone głosy, nucące:

– Jaśniejszy... Boże mój, jaśniejszy... jaśniejszy niż tysiąc słońc... Twarz dziewczyny rozplywa się i zamiast niej widać postaci Jeźdźców

Apokalipsy w szatach Demona Śmierci, a towarzysząca twarzy dziewczyny melodia zmienia tonację na molową, wznosi się jęklonie, powiela echem akordy gitary elektrycznej i monotonne brzęczenie sitaru, przemieniając się w żałobną pieśń.

– Ciemnieje... ciemnieje świat...

Montaż krótkich ujęć, który trwa dokładnie tyle, ile trwa pieśń pogrzebowa:

Płonąca wioska w Azji, usiana zwłokami...

– Ciemnieje... ciemnieje świat... Stos trupów w Oświęcimiu...

– Aż wreszcie ściemnieje tak...

Olbrzymie cmentarzysko samochodów z wychudzonymi, skurczonymi Murzyniátkami na pierwszym planie...

– Że pewnie umrę...

Płonące getto murzyńskie w Waszyngtonie, a w tle Kapitol we mgle.

– Zanim przyjdzie brzask...

Nagle cięcie i widać w wielkim zbliżeniu wokalistę Jeźdźców, z twarzą wykrzywioną w stężałą maskę rozpacz i ekstazy. Sitar gra ze zdwojoną energią, gitara zawodzi, a on krzyczy, ile sił w płucach:

– Lecz daj mi przeżyć, zanim umrę, nadejdzie nicość, skonam...

Jeszcze raz pojawia się twarz dziewczyny, ale przezroczyta, prześwietlona oślepiającym żółtym światłem. Sitar przyspiesza rytm, wtóruje mu zawodząca gitara, a głos solisty wznosi się stopniowo i zamienia w oszalałe wycie.

– Ostatni wielki błysk, co rozświetli niebo... Widać już tylko oślepiające światło.

– ... bum! Świat się dokonał...

Przez jeden takt ekran wypełnia czerń, która zwolna zaczyna błękitnieć na horyzoncie.

– Nim przyjdzie śmierć, nacieszmy się ekstazą, co wyzwala... niszczy nasz chłód, sobkostwa wrzód i rozum w nas wypala... ostatni wielki błysk, ostatni ludzki skok, po którym nie nastąpi dalszy ciąg...

Raptem muzyka urywa się, jak nożem uciął, w pół taktu. A wówczas...

Ekran rozświetla olbrzymia kula ognia...

Słychać potworny huk...

Ognista kula zlewa się z atomowym grzybem, huk trwa. Kiedy przycicha, w środku olbrzymiej atomowej chmury pojawia się ogień i nakłada na nią mającą twarz ciemnowłosej dziewczyny.

Aksamitny głos, tak wzmocniony, że zagłusza huk, pełen obmierzłego szacunku śpiewa:

– Jaśniejszy... Wielki Boże, tak, jaśniejszy... jaśniejszy niż tysiąc słońc... Ekran zgasł i zapaliły się światła.

Spojrzałem na Jake'a. Jake na mnie.

– Ohyda – powiedziałem. – Prawdziwa ohyda!

– No i co, zgadza się pan, że to nie nadaje się do emisji? – spytał cicho Jake.

Przeprowadziłem w myślach szybką kalkulację. To ohydztwo trwało niecałe pięć minut... tak więc mój pomysł mógł się udać...

– Masz rację, Jake – powiedziałem. – Czegoś takiego nie puścimy. Wytniemy z taśmy ten numer, a pomiędzy pozostałe dołożymy po reklamówce. Wypełnimy w ten sposób brakujący czas.

– To na nic – powiedział Jake. – Kontrakt, który na nas wymusił Herm, nie pozwala na skróty. Ten program to niepodzielna całość – bierzemy wszystko, jak leci, albo nic. A poza tym cały ten show tak wygląda.

– Cały? Jak to cały?

Jake poruszył się niespokojnie na krześle.

– Ci goście są... to zboczeńcy, dyrektorze – oświadczył.

– Zboczeńcy?!

– Oni... zdaje się, są zakochani w bombie atomowej. Każdy utwór kończy się tym samym.

– To znaczy... że wszystkie wyglądają tak jak ten?

– Wreszcie pan pojął, dyrektorze. Albo nadamy godzinę tych szkaradziejstw, albo nic.

– Cholera!

Wiedziałem, co chcę powiedzieć. „Spal tę taśmę i spiszmy na straty ten milion”. Ale zdawałem sobie sprawę, że kosztowałyby mnie to posadę. Poza tym byłem pewien, że w pięć minut po opuszczeniu przeze mnie firmy wsadziliby na moje stanowisko kogoś, kto patrzyłby na sprawy tak jak oni. Nawet moi przełożeni chyba po prostu przekazywali Rozkazy przychodzące z Góry. Nie miałem wyboru. Nie było wyboru.

– Przykro mi, Jake – powiedziałem. – Nadamy to.

– Składałem wypowiedzenie – oświadczył na to Jake Pitkin, który nie miał opinii odważnego.

10 dni do godziny 0... odliczanie trwa...

– To jawne pogwałcenie traktatu o zakazie prób z bronią jądrową – powiedziałem.

W spojrzeniu podsekretarza stanu spostrzegłem tę samą konsternację, którą sam czułem.

– Nazwiemy to pokojowym wykorzystaniem energii atomowej, a Rosjanie niech sobie krzyczą – odparł.

– To szaleństwo.

– Możliwe – przyznał. – Ale pan ma swoje rozkazy, generale Carson, a ja swoje. Wydaje się góra. Czwartego lipca, punktualnie o ósmej pięćdziesiąt osiem wieczorem czasu lokalnego zrzuci pan pięćdziesięciokilotonową bombę na wyznaczony punkt naziemny na równinie Yucca w Newadzie.

– Ale co z ludźmi... z ekipami telewizyjnymi...

– Będą co najmniej dwie mile od granic strefy bezpieczeństwa. Lotnictwo strategiczne na pewno stać w „warunkach laboratoryjnych” na taką dokładność.

Zjeżyłem się.

– Ja nie kwestionuję fachowości żadnej z podległych mi załóg bombowych, które miałyby wykonać to zadanie – odparłem. – Ja kwestionuję samą jego zasadność. Kwestionuję sam sens tych rozkazów.

Podsekretarz stanu wzruszył ramionami, lekko się uśmiechając.

– Nie pan jeden – odparł.

– To znaczy, że i pan nie wie, o co w tym wszystkim chodzi?

– Wiem tylko to, co przekazał mi sekretarz obrony, a coś mi mówi, że on również nie zna wszystkiego. Wie pan przecież, że Pentagon głośno domagał się użycia taktycznej broni

atomowej do zakończenia wojny w Azji – wy z lotnictwa strategicznego żądaliście tego najgłośniejszy. No i wreszcie kilka miesięcy temu prezydent przystał warunkowo na plan użycia taktycznej broni jądrowej w czasie następnej pory deszczowej.

Gwizdnąłem. Cywilom wreszcie zaczął wracać rozsądek. Ale czy na pewno?

– Ale co to ma wspólnego z...?

– Chodzi o opinię publiczną – odparł podsekretarz stanu. – Warunkiem była zdecydowana zmiana opinii publicznej. Kiedy zatwierdzano ten plan, badania wykazywały, że siedemdziesiąt osiem i osiem dziesiątych procent ludności jest przeciwne użyciu taktycznej broni atomowej, dziewięć i osiem dziesiątych procent opowiada się za jej użyciem, a reszta jest niezdecydowana albo nie ma zdania. Prezydent zgodził się zatwierdzić użycie tej broni w nadal otoczonym ścisłą tajemnicą dniu – za kilka miesięcy od dziś – pod warunkiem, że do tego czasu zaakceptuje to co najmniej sześćdziesiąt pięć procent ludności, a aktywnie będzie się temu przeciwstawiać powyżej dwadzieścia.

– Rozumiem... Zwykły fortel, po to, żeby szefowie Połączonych Sztabów siedzieli cicho.

– Widzę, generale, że najwyraźniej nie wyczuwa pan atmosfery panującej w kraju – rzekł podsekretarz. – Po pierwszym występie telewizyjnym Jeźdźców Apokalipsy badania opinii wykazały, że dwadzieścia pięć procent ludności popiera użycie broni atomowej. Po drugim liczba ta wzrosła do czterdziestu jeden procent. Obecnie wynosi czterdzieści osiem. Tylko trzydzieści dwa procent ludności sprzeciwia się w tej chwili jej użyciu.

– Chce pan powiedzieć, że jakiś tam zespół rockowy...

– Zespół rockowy i otaczająca go bałwochwalcza cześć. Kraj zwariował na jego punkcie. Znaleźli się już naśladowcy. Nie widział pan tych znaczków?

– Tych z grzybem atomowym i napisem „Zrób to!”?

Podsekretarz stanu skinął głową.

– Wiem tyle samo co pan, czy Komitet Bezpieczeństwa Narodowego uznał, że szaleństwo wokół Jeźdźców można wykorzystać do urobienia opinii publicznej, czy też od samego początku byli oni jego własnym tworem. Tak czy owak, wychodzi na to samo – Jeźdźcy i uwielbienie, jakie ich otacza, zdobyli właśnie tę część społeczeństwa, która nieugięcie przeciwstawiała się broni atomowej: hippisów, studentów, kontestatorów, młodzież w wieku poborowym. Demonstracje przeciwko wojnie i użyciu broni atomowej ustały. Do wyznaczonych sześćdziesięciu pięciu procent brakuje nam już niewiele. Ktoś – może sam prezydent – uznał, że jeszcze jedno duże widowisko telewizyjne przesądzi o naszym przystąpieniu do ataku.

– Prezydent ma w tym swój udział?

– W końcu nikt poza nim nie ma prawa zatwierdzić użycia bomby atomowej – odparł podsekretarz. – Pozwalamy im wystąpić na żywo na równinie Yucca. Imprezę finansuje pewna firma lotniczo-astronautyczna, mocno uzależniona od kontraktów ministerstwa obrony. Pozwalamy im tam zwieźć żywą publiczność. Oczywiście ma w tym swój udział rząd.

– A lotnictwo strategiczne zrzuci atomówkę w samym finale tej imprezy?

– Właśnie.

– Widziałem któryś z ich występów w telewizji – przyznałem. – Moje dzieciaki to oglądają. Niesamowite... ale brała mnie wtedy chęć, żeby zadzwonił mój czerwony telefon alarmowy.

– Dobrze pana rozumiem – powiedział podsekretarz. – Niekiedy mam wrażenie, że kimkolwiek jest ten, kto za tym stoi, też dał się ponieść zbiorowej histerii... że ci Jeźdźcy kierują teraz tymi, którzy nimi kierowali... że to zamknięte koło. No, ale ostatnio byłem przemęczony. Wszyscy jesteśmy już bardzo zmęczeni tą wojną. Żeby tak wreszcie mieć ją już za sobą...

– Wszyscy chcielibyśmy zakończyć już tę wojnę, w ten czy inny sposób – powiedziałem.

60 minut do godziny 0... odliczanie trwa...

Otrzymałem rozkazy, żeby zebrać załogę Skrytej Ryby na bezpośrednią satelitarną transmisję z czwartego występu Jeźdźców Apokalipsy. Na pierwszy rzut oka może się wydać dziwne, że cała flota Polarisów otrzymuje rozkaz obejrzenia telewizyjnego widowiska, w grę wchodził jednak bardzo ważny czynnik – kwestia ducha bojowego marynarzy.

Służba na okrętach podwodnych Polaris działa stresująco. Wybiera się do niej samych najlepszych, a dobry marynarz pali się do akcji. Ale kiedy każe nam się działać, to z góry wiadomo, że idzie to na marne. Przeważnie zajmujemy się szlifowaniem umiejętności, z których nie wolno nam zrobić użytku. Odstraszanie to uzasadniona taktyka, ale potwornie uciążliwa dla żołnierzy zaangażowanych w nią bezpośrednio, uciążliwość jej zaś pogarszał jak dotąd negatywny stosunek rodaków wobec naszych zadań. Żołnierze, którzy w służbie ojczyzny szlifują swoje umiejętności do maksimum, a następnie z konieczności nie mogą ich użyć, mają prawo się oburzać, że są traktowani jak pariasi.

Dlatego przychylniejsze nastawienie społeczeństwa do nas dzięki, jak się zdaje, Jeźdźcom Apokalipsy uczyniło z nich jakby maskotkę floty Polarisów. Na swój dziwny sposób niejako przemawiają za nami i do nas.

Postanowiłem obejrzeć ich występ w centralce wyrzutni pocisków, gdzie cała obsługa musi działać w nieustannym pogotowiu, tak żeby móc wystrzelić je w ciągu pięciu minut od nadejścia rozkazu. Z marynarzami pełniącymi dyżur w tej centralce zawsze łączyła mnie silna więź, w przeciwieństwie do innych podkomendnych. Nie jesteśmy tam kapitanem i załogą, ale mózgiem i rękami. W razie nadejścia rozkazu ja decyduję o odpaleniu pocisków, lecz wykonują to oni. W takiej chwili dobrze będzie mieć kogoś przy sobie.

Po rozpoczęciu widowiska wszyscy utkwili wzrok w telewizorze zainstalowanym nad głównym pulpitem sterowniczym...

Ekran wypełniał wirujący spiralny wzór w kolorach metalicznie żółtym nałożonym na metalicznie niebieski. Słychać było monotonne brzęczenie, ni to sitaru, ni to elektroniczne, i miałem wrażenie, że dobywa się ono jakby z mojej głowy, a spiralny wzór wytrawia swój obraz wprost na siatkówkach moich oczu. Trochę mnie to bolało, ale za nic w świecie nie mogło zmusić do oderwania wzroku od ekranu.

I wówczas usłyszałem dwa głosy, nakładające się na siebie przemiennie.

– Wszystko naraz włącz...

– Wszystko naraz wyłącz...

– Włącz... wyłącz... włącz... wyłącz... włącz... wyłącz...

Głowa mi pulsowała – włączała się, wyłączała, włączała, wyłączała, włączała, wyłączała – a spiralny wzór rozświetlił się barwami zmieniającymi się wraz ze zmianą słów: żółtą na niebieskiej (włącz)... zieloną na czerwonej (wyłącz)... Włącz-wyłącz-włącz-wyłącz-włącz-wyłącz...

Włączony ekran... wyłączony mózg... Miałem wrażenie, że uderzam w jakąś niewidzialną błonę rozwieszoną pomiędzy mną a ekranem, tak jakby coś próbowało zawładnąć moją świadomością, a ja z tym walczyłem... Tylko po co z tym walczyłem?

Pulsowanie i śpiew przyspieszyły, „włącz” nie sposób było odróżnić od „wyłącz”, a wzrok nie nadążał za coraz szybszym migotaniem negatywów spiralnych powidoków, nakładających się na siebie coraz prędzej i rozsadzających mi głowę...

Śpiew i monotonna, brzęcząca muzyka urwały się i ujrzałem Jeźdźców Apokalipsy w czarnych szatach, którzy grali na jakimś podwyższeniu na tle czystego błękitnego nieba.

– Włączyłeś się – zaśpiewał kojąco pojedynczy głos.

Jeźdźców Apokalipsy było teraz widać bezpośrednio z góry i odkryłem, że stoją na

okrągłej estradzie. Kamera powędrowała wolno wzwyż, odjechała i zobaczyłem, że okrągłaстрада znajduje się na wysokiej wieży. Otaczał ją zwarty wielki tłum ludzi, którzy siedzieli na piaskowej pustyni ciągnącej się po bezkres.

– Włączyliśmy się, włączyli...

Znalazłem się pośród tego tłumu. Miałem wrażenie, że topi się on i spływa jak plastik, wylewając się z ekranu telewizora, żeby mnie pochwytać...

– Złączyliśmy się wszyscy razem...

Czułem się dziwnie i wspaniale... melodia przyspieszyła, nabrała dzikości, stała się ekstatyczna... kadłub Skrytej Ryby zdawał się rozpluwać... tłum na pustyni kołysał się w rytm muzyki... odległość pomiędzy nim a mną zanikała... ja byłem tam... tłum był tu... Bezpowrotnie...

– O tak, złączyliśmy się wszyscy razem... razem...

45 minut do godziny 0... odliczanie trwa...

Siedziałem z Jeremym wpatrując się w ekran telewizyjny i nie zwracaliśmy uwagi na siebie ani otoczenie. Nawet przy krótkich dyżurach i krótkich obchodach siedzący w tej jamie w ziemi człowiek, z tonami betonu nad głową, zaczyna czuć się bardzo dziwnie, on i jego partner z drugim kluczem, bo z braku zajęcia pozostaje im tylko snuć mroczne myśli i działać sobie na nerwy. Podobno jesteśmy najbardziej zrównoważonymi z ludzi, a przynajmniej tak nam mówią i chyba się nie mylą, bo przecież świat nadal istnieje. Chcę powiedzieć, że niewiele byłoby trzeba – starczyłoby dwóch gości na jednym dyżurze przy tych samych trzech raketach Minuteman – dwóch, którym jednocześnie odbija szajba, przekręcają swoje klucze w podwójnym zamku, naciskają trzy guziki... Bach! I trzecia wojna światowa!

To chora myśl, która nie powinna przychodzić nam do głowy, bo w przeciwnym razie ja zacznę obserwować Jeremy'ego, a Jeremy mnie i wpadniemy w błędne koło podejrzeń i lęku... Ale do tego nie dojdzie – jesteśmy za bardzo zrównoważeni, za bardzo odpowiedzialni. Dopóki pamiętamy, że tu, na dole, zdrowo jest mieć małego boja, nic nam nie zagraża.

Niemniej telewizor to dobry pomysł. Podtrzymuje naszą więź z zewnętrznym światem, urzeczywistnia go. Nic prostszego jak wyobrazić sobie, że centralka wyrzutni rakiet tu, na dole, to jedyny rzeczywisty świat i cokolwiek dzieje się tam na górze, jest bez znaczenia... Chora myśl!

Jeźdźcy Apokalipsy... ci faceci to prawdziwy wentyl psychiczny. Mam na myśli potrzebę pozbycia się tego napięcia, skończenia z nim raz na zawsze. Oglądając ich człowiek może to zrobić bez niczyjej szkody, poddać się jej ciałem i duszą. Podejrzewam, że to szaleńcy, że są wcieleniem szaleństwa, jakie drzemie w nas samych, i którego my tu, na dole, musimy się pilnie strzec. Jeśli ktoś podda się temu szaleństwu oglądając Jeźdźców, to zmniejsza się prawdopodobieństwo, że tu, na dole, ono wybuchnie. Chyba właśnie dlatego wielu z nas zaczęło nosić poza służbą te znaczki z napisem „Zrób to!”. Dowództwo nie ma nic przeciwko temu. Pewnie pojmują, że jest to rodzaj makabrycznego żartu dla wtajemniczonych, z którym jest nam łatwiej żyć.

Znów pojawił się obraz spirali, od którego rozpoczął się program, i monotonna brzęcząca muzyka. Pafff! Od razu wchłonął mnie z powrotem ekran, tak jakby wcale nie było przerwy na reklamówkę.

Potem zaś ujrzałem solistę w zbliżeniu, patrzącego na mnie z tak bliska jak Jeremy, ale jakoś bardziej rzeczywistego. Nieprzyjemny facet, z czymś takim w oczach, co nasuwało mi na myśl, że zna życie od najgorszej strony.

Za jego plecami zadudniła gitara basowa i odezwało się elektroniczne buczenie, od którego aż mi się włos zjeżył na głowie. Zaczął grać na gitarze – odpychająco, agresywnie. Także śpiewać, tak opryskliwym tonem, jakim mówi się w knajpie „Spadaj!” wywołując

bójkę.

– Starą zarznąłem, zgreda zadusiłem...

Słowom tym wtórowała powtarzająca się głośna fraza z akordów gitarowych, a na ekranie pulsowała jak obnażona żyła (czerwona na czarnym tle, czarna na czerwonym) wielka swastyka...

Zastąpiło ją zbliżenie Jeźdźców, błyskających niegodziwie oczami...

– Siostrę do drzwi kibla gwoździami przybiłem... Zza pulsującej swastyki dobiegały dźwięki gitary...

– Szczenię małe w betoniarze utopiłem... Dla samego wrzasku kota podpałem...

Na ekranie palił się leniwie wielki ogień, a śpiew solisty zamienił się w spowolniony, przenikliwy, udręczony lament.

– Boże, w środku mojej głowy rozgorzał ognisty pożar... O, tak, rozgorzał... w zatrutym środku mojej głowy pożar... Dajcie mi miotacz... a podpalę czyjeś nagie ciało, niechaj gorze... Płomień zamienił się w twarz krzyczącej Azjatki, biegnącej przez stojącą w ogniu wioskę i bijącej się rękami w plecy podpalone napalmem.

– Zdradzę wam prawdę... która w żyłach moich wrze... Człowiek to jedynie gruda błota... w której płomień pali się... Filmowa migawka ze zjazdu hitlerowców w Norymberdze: obracająca się swastyka, którą tworzą maszerujący żołnierze, wymachujący zapalonymi pochodniami...

Na tle tego zakrzywionego płonącego krzyża pojawia się lider Jeźdźców...

– Masz mnie dość, słonko? Czy nie słyszysz, jak ci wrzeszczy w łbie? Masz mnie dość, słonko? Czujesz, jak we szlamie topię cię?

Ujęcie Jeźdźców, którzy wyją nienawistnie...

– O, tak, potwór ze mnie, niuniu...

Widok z daleka tłumu oblegającego estradę, stojących, machających rękami, krzyczących bezgłośnie ludzi. A potem szybki najazd kamery ukazującej kalejdoskop twarzy, rozgąszczonych oczu, rozwartych ust, z których dobywa się wycie.

– Który się zwie po prostu...

Ujęcie Jeźdźców na tle oszalałego tłumu.

– Ludzkość!

Spojrzałem na Jeremy'ego. Bawił się kluczem, który zwisał mu z łańcuszka na szyi. Był zlany potem. Nagle spostrzegłem, że ja też się pocę i że mój klucz drga mi w ręku jak żywy.

13 minut do godziny 0... odliczanie trwa...

Jakie to dziwne: widzieć kapitana oglądającego z nami Jeźdźców Apokalipsy w centralce wyrzutni pocisków Skrytej Ryby. Siedzieć przy pulpicie sterowniczym i gapić się w telewizor, mając go tuż za sobą... Przeczuwałem, że wie, co przeżywam, i nie umiałem odgadnąć, co przeżywa on... a ogień, który we mnie płonął, stał się nieprzyjemnie oślizgły...

Zaraz po skończeniu reklamówki pojawiła się znów spirala i szuuu! – wessało mnie natychmiast w telewizor i przestałem się przejmować kapitanem i w ogóle czymkolwiek...

Pozostała wyłącznie spirala barwiąc się na przemian żółto i niebiesko, czerwono i zielono, a potem zaczęła się obracać coraz szybciej i szybciej, mieniać się różnobarwnie i wirując, wirując, wirując... Towarzyszyło temu jakby dzwonienie karuzeli na Coney Island, coraz szybsze, szybsze, szybsze, wirujące w koło, w koło, w koło, migoczące czerwono i zielono, żółto i niebiesko w nieustannym wirze...

Potężny szum przepływał przeze mnie, wciągając mnie w ten ustawiczny kołowrót; czułem, jak mięśnie mi się rozluźniają, wiotczeją, jak wiruję, wiruję, wiruję, cały zwiotczały, wiruję, wiruję, wiruję, ach, jak przyjemnie jest tak wirować, wirować, wirować...

Pośród rozmigotanego korkociągu barw w samym środku pojawiła się cętka bezbarwnego światła, nieruchoma, niezmienna, skupiająca wokół siebie kolorowy świat, który dostał

kręćka. Wirujące kolory wydawały melodyjny szum, a świetlna cętka nuciła mi piosenkę...

Świeciła daleko, w głębi długiego, wirującego szaleńczo tunelu. Śpiewny poszum przybierał na sile. Jaskrawa cętka poczęła zwolna rosnać. Bezwolny, zbliżałem się do niej, tunelem, wirując, wirując, wirując...

11 minut do godziny 0... odliczanie trwa...

Wirowałem, wirowałem bez ustanku w długim tunelu z pulsujących barw, wirowałem, wirowałem coraz bliżej krążka światła na jego końcu... Jakże miło byłoby wreszcie tam dotrzeć i nasycić się piękną szmerzącą melodią, która przeze mnie przepływała, a potem zapomnieć, że siedzę tu, w tej podziemnej jamie, z twardym mosiężnym kluczem w ręce, że siedzimy tu we dwóch, jak i Duke, w tej jaskini pod ziemią, zamienionej w barwną, migotliwą spiralę, co nie przestając ani na chwilę się kręcić dąży do powabnego światła na końcu tunelu, który wiruje, wiruje, wiruje...

10 minut do godziny 0... odliczanie trwa...

Krąg światła na końcu wirującego tunelu bez przerwy rósł, melodia wciąż się natężała, mnie było coraz bardziej błogo, kontury centralki wyrzutni pocisków Skrytej Ryby coraz bardziej się zacierały, a mnie w nieustannym wirze coraz mniej ciążyło brzemię dowództwa, aż poczułem się tak szczęśliwy, że chciało mi się płakać, wirując, wirując, wirując.

9 minut do godziny 0... odliczanie trwa...

Wirowaliśmy, wirowaliśmy... wirowałem ja, wirował Jeremy, wirowała nasza podziemna jama, a wirujący krąg światła na końcu tunelu był coraz bliżej... i nagle znalazłem się po jego drugiej stronie! W powodzi żółtego światła. Bładego metalicznie żółtego światła. A potem metalicznie błękitnego. Żółtego. Błękitnego. Żółtego. Błękitnego. Żółtego, błękitnego, żółtego, błękitnego, żółtego, błękitnego...

Czyste światło pulsowało... pobrzękiwała czysta monotonna muzyka. I wyczuwałem napis, którego nie byłem w stanie odczytać pomiędzy jednym a drugim błyskiem pulsującego światła – ani żółtego, ani błękitnego – znikający za szybko i zbyt niewyraźny, żeby go zobaczyć, ale ważny, ogromnie ważny...

Wtem odezwał się głos, który zdawał się śpiewać w mojej głowie, niemal tak, jakbym to ja sam śpiewał.

– O, o, o., wiedzieć chcę tak bardzo... O, o, o... wiedzieć chcę tak bardzo...

Wszystko pulsowało i migotało wokół tych słów, których nie mogłem odczytać, chociaż chciałem, musiałem odczytać i byłem tego bliski...

– O, o, o... Boże, naprawdę chcę wiedzieć to...

Błękitno-żółto-błękitny wszechświat przesłaniały dziwne amorficzne kształty, skrywając napis, który musiałem odczytać... Psiakrew, myślałem, czemu się nie usuną, żebym mógł poznać to, co muszę wiedzieć!

– Powiedz, powiedz, powiedz, powiedz, powiedz... muszę wiedzieć, muszę wiedzieć, muszę...

7 minut do godziny 0... odliczanie trwa...

Nie mogę odczytać tych słów! Czemu kapitan nie da mi ich odczytać!

– Wiedzieć muszę... muszę, muszę, muszę, czemu cierpię tak strasznie... – śpiewa we mnie głos.

Czemu nie zamilknie i nie da mi odczytać tych słów? Czemu one nie znieruchomieją? Lub po prostu odrobinę nie zwolnią? Gdyby odrobinę zwolniły, odczytałbym je, a wówczas wiedziałbym, co robić...

6 minut do godziny 0... odliczanie trwa...

Poczułem, że ściskam w spoczonej dłoni klucz... Zobaczyłem, że Duke obraca w palcach swój. Musiałem wiedzieć! Poprzez pulsujące błękitno-żółto-błękitne światło i nieczytelne słowa, które z potworną siłą przeciskały się do mojej świadomości, widziałem Jeźdźców Apokalipsy. Klęczeli, ze łzami w oczach spoglądali na coś w górę i błagali:

– Powiedz, powiedz, powiedz, powiedz...

A potem świat spowiły miękkie kłęby gęstego czerwono-pomarańczowego dymu i próbował z nich przemówić potężny głos. Ale nie mógł się wysłowić. Zacinał się i jęczał...

Wokół słów, nagle poczułem, że tych samych, które tak bardzo starał się wypowiedzieć głos, migotało żółto-niebiesko-żółte światło, a Jeźdźcy Apokalipsy klęczeli, błagając:

– Powiedz, powiedz, powiedz...

Przyjazny ciepły ogień tak bardzo starał się przemówić...

– Powiedz, powiedz, powiedz...

4 minuty do godziny 0... odliczanie trwa...

Jakie to słowa? Jaki to rozkaz? Wyczuwałem, że moi ludzie błagają mnie milcząco, żebym im powiedział. W końcu dowodziłem nimi i powiedzenie im tego było moim obowiązkiem. Miałem obowiązek się dowiedzieć!

– Powiedz, powiedz, powiedz... – błagały klęczące postacie w szatach wśród pulsowania trzepocącego mi w mózgu i już prawie mogłem odcyfrować słowa... prawie...

– Powiedz, powiedz, powiedz... – szepnąłem do ciepłego pomarańczowego ognia, który tak bardzo się starał, choć wciąż bezskutecznie, przybrać ostatecznie postać słów.

Moi żołnierze szeptali również:

– Powiedz, powiedz, powiedz...

3 minuty do godziny 0... odliczanie trwa...

Pytania te płonęły żółto i niebiesko w mojej świadomości.

CO CHCE MI POWIEDZIEĆ TEN OGIEN?! JAKICH SŁÓW NIE MOGĘ ODCZYTAĆ?!

Musiałem mieć do nich dostęp! Musiałem znaleźć do nich klucz!

Klucz... Mój klucz! Mój KLUCZ!!! Przecież zamek, który więził owe słowa, miałem tuż przed sobą! Włóż klucz do zamka... Spojrzałem na Jeremy'ego. Czyżby mi się zdawało – gdzieś, kiedyś, dawno temu – że Jeremy miałby powód, żeby mnie powstrzymać?

Ale Jeremy nie poruszył się, kiedy wkładałem do zamka swój klucz...

2 minuty do godziny 0... odliczanie trwa...

Dlaczego dowódca nie powie mi, jak brzmi rozkaz? Ogień zna rozkaz, lecz nie umie go wyrazić, myślałem. Od pulsowania rozboleła mnie głowa, ale wciąż nie mogłem odczytać słów.

– Powiedz, powiedz, powiedz – błagałem.

I wówczas zobaczyłem, że kapitan też o to prosi.

90 sekund do godziny 0... odliczanie trwa...

– Powiedz, powiedz, powiedz... – błagali Jeźdźcy, a słowa, których nie mogłem odczytać, płonęły mi w głowie.

Klucz Duke'a tkwił w zamku przed nami.

– Musimy to zrobić razem – dobiegł mnie z bardzo daleka jego głos. Ależ to jasne... nasze klucze... nasze klucze mogły nam otworzyć dostęp do tych słów!

Włożyłem klucz do zamka. Raz, dwa, trzy, obaj jednocześnie przekręciliśmy nasze klucze. Na pulpicie sterowniczym odskoczyło wieko. Pod nim znajdowały się trzy czerwone

przyciski. Na pulpicie zapłonęły trzy czerwone napisy „Uzbrojony”.

60 sekund do godziny 0... odliczanie trwa...

Marynarze oczekiwali po mnie, że wydam im rozkaz. Nie wiedziałem, jak on brzmi. Wspaniały pomarańczowy płomień starał się mi go przekazać, ale go przekazać, ale nie potrafił dobrać słów... Postacie w szatach modliły się do niego...

Wtem przez żółto-błękitne migotanie skrywające słowa, które musiałem odczytać, ujrzałem przeogromny tłum otaczający wieżę. Tłum ten stał, niemo błagając...

Wieża pośrodku niego zamieniła się w pomarańczowy płomień, który starał się wyjawić mi, jakie to słowa...

A płomień ten przemienił się w wielki grzyb skłębionego dymu i oślepiającego pomarańczowoczerwonego blasku...

30 sekund do godziny 0... odliczanie trwa...

Wielki słup ognia starał się przekazać Jeremy'emu i mnie, jakie to słowa, co mamy zrobić. Tłum krzyczał na całe gardło do ognistej chmury. Żółto-niebieskie światło widoczne w tle za grzybiastą chmurą migotało coraz szybciej. Już prawie mogłem odczytać słowa! Wiedziałem, że są dwa!

20 sekund do godziny 0... odliczanie trwa...

Czemu dowódca nam nie powie? Już prawie rozróżniałem te słowa! I wtedy usłyszałem, jak tłum otaczający piękną grzybiastą chmurę krzyczy:

– Zrób to!!! Zrób to!!! Zrób to!!! Zrób to!!!

10 sekund do godziny 0... odliczanie trwa...

– Zrób to!!! Zrób to!!! Zrób to!!! Zrób to!!! Czego oni od nas chcą? Może Duke to wie?

Marynarze czekali! Jak brzmi rozkaz?! Pochylili się nad guzikami do odpalania pocisków, czekając... Nad guzikami do odpalania pocisków?!... – Zrób to!!! Zrób to!!! Zrób to!!! Zrób to!!!

– Zrób to!!! Zrób to!!! Zrób to!!! Zrób to!!! – skandował tłum.

– Jeremy! – zawołałem. – Odczytałem je!

7

Moje ręce zawisły nad rzędem guzików do odpalania pocisków. „Zrób to!!! Zrób to!!! Zrób to!!!”, brzmiały słowa. Czyżby kapitan jeszcze nie rozumiał?

6

– Czego oni od nas chcą, Jeremy?

5

Dlaczego ta grzybiasta chmura nie wydaje rozkazu? zapytywałem siebie. Moi marynarze czekali!!! A przecież dobry marynarz pali się do akcji. I wtedy z ognistego słupa przemówił potężny głos:

– Zrób to!... Zrób to!... Zrób to!...

4

– Pozostaje nam tylko jedno, Duke.

3

– Załoga! Gotowi? Ognia!

2

– Tak, tak, tak! Jeremy...

1

Sięgnąłem do rzędu przycisków do odpalania. Wszyscy marynarze przy pulpicie sięgnęli do swoich. Ale nie prześcigną mnie. Będę pierwszy!

0

WIELKI BŁYSK

Przekład: Andrzej Grabowski

Ziele czasu

Oto ja, okrucz intelektu stanowiący moją świadomość, która istnieje gdzieś poza przestrzenią i poza czasem. Obiektywny czas trwania mojego życia to sto dziesięć lat, chociaż z mojego punktu widzenia jestem nieśmiertelny - świadomość mojej własnej świadomości nigdy nie ustanie. Jestem niemowlęciem, jestem dzieckiem, jestem młodzieńcem, jestem starcem konającym wśród bieli czystych prześcieradeł. Jestem wszystkimi okresami swojego życia, zawsze będę tymi okresami, zawsze byłem tymi okresami w miejscu, gdzie trwa mój intelekt, w wiecznej chwili oderwanej od czasu.

Jeden wiek i dziesięć lat - oto moja wieczność. Życie moje jest jak biografia zawarta w książce: niezmienna, niewzruszalna, stała w swojej długości i nieograniczona w trwaniu. Rodzę się 3 kwietnia 2040 roku, 2 grudnia 2150 umieram. Wszystkie wydarzenia zawarte pomiędzy tymi datami dzieją się w jednej chwili. Można by powiedzieć, że przeżywam je wciąż i wciąż, w nieskończoność. Ale nie jest to prawda. Przeżywam bowiem wszystkie chwile swoich stu dziesięciu lat jednocześnie i raz na zawsze...

Jakże więc mogę opowiedzieć swoją historię? Jak mam ją uczynić zrozumiałą? Nasz wspólny język opiera się na pojęciu czasu, które nie jest nam wspólne...

Dla mnie czas taki, jak wy go pojmujecie, nie istnieje. Nie przesuwam się chwila po chwili, chronologicznie, jak ślepiec wymacujący drogę w tunelu. Ja jestem jednocześnie we wszystkich punktach tego tunelu, a oczy mam szeroko otwarte. Czas jest dla mnie tym, czym dla was jest przestrzeń - środowisko, w którym mogę poruszać się w więcej niż jednym kierunku.

Jak wam to wytłumaczyć? Jak przekazać, by stało się to zrozumiałe? Wszyscy jesteśmy ludźmi zrodzonymi z kobiet, chociaż z drugiej strony macie ze mną mniej wspólnego niż z małpą czy z amebą.

Ale muszę wam jakoś o tym powiedzieć!

Dla mnie jest już za późno, było za późno, będzie za późno; zostałem uwięziony w pułapce tego wiecznego piekła i nie potrafię z niej uciec, nawet w śmierć. Moje życie jest niezmiennie i niewzruszalne, albowiem jadłem tempo - ziele czasu! Ale wy tego nie róbcie! Słuchajcie mnie! Zrozumcie! Nie jedzcie nigdy ziela czasu! Spróbuję wam to jakoś, po swojemu, wytłumaczyć. Nie ma sensu zaczynać od początku, gdyż nie ma początku ani końca. Są tylko ważne punkty w czasoprzestrzeni. Opiszę wam te punkty. Może wtedy zrozumiecie...

8 września 2050 roku. Mam dziesięć lat. Siedzę w gabinecie doktora Phippsa, dyrektora szpitala psychiatrycznego, w którym przebywam od ośmiu lat. 12 czerwca zrozumieli wreszcie, że nie jestem wariatem. Zrozumieli tylko tyle, ale i to wystarczy, by mnie zwolniono. Ale 8 września 2050 roku jestem jeszcze pacjentem szpitala psychiatrycznego.

8 września 2050 roku to dzień powrotu pierwszej wyprawy na Tau Ceti. Powrót jest transmitowany i dlatego siedzę przed telewizorem w gabinecie doktora Phippsa. To właśnie ekspedycja na Tau Ceti jest powodem mojego pobytu w szpitalu. Paplam o niej już od dziesięciu lat. Chcę, by statek poddano kwarantannie, by próbki roślin, które przywieziono, zostały zniszczone, by nie pozwolić na wsadzenie ich w glebę naszej Ziemi. Przez niemal całe moje życie traktowano to jako objaw schizofrenii, bo w końcu przed 12 lipca 2048 roku statek jeszcze nie wyruszył na Tau Ceti, a dopiero dzisiaj ma powrócić.

I nadszedł 8 września 2050 roku. Nadszedł dzień, o którym mówiłem od opuszczenia łona matki. Nadszedł i dlatego siedzę teraz sam na sam z doktorem Phippsem, podczas gdy na ekranie telewizora ukazuje się obraz statku opadającego na rozległą, betonową płytę.

Krzyknąłem wiedząc, że niczego to nie zmieni:

– Wytlumaczcie im! Zatrzymajcie! Doktorze, zatrzymajcie ich!

Doktor Phipps spogląda na mnie z zainteresowaniem. Jego małe niebieskie oczy wyrażają zarazem litość, zakłopotanie i strach. Dobrze zna mój przypadek. Na jego biurku obok przenośnego telewizora leży opaska teczka z historią mojej choroby, wypełniona setkami sprawozdań z sesji terapeutycznych. Na każdym z tych papierów jest wymieniona ta data 8 września 2050 roku. Wciąż powtarzam tą samą historię.

Statek na Tau Ceti wystartuje 12 lipca 2048 roku, powróci na Ziemię 8 września 2050. Ekspedycja odkryje, że wokół Tau Ceti krąży dwanaście planet... ale jedynie piąta przypomina Ziemię i posiada życie roślinne i zwierzęce... Ekspedycja dostarczy na Ziemię próbki nasion małej rośliny o szerokich, zielonych liściach i małych, purpurowych płatkach. Zostaje ona nazwana tempis ceti... bardziej jednak będzie znana pod nazwą tempo... i zanim jej właściwości zostaną poznane, nasiona ulegną rozproszeniu, zostaną rozsiane po całej Ziemi i wejdą w jej glebie. Gdzieś, kiedyś ludzie zaczną jeść liście tempa. Zmienia się. Będą mówili o przyszłości i będą uważani za szalonych, aż do nadejścia wypadków, o których mówili.

Tym samym roślina zostanie uznana za niebezpieczny narkotyk. Spożywanie tempa stanie się przestępstwem, ale tak, jak to bywa z owocem zakazanym, ludzie będą spożywać ją dalej i w końcu tempomani staną się najbardziej poszukiwanymi przestępcami na Ziemi. Rządy świata będą usiłowały wydrzeć z ich udręczonych umysłów tajemnicę przyszłości.

Wszystko to można znaleźć w historii mojej choroby, którą doktor Phipps tak dobrze zna. Przez osiem lat sądził, że jest to zastanawiająco spójna logicznie iluzja psychotyczna. Ale dzisiaj mamy 8 Września 2050 roku. I – jak przepowiedziałem – statek z Tau Ceti powrócił. Doktor Phipps patrzy na mnie beznamiętnie, podczas gdy do statku podsunęto zejściówkę i załoga wysiadła. Widzę, jak jego szczęki zaciskają się kurczowo, kiedy dziennikarze tłoczą się wokół kapitana, wysokiego i chudego mężczyzny niosącego mały worek.

Kapitan potrząsa głową zakłopotany natarczywością reporterów.

– Pozwólcie, że złożę najpierw krótkie sprawozdanie - mówi szorstko. – Oszczędzimy sobie wstępów.

Błada i szczupła twarz kapitana wypełnia ekran telewizora.

– Ekspedycja powiodła się – mówi. - Stwierdziliśmy, że układ Tau Ceti składa się z dwunastu planet. Piąta przypomina Ziemię. Tam też znaleźliśmy rośliny i życie zwierzęce, bardzo szczególne życie zwierzęce...

– Co pan rozumie przez słowo „szczególne” – wykrzykuje jeden z dziennikarzy.

Kapitan marszczy brwi i wzrusza ramionami.

– Przede wszystkim zwierzęta te wydają się trawożerne i żywią się jedynie pewnym gatunkiem rośliny, która dominuje w tamtejszej florze. Nie ma tam drapieżników. I nietrudno zrozumieć dlaczego. Nie wiem, jak wam to dokładnie wytłumaczyć, ale wszystkie te stwory zdają się wiedzieć z wyprzedzeniem, co zrobią inne zwierzęta. A także, co my zrobimy. Sądzimy, że ma to jakiś związek z roślinami, które jedzą. Myślę, że wpływają one w jakiś dziwny sposób na ich poczucie czasu.

– Dlaczego pan tak sądzi? - pyta jeden z reporterów.

– Nakarmiliśmy tymi liśćmi nasze zwierzęta laboratoryjne. I zdarzyło się coś dziwnego. Niemal niemożliwe stało się dotknięcie ich dłonią. Dlatego też doktor Lominov nazwał tą roślinkę tempis ceti.

– Jak wygląda ta roślina? – pyta inny dziennikarz.

– Noo... przypomina... Ale chwileczkę, mam tutaj jeden okaz kapitan sięga po worek i coś z niego wyciąga.

Zbliżenie kamery na rękę kapitana. Trzyma w niej roślinkę z delikatnymi korzeniami, szerokimi, zielonymi liśćmi i małymi purpurowymi płatkami.

Ręce doktora Phippsa zaczynają się trząść. Gapi się na mnie, gapi, gapi i gapi...

12 maja 2062 roku. Znajduję się w małym pokoju. Możecie wyobrazić go sobie jako

salę szpitalną, laboratorium czy celę więzienną, gdyż pełni on funkcje tych wszystkich pomieszczeń równocześnie.

Jestem tutaj już od trzech miesięcy.

Siedzę na wygodnym klubowym krześle. Po drugiej stronie stołu zasiada człowiek z bezimiennej służby wywiadowczej. Na stole leży magnetofon, szpule obracają się. Mężczyzna z przeciwka marszczy brwi w rozdrażnieniu.

– Naszym tematem jest grudzień roku 2081 – mówi. – Co pan wie o wydarzeniach z grudnia 2081 roku?

Spoglądam na niego posępnie i bez słów. Dość już mam tych ludzi nasyłanych przez służby wywiadowcze, komisje naukowe i ich nie kończących się, bezskutecznych żądań.

– Proszę posłuchać – warczy oschle mężczyzna. – Wiem, że odwoływanie się do pańskiego nie istniejącego poczucia patriotyzmu jest pozbawione sensu. Wiem również, że drwi sobie pan z tego, iż pańskie zdolności mogą wiele znaczyć dla naszego kraju. Ale proszę nie zapominać, że jest pan kryminalistą. Skazano pana na dożywocie. Współpracuj z nami, a za dwa lata będziesz wolny. A jeśli będziesz milczał, potrzymamy cię w zamknięciu, aż zgnijesz albo wbijesz sobie do łba, że jedynym sposobem wyjścia stąd jest mówienie. Powtarzam, naszym tematem jest grudzień 2081 roku. A teraz mów!

Wzdycham. Wiem, że wyjaśnienie, iż poznanie przyszłości nie służy niczemu, gdyż przyszłość nie może być zmieniona, bo nie była zmieniona i nie będzie zmieniona, jest bezcelowe. Oni jednak nie chcą przyjąć do wiadomości, że wybór jest iluzją spowodowaną przez fakt, że czasoprzestrzenie przyszłości są ukryte przed tymi, którzy pogrążeni w błogiej nieświadomości przesuwają się z prądem czasu. Nie chcą zrozumieć, że chwile czasu przeszłego nie różnią się niczym od chwil czasu przyszłego czy teraźniejszego. Są stałe, niewzruszalne i nieodmienne. Oni żyją w iluzji czasu ciągłego.

Zaczynam zatem mówić o grudniu roku 2081. Wiem jednak, że nie będą zadowoleni, dopóki nie powiem im wszystkiego, co wiem o latach pomiędzy chwilą obecną a 2 grudnia 2150 roku. Wiem, że będą niezadowoleni, ponieważ byli niezadowoleni, są niezadowoleni i będą niezadowoleni. I dlatego mówię o tym przerażającym grudniu, który nastąpi za dziewiętnaście lat...

2 grudnia 2150 roku. Jestem stary, bardzo stary. Mam sto dziesięć lat. Moje zużyte przez wiek ciało spoczywa na białych prześcieradłach szpitalnego łóżka. Moje płuca, moje serce, moje naczynia krwionośne wszystkie wewnętrzne narządy są chore. Jedynie mój umysł pozostanie nieskazitelnie nieśmiertelny. Umysł niemowlęcia, umysł dziecka, umysł młodzieńca, umysł starca. Umieram. Po tym 2 grudnia 2150 roku moje ciało przestaje istnieć jako żywy organizm. Dla mnie czas po tej dacie jest równie nieznanym, jak czas przed 3 kwietnia 2040 roku w przeciwnym kierunku czasu.

W pewnym sensie umieram, a w pewnym - jestem nieśmiertelny. Iskra mojej świadomości nie zaniknie. Mój umysł nie zna końca, albowiem nie ma dla niego ani końca, ani początku. Istnieje przez chwilę trwającą wieczność i sto dziesięć lat zarazem.

Pomyślcie o moim życiu jak o rozdziale książki, księgi wieczności, powieści, która nie ma pierwszej ani ostatniej strony. Rozdział zawierający moje życie ma sto dziesięć stron. Ma swój punkt wyjściowy i finalny. Ale rozdział trwa tak długo, jak długo istnieje książka. Nieskończona księga wieczności...

Albo nie. Wyobraźcie sobie, że moje życie jest linijką długości stu dziesięciu centymetrów. Zaczyna się na jedynce, a kończy na stu dziesięciu, ale zarówno początek, jak i koniec odnoszą się jedynie do długości, a nie do czasu trwania.

Umieram. Przez cały czas jestem świadom tej agonii, ale nigdy nie doświadczę śmierci. Śmierć jest niebytem świadomości i dlatego nie może przyjść po mnie. Dzień 2 grudnia 2150 roku jest ważnym dla mnie punktem czasoprzestrzeni, mrocznym murem, barierą, poza którą

nie dostrzegam już niczego. Inny mur nosi datę 3 kwietnia 2040 roku.

3 kwietnia 2040 roku. Nicość nagle się kończy i zaczyna nienicość. Rodzę się.

Jakie wrażenia towarzyszą mojemu porodowi? Jak wam to powiedzieć? Jak wytłumaczyć, byście zrozumieli. Moje życie, moja studziesięcioletnia egzystencja pojawia się nagle, natychmiast. W momencie swoich urodzin widzę chwilę swojej śmierci oraz wszystkie inne chwile zawarte pomiędzy nimi. Wychodzę z łona swojej matki i patrzę na swoje życie jak na obraz. Obraz z krajobrazem nader skomplikowanym. Jest na nim wszystko naraz. Zupełny gestalteryzm. Widzę moją obcość, dziwne dzieciństwo, niezrozumienie, z jakim się spotykam, kiedy wydostaję się z łona matki, mówiąc doskonałą angielszczyzną zniekształconą tylko z powodu niedorozwoju strun głosowych.

Tak więc, kiedy opuszczam łono matki, żądam, aby statek powracający z Tau Ceti 8 września 2050 roku został poddany kwarantannie, i wiem, że moje żądanie będzie bezskuteczne, bo było bezskuteczne, będzie bezskuteczne i jest bezskuteczne. I wiem też, że już w chwili narodzin jestem, będę i byłem wszystkim tym, czym zawsze byłem, jestem i będę. I że nie mogę niczego zmienić.

Opuszczam łono swojej matki, umieram wśród białych, czystych prześcieradeł, siedzę w biurze doktora Phippsa, obserwując lądowanie statku, przebywam w więzieniu, opowiadając przez dwa lata o przyszłości i leżę na leśnej polanie, gdzie rośnie ziele o szerokich, zielonych liściach i małych purpurowych płatkach. Zrywam tę roślinę, jem ją i wiem, co zrobię, zrobiłem, robię...

Opuszczając łono matki widzę obraz całego mojego życia. Wzór niezmiennych zdarzeń namalowanych na papierze i wiecznym płótnie czasu zarazem. Lecz nie tylko widzę go jako obraz – jestem nim, będąc jednocześnie jego malarzem. Trwam poza płótnem, spoglądam na jego całość i – nie należę do niego.

Widzę nieruchomą czasoprzestrzeń, która zapoczątkowała to wszystko 4 marca 2060 roku. Zmieniam ją i widzę, jak obraz rozplywa się, jak żyję w czasie jak inni ludzie, chwila po chwili, uwolniony od piekła wszechwiedzy. Lecz zmiana ta jest tylko iluzją.

4 marca 2060 roku. Jestem w lesie, w pobliżu miejsca swojego urodzenia, ale świadomość koszmaru, jaki ten dzień przyniósł, przyniesie, przynosi, nie może niczego zmienić. Robię to, co robię, bo robiłem to, co robiłem i będę robił to, co będę robił...

3 kwietnia 2040 roku opuszczam łono matki, niemowlę, dziecko, młodzieniec, starzec w więziennej celi i w szpitalu psychiatrycznym, konający wśród bieli czystych prześcieradeł.

4 marca 2060 roku. Mam dwadzieścia lat. Znajduję się właśnie na leśnej polanie. Przede mną rosną maleńkie roślinki o szerokich, zielonych liściach i purpurowych płatkach. To tempo - ziele czasu, które prześladowuje mnie, prześladowało i będzie prześladowało bez końca. Wiem, co robię, robiłem i będę robił, gdyż robię to, co robiłem i będę robił.

Jak wam to wytłumaczyć? Jak powiedzieć, byście zrozumieli, że chwila ta jest niezmienna i nieunikniona? Mimo że wiem, wiedziałem i będę wiedział o przerażających konsekwencjach, nie mogę niczego zmienić.

Język tu nie wystarczy. To, co wam przekazuję, jest tylko nieuniknioną półprawdą. Wszystkie działania, jakie podejmuję w czasie swojego studziesięcioletniego życia, zachodzą jednocześnie. Ale to stwierdzenie jest również namiastką prawdy, ponieważ „jednocześnie” oznacza „w tym samym czasie”, a czas w waszym rozumieniu tego słowa nie ma nic wspólnego z moim życiem. Pozwólcie mi zatem przybliżyć wam tą kwestię.

Powiedzmy, że wszystkie rzeczy, których dokonuję, dokonywałem i dokonam, dzieją się jednocześnie. Tak więc nie ma wiedzy, która mogłaby wpłynąć na jakiegokolwiek działanie dokonujące się w innym punkcie. Niech mi będzie wolno skonstruować następne użyteczne kłamstwo. Powiedzmy, że dla mnie pojmowanie i działanie to dwie zupełnie różne rzeczy. Od chwili narodzin podporządkowałem się ślepo temu, co miałem zrobić w swoim życiu – zorganizowanemu totalnie zespołowi przeżyć. Jedynie w następnym momencie dostrzegam

efekty zadziałania całego mnóstwa rzeczy. Oto koszmar, jaki się rozpoczął, rozpocznie, rozpoczyna w dniu 4 marca 2060 roku.

Albo... mówi się, że przed oczyma umierającego przesuwają się całe jego życie. W momencie moich urodzin całe moje życie przemknęło mi przed oczyma. I to nie tylko w wyobraźni, ale i na jawie. Nie mogłem później niczego zmienić, gdyż zmiana istnieje jedynie jako łącznik pomiędzy odmiennymi chwilami czasu. A dla mnie życie jest właśnie nieskończoną chwilą, trwającą sto dziesięć lat. I w taki sposób ten okropny moment staje się niezmienny i nieunikniony.

4 marca 2060 roku pochylam się, zrywam roślinę tempo, odrywam szeroki, zielony liść i wkładam go do ust. Jego smak jest słodki i gorzki zarazem, żelazisty i nieprzyjemny. Przeżuwałem liść i połykałem go. Tempo wędruje mi do żołądka, strawione przenika do krwi i dociera do mózgu. I wtedy zachodzą zmiany, których nawet ludzie mądrzejsi ode mnie nie rozumieją. I nigdy nie będą mogli tego zrozumieć, a w każdym razie nie przed dniem 2 grudnia 2150 roku, po którym jest już tylko nicość. Moje ciało istnieje w obiektywnym strumieniu czasu, aby dożyć, zestarzeć się, podupaść na zdrowiu i umrzeć, ale mój umysł został wyrzucony poza czas, aby przeżywać wszystkie chwile jak jedną.

Przypomina to déjà vu, a ponieważ zdarzyło się 4 marca 2060 roku, zdążyłem przeżyć już dwadzieścia lat. To jest właśnie punkt wyjściowy tempo-świadomości w obiektywnym strumieniu czasu. Ale obiektywny upływ czasu nie ma nic wspólnego z tym, co się dzieje...

Język, tak jak i te wydumane przykłady, nie wystarcza. Więc kolejne użyteczne kłamstwo: w obiektywnym strumieniu czasu jestem normalną istotą ludzką, aż do owego 4 marca przeżywającą każdą chwilę poprzednich dwudziestu lat życia po kolei i w porządku, chwila po chwili...

Teraz, 4 marca 2060 roku, moja świadomość rozprzestrzenia się w dwu kierunkach biegu czasu. Naprzód – aż do 2 grudnia 2150 i mojej śmierci oraz w przeszłość - aż do 3 kwietnia 2040 roku i moich urodzin. Czasoprzestrzeń 4 marca zmieniała przeszłość, tak jak i zmieniała przyszłość, rozwijając tempo-świadomość aż po krańce mojej egzystencji.

Ale raz przeszłość się zmieniła. Miniony czas przestał istnieć i oto wyłaniam się z brzucha matki; niemowlę, dziecko, młodzieniec, starzec, w więziennej celi i w szpitalu psychiatrycznym, konający wśród bieli czystych prześcieradeł...

I...

Oto ja, okruch intelektu stanowiący moją świadomość, która istnieje gdzieś poza przestrzenią i poza czasem. Obiektywny czas trwania moje go życia to sto dziesięć lat, chociaż z mojego punktu widzenia jestem nieśmiertelny – świadomość mojej własnej świadomości nigdy nie u stanie. Jestem niemowlęciem, jestem dzieckiem, jestem młodzieńcem, jestem starcem konającym wśród bieli czystych prześcieradeł. Jestem wszystkimi okresami swojego życia, zawsze będę tymi okresami, zawsze byłem tymi okresami w miejscu, gdzie trwa mój intelekt, w wiecznej chwili oderwanej od czasu...

Wszystkie dźwięki tęczy

Harry Krell siedział rozparty w głębokim fotelu z czarnego winylu przy balustradzie grubo ciosanej werandy. Pięć jardów niżej morze grzmiało i rozbijało się o spazmatycznie powykręcane czarne skały, które wyglądały jak opadły deszcz meteorów do połowy zagrzebanych w ciepłym piasku Pacyfiku. Krell był nagi do pasa. Biały sarong zakrywał mu kolana i opadał do połowy łydek, na nogach miał szyte na miarę sandały z końskiej skóry. Był muskularny jak na czterdziestolatka, mocno opalony, i miał długie, schludne, proste jasne włosy plażowego gogusia. Jego błękitne oczy zdawały się potwierdzać to wrażenie: czysty, pusty, a jednocześnie rozlatany wzrok przywodził na myśl starannie potłuczone młotkiem szklane kulki.

Oszust, jak każdy guru z południowej Kalifornii – pomyślał Bill Marvin wchodząc na zalaną słońcem werandę. – Oto kim jest.

Mimo wszystko Marvin wdrygnął się, kiedy te dziwne oczy prześliznęły się po nim niczym czułki radaru – zimne bezduszne instrumenty gromadzące swoje prywatne dane.

– Usiądź – odezwał się Krell. – Brzmisz mi tam okropnie.

Marvin ostrożnie opuścił swoje odziane w brązowy zamsz siedzenie na brzeg leżaka z aluminium i plastiku, po czym utkwiał w Krellu spojrzenie swych chłodnych szarych oczu, osadzonych w gładkiej, kanciastej twarzy okolonej pieczołowicie przystrzyżonymi i starannie ułożonymi ciemnoblond włosami. Nie zamierzał tracić na tego oślizgłego oszusta ani chwili dłużej, niż to było absolutnie konieczne.

– Przejdę od razu do rzeczy, Krell – zaczął. – Albo sam odczepisz się od Karen, albo ja to załatwię.

– Karen sama sobie matkuje – odparł Krell. – Nie jest też już nawet twoją żoną.

Jakiś odrzutowiec z Vandenburga zahuczał im nagle nad głowami. Krell zamrugał i przetaił oczy.

– Ale ja ciągle jeszcze płacę jej alimenty, tysiąc miesięcznie, i raczej postąpię po świni-sku, niż pozwolę, by połowa tego wędrowała do twojej kieszeni.

Krell uśmiechnął się, a Marvin odniósł wrażenie, jakby kreda wodzona jego ręką zazgrzytała na tablicy.

– Nie możesz nic zrobić w tej sprawie – odparł Krell.

– Mogę przestać płacić.

– I stanąć przed sądem.

– I powiedzieć sędziemu, że oddaję te pieniądze do depozytu do czasu, gdy zobaczę wyniki badań psychiatrycznych, ponieważ uważam, że Karen jest teraz niepoczytalna.

– To nie przejdzie. Karen jest przy zdrowych zmysłach w nie mniejszym stopniu niż ty.

– Ale ciebie zaciągnę do sądu na rozprawę, Krell. Odsłonię publicznie całe twoje oszustwo.

Harry Krell zaśmiał się dziwnym, przejmującym śmiechem, jakby wielobarwne kryształki witrażu rozbłysły i zamigotały w słońcu.

– Mam ci pokazać, jakim jestem oszustem, Marvin? – rzekł. – Naprawdę mam ci pokazać?

Fale jak gdyby miękkiego aksamitu oblały ciało Marvina. Poczul promieniujące od Krella ciepło wśród lodowato zimnej nocy. Usłyszał akord składający się jakby z głosów miliona mikroskopijnych dzwoneczków. W oddali ujrzał wstęgę twardego, błękitnego metalu na gliniastym, brunatnym polu.

Wszystko to trwało mgnienie oka i zaraz znikło. Znow zobaczył słońce, usłyszał szum fal przybrzeżnych, a potem głośny warkot silnika jakiegoś samochodu, który wspinał się na wzgórze majaczące ponad dachem domu. Krell uśmiechnął się i pustym wzrokiem wpatrzył w

dal.

Marvin wzdrygnął się. Ostatnio żyję w jakimś napięciu — pomyślał. — A może to początek rozstroju nerwowego?

– Co to było, u diabła? – mruknął.

– Niby co? — spytał Krell. — Jestem oszustem, a więc nic nie mogło się wydarzyć, prawda, Marvin?

W jego głosie słychać było zarówno zjadliwość, jak i zadowolenie z siebie.

Marvin zrobił wysiłek, by wymazać z pamięci całą tę historię i skoncentrować się ponownie na nurtującej go sprawie.

– Nie obchodzą mnie twoje sztuczki. Nie mam zamiaru pozwalać ci wysysać mojej forsy za pośrednictwem Karen.

– Masz zakuty łeb, panie Marvin, my tu w Golden Groves nazywamy to zamrożonym ośrodkiem zmysłów. Jesteś supersztywniak. Ale ja mógłbym ci pomóc. Mógłbym ci otworzyć łeb i wpuścić tam wszystkie dźwięki tęczy.

– Nie nabierzesz mnie na to, Krell.

– Cóż, jeśli nie ja, to może Karen – odparł Krell.

Marvin poszedł za wzrokiem Krella i ujrzał ją, jak wchodzi przez oszklone drzwi, spowita w lekki, wzorzysty szal, który w łagodnym morskim podmuchu to opinał, to znów owiewał jej miękkie, lecz jędrne ciało.

Poczuł gwałtownie wzbierającą falę mdłości na wspomnienie pustych nocy, dzikich potyczek w sądzie, goryczy miłości, zniweczonych nadziei, i gdy uświadomił sobie, że jego zdradliwe ciało wciąż jeszcze odczuwa pożądanie na widok owych opadających na ramiona farbowanych włosów koloru miedzi, tej twarzyczki elfa, kryjącej w sobie stalowy chłód, tego doskonałego ciała, wypielęgnowanego niczym broń, którą w istocie było.

– Cześć, Bill – rzuciła obojętnie. – Jak tam twoje świństewka?

– Nie zajmuję się porno od czterech miesięcy – skłamał Marvin. – Robię reklamówki.

Poczuł do siebie nienawiść za to, że znów próbuje usprawiedliwić przed nią swój sposób zarabiania na życie, nawet teraz, kiedy już nie ma nic do zyskania ani do stracenia.

Karen wolno podeszła do balustrady, odwróciła się i oparła o nią plecami. Zdała się drzeć jakby w ekstazie. Jej zielone oczy, zwykle tak jasne i bystre, były teraz zamglone i dziwnie zgaszone, jak oczy kamienowanej męczennicy.

– Twój głos jest nie przyjemny przy dotknięciu, kiedy tylko usiłujesz nie skomleć – powiedziała.

– Bill grozi, że wstrzyma alimenty, jeśli nie opuścisz Golden Groves – odezwał się Krell. – Chce zmusić cię do poddania się badaniu psychiatrycznemu i udowodnić, że jesteś wariatką, a ja oszustem.

– Nie krępuj się, Bill, stosuj dalej te swoje parszywe prawne sztuczki – odparła Karen. – Ja jestem przy zdrowych zmysłach, a Harry jest dokładnie tym, za kogo się podaje, i oboje z prawdziwą przyjemnością udowodnimy to w sądzie, prawda, Harry?

– Nie dam się nabrać na żadne prawne numery – oświadczył zimno Krell. – Nie opłaca mi się to, zwłaszcza jak twoja forsa będzie w depozycie i nie będziesz miała z czego pokryć kosztów pobytu w Golden Groves.

– Harry!

Opuściła gwałtownie powieki niczym stalowe żaluzje, a rozpacz upodobniła jej twarz do jednej z tych brzydkich masek, jakie widuje się na basenach w Las Vegas. Marvin uśmiechnął się, z łatwością dławiąc współczucie.

– No, jak ci się teraz podoba twój maleńki, fałszywy guru? – zadrwił.

– Harry, nie możesz mi tego zrobić, nie możesz wykreślić mnie tak po prostu, jakbyś gasił lampę, z powodu kilkuset dolarów!

Harry Krell dzwignął się ze swego głębokiego fotela. Jego twarz była całkowicie bez

wyrazu; gdyby nie to dziwne, rozlatane spojrzenie, mógłby uchodzić za najzwyczajniejszego, podstarzałego gogusia, oznajmiającego twardą prawdę o życiu jakiejś leciwej rozwódce, której właśnie skończyły się pieniądze.

– Nie jestem świętym – powiedział. – Uległem wypadkowi, który poprzestawiał mi szare komórki, dając mi moc obdarowywania ludzi tym, czego pragną. I jest to jedyny sposób, w jaki mogę zarabiać na życie, dobrze zarabiać.

Uśmiechnął się, a w głowie Billa Marvina brzęknęło jakby tłuczone szkło.

– Robię to dla forsy – dodał Harry Krell. – Lepiej więc, abyś uporządkowała swoje sprawy, Karen.

– Jesteś parszywą świnią! – warknęła Karen.

Na jej twarzy, która wydała się nagle o dziesięć lat starsza, każda nawet najdrobniejsza zmarszczka wróżyła przyszłe spustoszenie.

– Ale jestem autentyczny – odrzekł Harry Krell. – Ja naprawdę obdarowuję.

Ruszył w kierunku drzwi prowadzących do jego salonu powoli i z wahaniem, jakby sunął pod wodą.

– Bill...

Jego imię w jej ustach, wymówione o dwie oktawy niżej niż zazwyczaj, to nieznaczące wzruszenie ramion, ten wyraz strachu i zagubienia w jej oczach — to była gra, lecz równocześnie była w tym cała Karen. Zapragnął dzielić ją pięścią w brzuch i ukołysać w ramionach.

– Jeśli jesteś tak szalona, by sądzić, że mnie namówisz...

– Pozwól tylko, że odprowadzę cię do samochodu. Proszę.

Marvin wstał, wygładził spodnie, westchnął i nagle wyzbyty wszelkich uczuć powiedział znużonym głosem:

– Jeżeli rzeczywiście tak potrzebujesz ruchu, o pani...

W milczeniu przeszli przez schludny pokój w stylu rustique rodem z Kalifornii, gdzie Krell siedział na zielonej, pokrytej sztucznym futrem kanapie, przesuwając palcami po sierści syjamskiego kota jak po strunach instrumentu. Przy nim z obu stron siedziało dwóch mężczyzn: młody hippis o równo przyciętych włosach do ramion, odziany w dobrze skrojony haftowany komplet dżinsowy, i podrzędny aktor telewizyjny w średnim wieku, którego nazwiska Marvin nie mógł sobie przypomnieć.

Gdy Marvin przemierzał czarny dywan, nie wymienił z Krellem ani jednego spojrzenia czy słowa; spostrzegł jednak, że Krell i Karen przelotnie porozumieli się wzrokiem, i w tym samym momencie poczuł w ustach równie przelotny smak cynamonu.

Prywatny dom Krella stał frontem do pofałdowanej, bogatej w zieleni równiny rozciągającej się od autostrady do brzegów Pacyfiku, gdzie kończą się góry Santa Monica. Na całym terenie należącym do posiadłości stały rozrzucone bezładnie bungalowy w stylu wiejskim, tu i ówdzie widniały kępy drzew, ścieżki, ławki; był też kort tenisowy, duży basen pływacki, sauna, stajnia – jednym słowem wszystko, czego mogą potrzebować kuracjusze. Parking ukryty był za zasłoną z drzew rosnących wzdłuż autostrady, tak aby nie psuł sielankowej scenerii. Cały jednak teren ogradzała siatka wysokości dziesięciu stóp zakończona trzema rzędami drutu kolczastego, a jedynym wejściem była zdalnie elektronicznie otwierana brama. W pojęciu Marvina stanowiło to doskonałe podsumowanie Golden Groves. Ów rejon na północ od Los Angeles był naszpikowany tego typu posiadłościami przeróżnych guru; jedyną rzeczą, która je różniła, były używane w nich środki mistyfikacji.

– No więc, Karen, na czym polegają te numery Krella? – zaczął, kiedy szli w kierunku parkingu. – Poczekaj, będę zgadywał... organiczna meskalina* w połączeniu z akupunkturą... tantra joga i masaże tybetańskie masłem z jaków... do ciała, co jest jeszcze takiego, czego

* M e s k a l i n a — biały krystaliczny alkaloid, uzyskiwany z małego, bezkolczastego kaktusa; ma właściwości narkotyczne, powoduje halucynacje kolorystyczne i konwulsje (przyp. tłum.).

dotąd nie próbowałaś?

– Synestezja – odparła ze śmiertelną powagą. – I to działa. Daję głowę, że odczułeś to już na własnej skórze.

Marvin przypomniał sobie z niechęcią dziwne momenty zmysłowych halucynacji, których doświadczył od chwili poznania Krella – coś jakby krótkie wizje po LSD. Czy to rzeczywiście sprawka Krella? – zadawał sobie pytanie. Cóż, lepsze to, niż gdyby się miało okazać, że to wynik zbyt dużej dawki narkotyków lub załamania nerwowego...

– Trzy lata temu Harry doznał poważnego urazu głowy...

– Pewnie dostał deską surfingową.

– Leżał nieprzytomny trzy tygodnie, a kiedy z tego wyszedł, okazało się, że wszystkie powiązania pomiędzy mózgiem a ośrodkami zmysłów są poplątane. Widział dźwięki, słyszał kolory, czuł smak temperatury... synestezja, tak to nazywają.

– Aha... przypominam sobie teraz. Czytałem o czymś podobnym w „Time’ie” czy gdzieś...

– Niemożliwe, przypadek Harry’ego jest jedyny w swoim rodzaju, bo te powiązania w c i ą ż się zmieniają, z minuty na minutę. Jego świat jest zawsze świeży i nowy... to tak, jakby się było bez przerwy na haju... jak gdyby... tego się nie da porównać z niczym na świecie.

Musnęła go dłonią i błysk w jej oczach, być może zamierzony, przypomniał mu o tym, jaka była kiedyś, jacy byli oboje, kiedy po raz pierwszy przemierzali starym dodge’em dolinę San Fernando, mając przed sobą rozległe Wzgórza Hollywood, ten złocisty świat, który zamierzali podbić.

– Znów czuję, że żyję, Bill – powiedziała. – Proszę cię, nie odbieraj mi tego.

– Nie rozumiem...

Ogarnęło go obezwładniające ciepło. Od jej ręki spoczywającej na jego ramieniu poczuł smak wina. Słyszał symfonię sferyczną, dźwięk w dźwięku, a w tym dźwięku następny i następny, bez końca. Widział atramentową ciemność nocy rozbłyskującą fontannami zielonych, czerwonych, fioletowych, żółtych fantastycznych kwiatów światła, niebiańskich fajerwerków. Poczuł miękkość w kolanach i zawrót głowy. Z wolna osunął się na ziemię. Fontanny światła wystrzeliwały w górę szybciej i stały się potężniejsze. Wyciągnął ręce, by pohamować upadek, czuł zapach palonej sosny, słyszał szept niewyczuwalnego wiatru. Przykucnięty na trawie podtrzymywał rękami ciężar swego ciała i wpatrywał się w zielone źdźbła.

– No jak, w porządku? Już dobrze? – dosięgło go wołanie Karen.

Podniósł na nią wzrok, zamrugał, kiwnął głową.

– Harry nigdy nie dopuścił do tego, by lekarze wykryli, że on może to przekazywać – powiedziała.

Marvin podniósł się z ziemi.

– Zgoda – rzekł – Rozumiem, że ten oślizgły gad Krell może wpełznąć ci do mózgowicy i wszystko tam poprzestawiać! Tylko po co, do cholery? Jaką idiotyczną gadkę ci zasunął, że tak tego chcesz, że chcesz doświadczać istoty odbytu Buddy czy czegoś podobnego?

– Harry nie jest żadnym mędrcelem – odparła. – On sam nie wie, dlaczego tak się dzieje, och. oczywiście. kompletnym idiotom wciska jakąś bajeczkę, ale tak naprawdę wie tylko jak to robić i jak robić na tym forszę. Leczą, Bill, ja czuję naprawdę, że nareszcie coś się we mnie otwiera. To odpowiedź, której poszukiwałam od pięciu lat.

– Na jakie, u diabła, p y t a n i e?

Gdy Marvin zadał to sakramentalne pytanie, powróciły doń złe wspomnienia z okresu małżeństwa. Jak powraca smak nie strawionego, lichego posiłku, który się odbija. Narkotyczne seanse prowadzące donikąd, dwumiesięczna zabawa w Synanon*, kiedy to uczył się, jak

* S y n a n o n — organizacja amerykańska grupująca byłych zbrodniarzy (przyp. tłum.).

najlepiej zadawać cios nożem, nieustanne zmiany partnerek, trójkąty obu typów, próbne rozstania i próbne pojednania, dziki seks, bojowy seks, nudny seks i w ogóle brak seksu. Ustawiczne poszukiwanie czegoś, co zostało zagubione gdzieś po drodze, w czasie pomiędzy wspólnym przemierzaniem kontynentu w owym starym dodge'u a życiem w pseudofilmowym światku Los Angeles, kiedy to starczało za ledwie na marną egzystencję, gdyż stało się jasne, że ani on nie jest drugim Orsonem Wellesem, ani ona drugą Marilyn Monroe.

– Wiesz, myślę, że synestezja powinna być naturalnym sposobem odbierania świata. Nasze zmysły gdzieś kiedyś oddzieliły się wzajem od siebie i przez to rodzaj ludzki jest taki upośledzony. Nie możemy złożyć naszych zmysłów do kupy, ponieważ odbieramy rzeczywistość poprzez mnogość wąskich okienek, niczym więźniowie w celi. Oto dlaczego jesteśmy wszyscy tacy pokręceni w środku.

– Podczas gdy Harry Krell jest żywym obrazem zdrowia psychicznego i karmanicznej doskonałości!

Zbliżali się do parkingu; Marvin dostrzegł swego targa i zapragnął jak najszybciej się w nim znaleźć, uciec od Golden Groves i od Karen, od jej jeszcze jednej kosztownej „ostatniej nadziei”.

Karen raz jeszcze zaofiarowała mu swe ciało, kładąc obie ręce na jego ramiona i patrząc mu prosto w oczy tak długo, aż coś w nim zabolalo z tęsknoty. Twarz jej stała się tak łagodna, jak bywała w czasach, kiedy byli kochankami, a nie parą wrogów, lecz jej oczy pełne były trwogi właściwej starzejącej się kobiecie.

– Wiem tylko to, co czuję – powiedziała. – Kiedy żyję w świecie synestetycznej iluzji, czuję, że żyję naprawdę. Wszystko inne jest tylko oczekiwaniem.

– Dlaczego nie spróbujesz po prostu ćpania? – spytał Marvin. Może nie będzie to tańsze niż Krell, ale przynajmniej daje swobodę poruszania się.

– Harry zapewnia, że w końcu sami nauczymy się tego, że wyszkoli nasze ośrodki mózgowo, pod warunkiem, że damy mu dość czasu...

– I dość forsy.

– Och, Bill, nie pozwól, bym to utraciła! Nie daj mi utonąć!

Wczepiła palce w jego ramiona, jej ciało osunęło się na niego, zmarszczki wokół kącików ust nadały jej wyraz patetycznej rozpacz, co odebrał jako... fetor. Widział, jak znad jakiegoś lasu metalowych ostrzy wznoszą się ku niemu w trwodze olbrzymie skrzepowane kobiece dłonie w błagalnym geście. Czuł, że jej ciało porusza w nim każdy nerw i wprawia go w dawno zapomniany, im tylko znany, rytm i doznał uczucia, jakby znów tulił ją namiętnie w łóżku. Czuł przykrą gorycz, strach, obrzydzenie, woń piżmowych perfum. Słyszał, jak jego własne łzy, które płynęły mu po policzkach, grzmiały niczym dzwony kościelne; przyciągnął te olbrzymie dłonie ku sobie, a one rozpląły się w pęk żółtego światła. Bezślowna pieśń wypełniła jego uszy i poczuł smak długiej nocy spędzonej przy kominku, doznał świeżego, promiennego ciepła, smutnego nostalgii zaspokojenia.

Trzymał Karen w ramionach; jej policzek przytulony był do jego szyi. Jękliwie szeptała jego imię i poczuł się o pięć lub więcej lat młodszy. Nagle ocknął się w przerażeniu i szalonym gniewie. Odepchnął ją od siebie gwałtownie.

– Nic z tego – warknął. – Nie uda ci się zrobić ze mnie frajera, ani tobie, ani Krellowi!

– Ale czułeś...

– Co ty i Harry Krell chcecie, bym czuł! Nic z tego. To już nie przejdzie! Zobaczymy się w sądzie.

Resztę drogi do samochodu odbył biegiem, zdzierając nieco darni z podmokłego gruntu Golden Groves.

Mając jako rekomendację cztery podziemne filmy, trwające łącznie nie więcej niż dwieście minut, i Karen, która była „gwiazdą” dwóch ostatnich, Bill opuścił Nowy Jork,

by szukać fortuny na Złotym Zachodzie. W Hollywood Marvinowie przekonali się, że pięknych kobiet z miernym talentem aktorskim jest na pęczki, i to za dychę (co najwyżej pięćdziesiąt doliców od numeru), i że „rekomendacją” Billa mogłyby być równie dobrze jakieś filmidła o kubańskim supermenie.

Po czterech miesiącach głodowania i życia na cudzy koszt przekonali się i o tym, że Los Angeles jest światową stolicą pornografii. Na każdy metr filmu fabularnego nakręconego w Hollywood przypadały kilometry mieszanki rozrywkowej, seksu i zbrodni oraz zwykła rąban-ka filmików dla mężczyzn. Miasto roiło się od „producentów filmowych” żyjących z porno w oczekiwaniu na Wielką Szansę, jak również od „aktorek”, których metraż był najlepiej wykorzystywany w palarniach klubów „Rotary” lub w szeregu spelunek wzdłuż bulwaru Santa Monica, zwanego Bobrową Doliną. Porno było tak dobrze prosperującym przedsię-wzięciem, że większość twórców filmowych wiedziała nawet mniej od Billa o posługiwaniu się kamerą. Tak więc, gdy stało się to, co musiało się stać, Marvin miał mnóstwo pracy i pod dostatkiem pieniędzy.

Siedem lat później Bill Marvin miał doskonale znajomości w przemyśle porno, trzyletniego porsche targa, sześciopokojowy dom w Laurel Canyon, który za dalsze piętnaście lat zostałby jego własnością, wystarczająco dużo kamer i sprzętu, by żyć dostatnio z pornografią do końca życia, lecz nie miał już złudzeń co do Zrobienia Czegoś Wielkiego.

Ustabilizowany był na całe życie. Seks, zarówno przygodny, jak i stały, nie stanowił żadnego problemu w jego dziedzinie pracy; jego naturalnym stylem życia stały się na prze-mian czteromiesięczne okresy przelotnych i mniej więcej sześciomiesięczne okresy trwa-łych związków erotycznych. W biznesie porno, jeśli jesteś sprytny, zwiążesz się szybko z dobrym prawnikiem i przebiegłym księgowym, tak więc wyszedł na sprawie rozwodowej cholernie dobrze: piętnaście tysięcy dolarów – w zamian za jej zrzeczenie się roszczeń do domu oraz tysiąc dolarów miesięcznie, co mógł płacić bez większego bólu.

Uważał, że ten stan rzeczy może trwać wiecznie, szczęśliwy jak skorupiak w swojej muszli, aż do owej sceny w zeszłym tygodniu w Golden Groves. Teraz tłukł się po domu, jak gdyby była to martwa skorupa jakiegoś olbrzymiego stworzenia, którą zamieszkiwał niczym trawiony żądzą krab. Nie mógł zmusić się do obmyślenia nowego projektu, seks go nie wzru-szał, narkotyki nudziły go. Myśleć mógł tylko o jednym: o głowie Harry Krella na srebrnej tacy. A słowa jego adwokata, który powiedział mu, że rozprawa sądowa na temat zdrowia psychicznego prawdopodobnie nic nie da, z pewnością nie poprawiły jego samopoczucia.

Co mnie to obchodzi, że Karen wyrzuca moje pieniądze na Krella? – dziwił się sam sobie, przemierzając wyłożoną kamiennymi płytkami alejkę swego tonącego w głębokim cieniu zarośniętego ogrodu. Gdyby to nie był Krell, byłby to jakiś inny transcendentalny nawiedzony. Wzgórza są ich pełne.

Gdyby to było w filmie Universal TV, nadal podświadomie kochałbym się w Karen bez wzajemności, i to by tłumaczyło, dlaczego ten Krell załazł mi za skórę – zazdrość o guru, można by powiedzieć. Lecz nie chodzi o to, by rzucić Karen na kolana. Nie, to dotyczy tego zwariowanego lizusa Krella...

Ten zwariowany Krell!

Bill Marvin wykonał serię klasycznych ćwiczeń gimnastycznych, dwukrotnie przebiegł swój położony na zboczu wzgórza ogród porośnięty paprociami i kaktusami, okrążył basen, przemierzył bawialnię i skacząc po dwa stopnie naraz wszedł do swego biura na drugim piętrze, skąd zatelefonował do Wally Brunera, swojego przebojowego adwokata.

– Słuchaj, Wally, ten nawiedzony, któremu moja żona...

– Mówiłem ci już: raz uchyłisz się od zapłacenia alimentów, a ona pozwie cię do sądu, więc dopóki nie uda ci się sprawdzić, że zostanie postawiona w stan oskarżenia...

– Tak, tak, wiem, prawdopodobnie nie będę mógł dopiąć tego, by uznano ją za niepo-czytalną. Ale co z Krellem?

– Krellem?

Szybkość głosu Wally'ego spadła do około dwudziestu mil na godzinę. Marvin ujrzał go oczami wyobraźni, jak opiera się plecami o oparcie fotela, podnosi wysoko brwi, obracając to słowo w ustach i smakując je.

– Krellem?

– No tak. Ten facet doznał tak poważnego urazu głowy, że leżał nieprzytomny całymi tygodniami, a gdy z tego wyszedł, utrzymywał, że może widzieć dźwięki, słyszeć światło, dotykać smaku, a potem zabrał się do robienia na tym interesu twierdząc, że może spreparować w ten sam sposób mózgi innych ludzi. Jak brzmiałoby to w sądzie?

– Kto wnosi powództwo? – spytał wolno Bruner.

– Co?

– Jedynym sposobem zaciągnięcia Krella do sądu jest oskarżenie go o oszustwo pod zarzutem, że on w rzeczywistości nie może wywoływać objawów synestezji i że fałszuje oznaki. To postawi go w sytuacji, że będzie musiał bronić się przeciw oskarżeniu o kryminalne oszustwo i udowodnić, że istotnie posiada tę dziwną psychiczną moc, a to już, muszę ci powiedzieć, stwarza sytuację nie do pozazdroszczenia dla jego obrońcy. Gdybym ja był jego adwokatem, przypuszczam, że musiałbym powołać się na obłąd, by spróbować obalić zarzut przestępstwa. Jeśli wygra, spędzi kilka miesięcy w szpitalu dla wariatów i cały ten interes z Golden Groves diabli wezmą, czego właśnie pragniesz. Jeśli przegra, pójdzie do więzienia, czego pragniesz jeszcze bardziej. Jeśli będzie usiłował przekonać sędziego z Los Angeles, że posiada ową psychiczną moc, noga powinie mu się na samym początku, a jeśli popróbuje tego przed ławą przysięgłych, ośmieszę i jego, i jego adwokata.

– Hej, to wspaniale! – wykrzyknął Marvin. – Mamy go w ręku!

– Jak już pytałem, Bill – odezwał się Bruner zmęczonym głosem – kto jest powodem?

– Wyrażaj się – jaśniej, proszę cię, Wally.

– Aby postawić Krella przed sądem pod zarzutem oszustwa, ktoś musi wnieść powództwo. Ktoś, kto mógłby twierdzić, że Krell go oszukał. A więc musi to być ktoś, kto wpłacił Krellowi jakąś sumę pieniędzy za jego hipotetyczne usługi. Kto to jest, Bill? Z pewnością nie Karen...

– A gdybym to był ja? – palnął Marvin.

– Ty?

– Oczywiście. Jadę tam, płacę Krellowi należność za miesiąc, zostaję tam kilka dni, a potem wyjeżdżam, głośno oznajmiając wszem wobec o oszustwie.

– Lecz sądząc z tego, co mówiłeś, on rzeczywiście wykonuje to, co twierdzi...

– Zapomnij o tym, nigdy ci tego nie mówiłem, w porządku?

– Musiałbyś zeznawać pod przysięgą...

– Będę przysięgał.

– Rzeczywiście myślisz, że Krell zaryzykuje i wpuści cię?

Bill Marvin uśmiechnął się.

– On jest chciwą świnią i egomaniakiem – powiedział. – Próbował namówić Karen, by mu pomogła przekonać mnie, że jest jakimś drugim Buddą, i jest na tyle głupi, by dojść do wniosku, że mu się to udało. Czy to da się zrobić, Wally?

– Czy co da się zrobić? – spytał Bruner naiwnie. – Od tej chwili ta rozmowa telefoniczna nigdy nie miała miejsca. Czy dobrze mnie rozumiesz?

– Na sto procent – odparł Marvin.

Wyłączywszy się nakreślił numer Golden Groves.

Hany Krell leżał rozparty na zielonej kanapie. Jego niedbała poza dziwnie kontrastowała z napiętymi rysami twarzy, w której malowała się przebiegłość; utkwił ostre spojrzenie w Marvinie.

– Być może popełniam błąd ufając ci – rzekł. – Wyraziłeś przecież jasno, co o mnie myślisz.

Marvin rozparł się w fotelu, naśladowując obojętność Krella.

– Zaufanie nie ma z tym nic wspólnego – odparł. – Nie musisz wcale mi wierzyć i ja nie muszę ufać tobie. Udowodnisz mi, że opłaci mi się to, co mi dajesz za moje pieniądze; to powinno przekonać mnie, że Karen również opłaca się to, co otrzymuje za moje pieniądze. Jeśli mi odmówisz, stracisz tysiąc dolarów miesięcznie.

Harry Krell roześmiał się, a Marvin poczuł łaskotanie na całym ciele, jak gdyby ukłucia mikroskopijnych szpileczek. Karen, siedząca obok Krella na kanapie, zadrżała.

– Nie lubimy się nawzajem – oświadczył Krell – lecz rozumiemy się.

W tonie jego głosu było coś protekcyjnego, co podziało Marvinowi na nerwy, aroganckie zadufanie w sobie, które było w jakiś sposób obraźliwe. Dobrze, ta zachłanna świnia wkrótce dostanie za swoje!

– A więc to jest transakcja?

– Pewnie – odparł Krell. – Wróc tu jutro ze swoimi rzeczami i pięćsetdolarowym czeki, który nie będzie czekiem bez pokrycia. Otrzymasz bungalow, trzy posiłki dziennie tutaj w tym domu, bezpłatne korzystanie z sauny, kortów tenisowych i basenu, co najmniej dwa seanse synestezji dziennie oraz wszystkie inne specjalne rozrywki, jakie tu są. Konie kosztują ekstra pięć dolarów za godzinę.

– Płacę za nas dwoje – rzekł Marvin – powinienem dostać jakiś rabat.

Krell wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Jeśli zechcesz dzielić domek z Karen, potrączę ci z rachunku dwieście pięćdziesiąt dolarów za miesiąc – oświadczył.

Było coś drażniącego w jego głosie.

Mimo woli spojrzenia Marvina i Karen spotkały się. Jakiś błysk uczucia przemknął między nimi, co sprawiło, że odżyły dawno pogrzebane wspomnienia o tym, czym byli dla siebie, nim to wszystko się rozpadło. Zapragnął niemal być tym, kim udawał, że jest: pielgrzymem, który stara się oczyścić swą duszę z zastarzałych pajęczyn. Wydało mu się, że ona może się zgodzić z nim żyć. Lecz iskry w jej oczach spowodowane były rozpaczliwą potrzebą. Los Angeles pełne było takich twarzy jak ta, a tacy Harry Krellowie wysysali je do sucha, a potem, gdy pieniądze się kończyły, pozwalali im uschnąć niczym starym śliwom. Musiał przyznać, że jego ciało pragnęło jeszcze Karen, ale dawno już minął ten okres w jego życiu, gdy seks mógł zaciągnąć go tam, gdzie jego głowa nie chciała się znaleźć; po prostu gra nie warta była świeczki.

– Pas – powiedział.

Wyraz twarzy Karen nie zmienił się ani trochę.

Krell wzruszył ramionami, wstał i wyszedł na werandę tym swoim dziwnie niepewnym krokiem, zaczerpnąwszy gwałtownie powietrza, gdy przechodził z cienia w światło słoneczne.

– Wiem, że jesteś tu po to, by znaleźć na niego haka – odezwała się Karen.

– Dlaczego wobec tego zgodziłaś się dobrze usposobić do mnie Krella?

– Nie uwierzysz mi.

– Spróbuj mnie przekonać.

Westchnęła.

– Ponieważ nadal troszkę mnie obchodzisz, Bill – rzekła. Jesteś taki zmarznięty, taki powiązany cały na supelki w środku i kto mógłby wiedzieć lepiej ode mnie, co to znaczy? Harry ma to, czego potrzebujesz. Przekonasz się o tym, gdy tu jakiś czas pobędziesz, i nie będzie miało wówczas znaczenia, dlaczego tu przyjechałeś.

– Sprawa uratowania twoich alimentów nie ma z tym nic wspólnego, oczywiście.

– Nie, naprawdę nie.

Gdy słowa te wyszły z jej ust, zamieniły się w tropikalne motyle o jaskrawych barwach,

a ona sama stała się bujną zielenią, z której wyfrunęła. Odezwały się łagodne muzyczne trele, a zapach bzów i orchidei nappełnił powietrze. W tym momencie poczuł ukłucie żalu z powodu tego, co powiedział, ujrzał uczucie, jakie nadal dla niego żywiła, usłyszał prostą czystość zwierzęcej miłości jej ciała.

W następnej chwili przypatrywali się sobie i napięcie zawisło w powietrzu między nimi. Karen przerwała je zadowolonym uśmiechem madonny. Marvin stwierdził, że pocał mu się dłonie; powziął pewne podejrzenia co do tego, w co się sam wkopywał.

Domek był z pewnością niezbyt przyjemnym i wygodnym miejscem jak na cenę pięćset dolarów miesięcznie: łóżko, serwantka, kanapa, łazienka, dwa piecyki elektryczne i hałaśliwy stary klimatyzator, taki, jakie spotyka się po motelach. Na śniadanie podawano kaszę (sześćdziesiąt dziewięć centów za funt), mleko i kawę; Marvin wyobraził sobie, że Krell użyje tego samego argumentu o zdrowym odżywianiu się, by podawać tanie obiady i kolacje. Jedyną kosztowną inwestycją było utrzymywanie stajni koni wierzchowych, lecz dawała ona zysk jako osobne przedsięwzięcie. Krell musi inkasować do własnej kieszeni około połowy opłaty za pobyt jako czysty zysk. Piętnaście domków, niektóre z nich dwuosobowe... to by wynosiło co najmniej siedem tysięcy dolarów miesięcznie!

Nie ma to jak interes guru – pomyślał Marvin, idąc za Krellem i trzema współtowarzyszami pensjonariuszami na taras położony tuż nad huczącym morzem.

Cztery duże pluszowe poduszki ułożone były wprost na gołej, drewnianej podłodze wokół jeszcze większej poduszki, pręgowanej jak zebra, co przypominało kwiat lotosu. Krell w białym sarongu usiadł pośrodku, i wyglądał niczym Maharishi, grany przez jakiegoś podupadłego Taba Huntera. Marvin i pozostali trzej pensjonariusze opadli na swoje poduszki za przykładem Krella. Po lewej ręce Marina znajdowała się Tish Connally, dobrze zakonserwowana trzydziestopięcioletnia eks-szołmenka z Las Vegas, której udało się utrzymać przyzwyczajoną część pijackich pieniędzy, jakie krążyły wokół niej przez dziesięć lat, a która już parę razy zmierzyła go wzrokiem ponad talerzem kaszy. Po jego prawej ręce był Mike Warren, ów długowłosego, którego widział pierwszego dnia, a który okazał się eks-gitarzystą; na najdalszej poduszce siedział łysiejący producent telewizyjny nazwiskiem Marty Klein, którego dwa ostatnie seriale zostały zdjęte po trzynastu tygodniach projekcji.

– Okay – powiedział Krell. – Wszyscy znacie Billa Marvina, myślę więc, że jesteśmy gotowi naładować się na dzisiejszy poranek. Bill, to, co się tutaj odbywa, polega na tym, że na chwilę rozmrażam zmysły wszystkich obecnych, co sprawia, że każdy ma swoje własne synestetyczne wizje przez kilka godzin. Im więcej będziecie mieli takich seansów, tym dłużej trwać będą wasze własne wizje, aż wreszcie wasze zmysły przejdą proces reedukacji i nie będziecie mnie więcej potrzebować.

– Ile osób do tej pory... hm... ukończyło kurs? – spytał Marvin słodkim głosem.

Na korzyść Krella trzeba przyznać, że potrafił się opanować.

– Nikt dotąd nie uznał, że otrzymał już wszystko, co mogę mu dać – rzekł – lecz niektórzy porobili duże postępy. Dobra, jesteśmy gotowi?

Poranne słońce wypaliło już prawie zupełnie wczesną, przybrzeżną mgłę, lecz ślady jej pozostały jeszcze gdzieś wzdłuż werandy, gdzie wirował pył wodny, naniesiony przez ocean, który rozbijał się o skały poniżej.

– No to zaczynamy – rzekł Harry Krell.

Stało się światło: łagodna, wszechogarniająca jasność pulsująca od żółci słonecznej aż do morskiej zieleni w pływowym rytmie fal przybrzeżnych, uderzających o skalisty brzeg. Marvin poczuł słonawy posmak, to chłód mięty, to znów ciepło obiadowego dania. Z prawej strony doszedł go cieniutki, łkający, bluesowy głos strun, coś jak lamentujący, wzmocniony dźwięk gitary, naprężający się i usiłujący dotrzeć do jakiejś duchowej stratosfery, wyżej, wyżej i wyżej, lecz nie mogący w pełni jej osiągnąć, nie mogący przemienić dynamicznego

dysonansu w znośną harmonię. Po jego lewej stronie jakiś dźwięk podobny do brzdąkania rozklekotanego, starego pianina, które jest rozstrojone od dziesięciu lat i osiągnęło ten dziwny, starczy ton. Naprzeciw niego frenetyczne, synkopowane tykanie niczym bomby zegarowej, słabnącej w miarę upływu czasu, gra w orła i reszkę o to, czy entropia wyprzedzi eksplozję. I dominujący nad tym wszystkim główny motyw: napływające fale, grzmiące, hałaśliwe zawodzenie, które zdawało się powłoką z plastyku wokół centralnego motywu smutku – cygański skrzypek wygrywający na trąbce gorące rytmy jazzu. Marvin wiedział, że jest nim Harry Krell.

Fala uczuć, magiczną sztuką przemienionych i zalewających go z wielu nieoczekiwanych zmysłowych kierunków, powaliła go psychicznie na kolana. Wyczuł instynktownie, że w jakiś sposób Mike Warren jest ową wrzaskliwą dysharmonią, jaka była. słuchową przemianą jego rzeczywistej osoby, że Tish Connally jest owym tchórzliwym brzdąkaniem, a słabnący rytm Kleina – zadumą nad tym, czy dźwięki się rozpadną, czy też ożyją na nowo. I wreszcie Krell, fałszywa orkiestra w smutnym chaosie, w taniej pseudoszczerości, w ponurym żalu, w wewnętrznej pustce niczym wschodni bożek – człowiek, którego istnienie mieściło się w napięciu niezniszczalnym między jego niechlujną sztucznością a wszechogarniającą, wspaniałą niesamowitością jedynej w swoim rodzaju świadomości, jaką obdarzyło go przypadek uderzenie w głowę, wielkość, jaką los nappełnił to najtandetniejsze z wyobraźalnych naczyń.

Marvin nigdy jeszcze w życiu nie czuł się tak blisko innych istot ludzkich. Był zafascynowany, lecz równocześnie czuł odrazę do tej intymności i zastanawiał się, czy inni odczuwają to samo.

Po jakimś czasie świat jego zmysłów uległ innemu przeobrażeniu. Usta nappełniły mu się obrazem różnych smaków, które w jakiś sposób rozeszły się w przestrzeni: cierpka, korzenna ostrość niczym wędzony pieprz chili na prawo, łagodny, futrzany smak mdłej whisky z wodą sodową na lewo, z dala coś jak gdyby czosnek i trawienna żółć, a wszędzie przytłaczający smak likieru miętowego i przygnębiającego czerwonego wina. Słyszał teraz łoskot fal przybrzeżnych, lecz przede wszystkim ujrzał pole pomarańczowej czerwieni, przez które od czasu do czasu przesuwawały się pęki chłodnego błękitu.

– A teraz weźcie się za ręce w koło i starajcie się wyczuć waszą zewnętrzną powłokę waszym wnętrzem – powiedziały plastyczny likier miętowy i piżmowe czerwone wino.

Marvin wyciągnął obie ręce. Prawa połowa jego ciała natychmiast została skrępowaną z muskularną siłą, a każdy nerw napięty był do ostateczności, niczym naprężony drut. Natomiast lewa połowa jego ciała zwiotczała, zmiękła, uspokoiła się, wypalona do cna, jak o czwartej nad ranem w łóżku u boku kogoś, kogo poderwało się wkrótce po północy na jakiejś dużej pijackiej narkotycznej zabawie.

– Dobrze, teraz zrelaksujcie się i przejdźcie z powrotem przez wszystkie etapy zmian – powiedziały likier miętowy i czerwone wino.

Przed oczami poczęły kolejno przesuwac się migotliwe obrazy: błękitne mgły płynące przez pole pomarańczowej czerwieni, żółtość słonecznego światła pulsująca przez morską zieleń w rytmie przyływu i odpływu, cztery osoby siedzące wokół Harry'ego Krella na zalanej słońcem werandzie.

Tam i z powrotem, do środka i na zewnątrz wizje goniły jedna drugą w rozmaitej kolejności, a tymczasem Marvin słyszał grzmot fal przybrzeżnych, symfonię dla czterech dusz; czuł smak chłodu mięty, ciepło obiadowego dania, wędzonego pieprzu chili, mdłej whisky, likieru miętowego i czerwonego wina. Zmysłowe obrazy krzyżowały się i rozchodziły, mieszały się, zderzały, zlewały, odskakiwały od siebie, aż wreszcie takie pojęcia jak smak, wzrok, słuch, dotyk straciły wszelkie znaczenie.

Wreszcie (czas nie odgrywa tu żadnej roli) ośrodek zmysłów Marvina ustabilizował się. Ujrzał Tish Connally, Mike'a Warrena, Marty'ego Kleina i siebie samego, siedzących na

poduszkach wokół Harry'ego Krella na zalanej słońcem drewnianej werandzie. Słyszał huk fal przybrzeżnych, rozbijających się na skałach w dole, poczuł miękkość poduszki, na której siedział, czuł zapach morskiej bryzy zmieszany z wonią własnego potu.

Krell był cały mokry od potu i wyglądał na zupełnie wyczerpanego, lecz udało mu się przesłać Marvinowi uśmiech pełen zadowolenia. Pozostali nie byli tak oszołomieni jak Marvin, którego umysł był w owej chwili całkiem pusty, wyjałowiony, zdruzgotany; pozostał jedynie sam środek mózgu, gdzie czuciowe cząsteczki złączyły się, by stworzyć ośrodek zmysłów, ową konstelację wzroku, zapachu, dźwięku, smaku, dotyku i czucia, która jest nieodzowną i główną podstawą ludzkiej świadomości.

– Mam nadzieję, że nie jest pan rozczarowany, panie Marvin powiedział Krell. – A może chciałby pan otrzymać zwrot pieniędzy?

Bill Marvin nie miał nic do powiedzenia; czuł, że ma zaledwie tyle świadomości, by rozróżniać słowa jako coś więcej niż abstrakcyjne sekwencje dźwięków.

Jasne popołudniowe słońce przeobraziło powierzchnię basenu w lekko pomarszczoną taflę blasku, która gdy Marvin utkwiał wzrok w rozżarzanej wodzie, zamieniła się na chwilę w dzwoniące i rozpryskujące się szkło. Nawet jego normalne zmysły wydawały się niezwykle wyostrome – czuł wyraźnie zapach morza i stajni, nawet tu, nad brzegiem basenu, obnażonymi plecami wyczuwał ziarnistą teksturę plastikowego obicia plażowego krzesła – być może dlatego, że doznając co kilka minut przeblysków synestezji nie mógł już być pewien żadnego odczucia. Nie można też było negować faktu, że to, czego doznał tego ranka, było głębokim przeżyciem, którego echa pobrzmiwały jeszcze w jego mózgu.

Karen wynurzyła się z basenu, dygocząc i otrząsając się z lśniących w słońcu kropel, okręciła się ręcznikiem i opadła na leżak obok niego. Miała na sobie skąpy niebieski kostium bikini, Marvin jednakże uświadomił sobie, że widzi załamki jej pełnego ciała jedynie jako abstrakcyjny rysunek, błyszczące łuki połyskującej od wody skóry.

– Widzę, że miałaś rzeczywiście poważną sesję – odezwała się.

– Hm?

Spostrzegł, że jej oczy patrzą wprost na niego, lecz są szkliste i rozlatane.

– Mam przebliski właśnie w tej chwili — powiedziała. – Słyszę cię jako niski pomruk, bez tych zwykłych, trzeszczących odgłosów, jakie wydaje krzesło, gdy się na nim siedzi.

Przesunęła dłonią po jego piersi.

– Chłodna zieleń i błękit, żadnych ostrych srebrzystości i szarości – westchnęła, cofnęła rękę, oczy odzyskały przytomne spojrzenie.

– Już minęło – rzekła. – Bez Harry'ego zdarzają mi się tylko takie strzępki i okruchy, których nie mogę utrzymać... lecz pewnego dnia...

– Pewnego dnia będziesz mogła być na haju cały czas, tak w każdym razie twierdzi Krell.

– Teraz wiesz, że Harry nie jest oszustem.

Marvin wzdrygnął się wewnętrznie na dźwięk słowa „oszust” myśląc, jak by wyglądały jego zeznania przeciw Krellowi. O Boże, mógłby pograżyć mnie w synestetycznym transie na samym środku sali sądowej! Lecz... lecz mógłbym się przecież z tego wywinąć, gdybym był na to przygotowany, gdybym miał dość doświadczenia, by działać w takim stanie. Wydaje się, że Krell jest zdolny do działania, a przecież cały czas jest w takim stanie...

– Co ci jest, Bill?

– Czy moje ciało brzmi śmiesznie, czy co? – warknął.

– Nie, miałaś po prostu przez chwilę taki zwykły, staromodny, przestraszony wyraz twarzy.

– Zastanawiałem się właśnie, jak by to było, gdyby Krell rzeczywiście mógł doprowadzić człowieka do tego, by stał się do niego podobny na zawsze – rzekł Marvin. – Chodzić w kółko w takiej mgle, pewnie, jasne, że to mogłoby uczynić świat interesującym, lecz jak mo-

zna wówczas funkcjonować, choćby powstrzymać się od wchodzenia w drzewa?

– Harry ma to bez przerwy, a jednak funkcjonuje. Nie zobaczysz go głodującego na ulicy.

– Założę się, że nikt nigdy nie widział go na ulicy – odparł Marvin. – Założę się, że Krell nigdy nie opuszcza tego miejsca. Gdy tak snuje się tu i tam jak jakaś zjawa, to prawdopodobnie kieruje się głównie pamięcią, jak ślepiec we własnym domu.

Tak – myślał – ludzie, żywność, pieniądze – on to wszystko sprowadza do siebie. Przepuszczalnie nie mógłby przejechać mili samochodem na autostradzie albo nawet przejść na drugą stronę ulicy i ujsć z życiem.

Nagle Marvin uprzytomnił sobie, że zastanawia się nad wewnętrzną rzeczywistością Harry'ego Krella, nad niezwykłymi stronami jego życia z pewną dozą sympatii. Jakby to naprawdę było być Krellem? Być tak dalece podatnym na te wszystkie niesamowite doświadczenia, lecz niezdolnym do normalnego funkcjonowania w rzeczywistym świecie, chyba że świat ten w jakiś sposób sprowadzi się do siebie.

Sprowadzić do siebie przez ohydne gierki – powiedział sam do siebie ze złością, rozdrażniony swoim cieplejszym uczuciem dla Krella, które przytępiło na chwilę ostrze jego determinacji. Wstając rzekł:

– Idę się wykąpać i zmyć trochę tych pajęczyn z mojej głowy.

Wziął krótki rozbieg, odbił się od betonowej krawędzi i zanurkował w basenie.

Kiedy zderzył się z powierzchnią wody, świat wybuchnął na chwilę oślepiającą, promienistą tęczą światła.

– Jak długo tu jesteś?

– Sześć tygodni – odpowiedziała Tish Connally zapalając papierosa zapalką, która na chwilę rozdarła ciemność w jej domku dzwonieniem gongu w głowie Billa Marvina.

Następny przebłysk synestezji! Spędził do tej pory w Golden Groves zaledwie trzy dni, a ostatnia sesja z Krellem miała miejsce co najmniej pięć godzin temu, nadal jednak doznawał dwóch lub trzech przebłysków na godzinę.

Oparł się o wezłowie łóżka, poczuł zapach wydzielany przez ciało Tish tuż przy sobie, widział ognik jej papierosa, który to migotał jasno, to przygasał.

– Jak długo myślisz tu zostać? – spytał.

– Dopóki nie będę musiała wyjechać, by zarobić trochę forsy odparła. – To nie jest najtańsza melina, jaką znam.

— A nie dopóki nie ukończysz kursu i nie zostaniesz drugim Harrym Krellem?

Roześmiała się; czuł falowanie jej wiotkiego ciała, nieomal widział różową galaretę trzęsącą się w ciemności. Przebłysk? Czy nadpobudliwa wyobraźnia?

– To lipa – oświadczyła. – Słowo eksperta. Po pierwsze są ludzie, którzy spędzili tu całe miesiące, wyjeżdżali i znowu przyjeżdżali, a mimo to nadal potrzebują ładunków od Harry'ego, by miewać wizje. Po drugie Krell nie naładowałby nikogo na stałe, nawet gdyby mógł. Nie potrzebowalibyśmy go już więcej w takim wypadku; skąd brałby forsy?

– Wiedząc to, wciąż tu tkwisz?

– Chłoptysiu, przez dziesięć lat rozbijałam się po świecie, brano mnie na wszelkie możliwe sposoby, i ja brałam mężczyzn na wszelkie dostępne mi sposoby. Zanim tu przyjechałam, doznałam wszelkich uczuć, jakich doznać można, pięćdziesiąt tysięcy razy, więc bez względu na to, co robiłam, by się wyzwolić, były to jedynie gesty. Tu przynajmniej czuję się żywa każdym nerwem mego ciała. Płacę więc Krellowi ładną sumkę, by mnie od czasu do czasu wyzwolił. Większość swojej forsy zarobiłam po drugiej stronie tej samej gry, więc co jest, u diabła, to utrzymuje pieniądź w obiegu, no nie?

– Jesteś cwana starą dziwką – stwierdził Marvin z pewną sympatią.

Odrzuciła papierosa, pocałowała go lekko w usta, przetoczyła się ku niemu.

– Jeszcze raz na do widzenia, chłoptysiu?

Nieśmiało wziął jej zmęczone ciało w ramiona.

– Och, jesteś złoty – westchnęła przytulając się do niego.

Wtedy zrozumiał, że ona oczekiwała przebłysku synestezji, by uzyskać odrobinę tej gwałtownej przyjemności, której on sam nie mógł jej dać. Lecz prawie nie odczuwał złości czy niesmaku, gdyż sam również szukał czegoś bardziej efektownego niż miękkie ludzkie ciało w ciemności.

Wracając do siebie wzdłuż morskich skał w pełnym świetle księżycy Bill Marvin ujrzał Harry'ego Krella wychodzącego z domku Lisy Scott i schodzącego ścieżką w jego kierunku szybszym i pewniejszym krokiem, niż to zwykle czynił w pełnym świetle dnia. Spotkali się w małym zagajniku, gdzie księżycowe światło przesączaając się przez gałęzie drzew tworzyło tygrysie pręgi srebra i czerni, rozbijające rzeczywiste obrazy na desenie układanki.

– Cześć, Marvin – odezwał się Krell. – Składałeś komuś wizytę?

– Po prostu spaceruję – odparł Marvin obojętnie, dziwiąc się samemu sobie, że ma ochotę na towarzyską rozmowę z Krellem. Lecz koniec końców, traktowany tylko jako ciekawostka, Krell był niewątpliwie jednym z najbardziej interesujących ludzi na ziemi.

Krell wyczuł widać jego nastrój, ponieważ zatrzymał się, oparł o drzewo i rzekł:

– Jesteś tutaj już tydzień, Marvin. Powiedz mi prawdę, czy nadal tak mnie nienawidzisz? Ciągle jeszcze czyhasz, by się do mnie dobrać?

Zadowolony z tego, że deseniowy kamuflaż księżycowej poświaty i ciemności skutecznie maskuje jego reakcję, Marvin nabrał powietrza i odparł:

– Dlaczego uważasz, że chcę ci się dobrać do skóry?

Krell roześmiał się i Marvin przez moment widział jasnoniebieski wodospad wytryskujący ze szklanej płyty w olśniewającym słonecznym świetle.

– Usłyszałem wyraz twojej twarzy – rzekł Krell. – Poza tym skąd ta pewność, że jesteś pierwszą osobą, która tu przyjechała, ażeby mnie przywoździć?

– Wobec tego dlaczego mnie tu wpuściłeś?

– Bo połowa stałych klientów Golden Groves przyjeżdża tu po raz pierwszy, by wykryć coś, co mogłoby obciążyć tego oszusta Harry'ego Krella. Gdybym się tym przejmował, straciłbym połowę moich dochodów.

– Nie mogę pojąć, do czego zmierzasz, Krell. Co tu właściwie robisz?

– Co ja robię? – powtórzył Krell i ostrze jękliwej goryczy zabrzmiało w jego głosie. – A jak ty myślisz, co ja robię? Staram się przeżyć życie, jak umiem najlepiej, tak samo jak ty. Myślisz, że o to prosiłem? Pewnie, przyjeżdża tu cała masa świrów, którzy przekonują sami siebie, że czerpią ze mnie religijne wizje, wielką podróż w ekstazę. Niech im będzie! Lecz dla Harry'ego Krella synestezja nie jest podróżą w ekstazę, zapewniam cię! Nie mogę prowadzić samochodu czy przejść na drugą stronę ulicy, nie mogę nigdzie pójść ani nic robić. Wszystko, co potrafię, to słyszeć ładne kolory, wachać muzykę, widzieć smak jakiejś potrawy. Po trzech latach mam dosyć doświadczenia, żeby w miarę trafnie domyślać się, co się zazwyczaj wokół mnie dzieje, dopóki jestem na znanym mi gruncie, lecz ja tylko d o m y ś l a m s i ę, człowieku! Wpadłem w potrzask własnej głowy. Teraz na przykład widzę coś niebieskozielonego w oddali na lewo – prawdopodobnie morze, którego zapach czuję, a ta różowofioletowa tkanina wokół nas – drzewa, prawdopodobnie eukaliptusy. I słyszę coś w rodzaju gongu. Księżyc jest widoczny, prawda? Jeżeli coś teraz powiesz, to i tak tego nie zrozumieję, dopóki znów nie usłyszę dźwięków. Człowieku, jestem tak bardzo samotny wewnątrz tej rewii światła!

Bill Marvin począł walczyć z własnymi uczuciami, lecz dał za wygraną. Nie mógł się powstrzymać, by nie odczuwać współczucia dla Harry'ego Krella, zamkniętego wewnątrz swej przedziwnej, prywatnej rzeczywistości, zwykłego mięczaka odciętego od zwyczajnego życia. A jednak Krell zupełnie wyraźnie dążył do tego, by inni ludzie znaleźli się w tym sa-

mym położeniu.

– I chociaż tak się czujesz, nie wzdurasz się wciągać w to innych ludzi dla zarobku... – zauważył Marvin.

– O Jezusie, Marvin, a ty zajmujesz się pornografią! Dajesz ludziom kopa, którego pragną, i utrzymujesz się z tego. Ale czy ci e b i e to wzrusza? Czy chciałbyś, by całe twoje życie było filmem pornograficznym?

Marvinowi uwiązł w gardle dowcip, który nie przeszedł mu przez usta, ponieważ na myśl o martwocie tego, czym stało się jego życie, poczuł się jak uderzony w brzuch.

Jaka jest różnica między mną a Krellem? – pomyślał. – On daje frajerom synestetyczne wizje, a ja im daję porno. To, co on daje, nie wzrusza go bardziej niż mnie to, co ja daję. Obaj jesteśmy osamotnieni i obaj jesteśmy oszustami. Jemu zadała cios w głowę deska surfingowa i wpakował się w historię z synestezją, mnie natomiast zadało cios w głowę Hollywood i wpakowałem się w interes porno.

– Przykro mi, że zwarzyłem ci humor, Marvin – rzekł Krell. – Czuję ten zapach od ciebie. A teraz słyszę twoją twarz. Co mówisz?..

– Jesteśmy tacy sami, Krell – powiedział Marvin. – I obaj śmierdzimy.

– Po prostu robimy to, co musimy robić. Człowiek musi grać takimi kartami, jakie otrzymał przy rozdawaniu, bo nie dostanie innych.

– Czasem sam je sobie rozdaje swoją własną parszywą ręką – odparł Marvin.

– Ja ci pokażę parszywą! – krzyknął Krell. – Pokażę ci, jak parszywe może być przejście właśnie z tego miejsca do twojego domku – w taki sposób, w jaki ja muszę to robić. Masz dość odwagi?

– Za to właśnie płacę – odparł Marvin spokojnie.

Począł iść ścieżką z powrotem. Krell zrobił zwrot i ruszył obok niego.

Nagle ciemność przemieniła się w gorejącą piernikowo-złocistą baśniową krainę światła. Po lewej stronie Marvina, tam gdzie jak wiedział, morze rozbijało się o podnóże skał, ujrzał jasnozielone obrzeże blasku, drgające promieniście. Owa drgająca jasność uderzała w niewidzialne przedmioty wokół niego – otaczając je aureolą wszystkich subtelnych odcieni widma, tworząc nieskończenie złożoną kratkowaną konstrukcję nieustannie zmieniających się i krzyżujących powierzchni fal, która to konstrukcja przekształcała się z każdym drgnięciem wysyłanym przez słyszalne słońce, jakim było morze. U jego boku Harry Krell był kształtem ciemności obramowanym migotliwą zorzą. Słyszał odległy gong rozbrzmiewający łagodnie w aksamitnej ciszy. Czuł smak soli i woń szybko zmieniającego się ciągu kwiatowych aromatów, który mógł być głosem Krella. Piękno tych doznań przenikało do jego duszy wszystkimi porami.

Szedł wolno dalej, kierując się przypuszczeniem, że zielonożółty blask to łamiące się fale przybrzeżne, że obszary ciemności, obrysowane żywą, kratkowaną konstrukcją kolorowych powierzchni fal, to masywne obiekty, które należało obejść. Nie było to łatwe, lecz było zachwycające – to odnajdywanie drogi w znajomej scenerii, która przemieniła się w świat dziwów.

Potem świat uległ kolejnej zmianie. Usłyszał huk morza. Po lewej stronie ujrzał gęstą, niebieskozieloną gąbczastą masę, ogromną i piętrzącą się; pod stopami ścieżka była wstęgą czerni wijącą się przez pole różowawej szarości; tu i tam wystrzeliwały z tej różowawej szarości fontanny o szarawych łodygach i jaskrawych kasztanowatych pióropuszech, wysokie jak drzewa. Poczuł zapach przejrzystego chłodu. Krell był ciastowatą masą barwo przewadze wyblakłego, czystego brązu. Marvin domyślał się, że Krell widzi zapach.

Nie było trudno iść ścieżką wydeptaną w wonnej trawie. Po chwili nastąpiła nowa, subtelniejsza przemiana. Widział, że idzie razem z Krellem ścieżką w kierunku jego domku, stojącego nie więcej niż o dwadzieścia jardów dalej w srebrzystej poświacie księżyca. Usta jego wypełniał ni to winny, ni to orzechowy posmak, który przypląwał i odpływał w rytmie

oceanu, od czasu do czasu przerywany szybkimi smugami i korzennej pikantności, a tymczasem ptasie kształty trzepotały się od jednego drzewa do drugiego, tonącego w ciemności. Jedynym dźwiękiem był łagodny, nieomal podświadomy gwizd.

Oszołomiony, zachwycony Marvin przebył ostatnie parę jardów do swego domku z rozchylonymi ustami i szeroko otwartymi oczyma. Gdy dotarli do drzwi, dziwne smaki w jego ustach ulotniły się i posłyszał przytłumiony pomruk łomoczących fal przybrzeżnych. Roześmiał się, rozradowany, odświeżony w każdej cząsteczce swej istoty, żywo reagując na każdy subtelniejszy zmysłowy bodziec nocy.

– Jak ci się podoba żyć tak, jak ja żyję? – spytał kwaśno Krell.

– To jest piękne... to jest...

Krell zachmurzył się, prychnął, uśmiechnął ponuro.

– I taki wielki cwaniak okazuje się frajerem, dokładnie tak jak wszyscy inni – rzekł nieomal z żalem.

Marvin roześmiał się ponownie. W istocie uświadomił sobie, że śmieje się po raz pierwszy od przeszło tygodnia.

– Kto wie, Krell – powiedział – może spodobałoby ci się istnieć w jednym z moich pornograficznych filmów!

Roześmiał się raz jeszcze, po czym wszedł do swego domku, pozostawiając Krella samego wśród nocy z ogłupiałym wyrazem twarzy.

Później, gdy już położył się do łóżka, chłodne prześcieradła i miękka poduszka stały się jasną nocą, przepelnioną błyszczącymi jak łebki szpilek wielobarwnymi gwiazdami, a ciemność miała zapach kobiecych perfum.

Świat przybrał sinoczerwoną barwę, a drewniane deseczki pod jego nagim ciałem stały się smakiem dymu w jego ustach. Marvin poczuł, że żarzy się w samym środku swego jęstwa niczym huczący kominek, i usłyszał głos Dave'a Andrewsa, który mówił:

– To naprawdę może wypocić całe napięcie z człowieka.

Przebłysk minął; leżał na drewnianej ławie w budynku sauny, skąpany we własnym, obfitym pocie, piekąc się w żarze wydalonym przez gorące kamienie na żeliwnym stojaku. Gruby, owinięty w ręcznik mężczyzna, leżący na ławie naprzeciw niego, wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w sufit i wzdychał.

– Uf! – odezwał się Andrews, gdy jego oczy odzyskały ostrość widzenia. – Prawie słyszę, jak rozprostowują mi się mięśnie. Traach!

Marvin leżał wdychając gorące powietrze, wytrzymując upał i całkowicie ignorując Andrewsa, który zawodowo zajmował się spekulacją gruntami i był nieprawdopodobnym nudziarzem. Marvin zamknął oczy i skoncentrował uwagę na falach gorąca, czując jedynie, jak rozbijają się o jego ciało, czując kojący dotyk słoje drewna na swojej skórze i subtelną woń gorącego kamienia. Nauczył się rozkoszować światem swoich zmysłów, nie myśląc o niczym innym.

– Mówię ci, poczciwy Krell może i każe nam płacić niezłą forszę, ale to z pewnością przeczyszczą stare przewody i ładuje stare baterie...

Andrews paplał dalej niczym radiowa audycja reklamowa, Marvin jednak bez większego trudu spychał ten idiotyczny głos na samo dno swych doznań zmysłowych; było to łatwe z chwilą, gdy każdy zmysł mógł stać się sam dla siebie wszechświatem, gdy ośrodek zmysłów przestał podlegać supremacji wzroku i słuchu.

Nagle głos Andrewsa ucichł, a Marvin usłyszał świszczący huraganowy wicher. Otworzywszy oczy ujrzał drobne, białe fale zwiewnej pary, przerywane wielobarwną nieruchomością słów Andrewsa. Poczuł smak czegoś, co przypominało curry i skłębioną woń sosny.

Gdy wizja minęła, Marvin wstał, włożył kąpielówki, wyskoczył z sauny, pobiegł przez soczyście zieloną trawę w błękitnym świetle wysoko stojącego słońca i skoczył prosto do

basenu kąpielowego.

Uderzenie chłodnej wody o jego przegrzane ciało spowodowało rozkoszny szok. Wyplął na powierzchnię i leżąc na plecach pozwalał, by drobniutkie fale kołysały go; zbliżył się do krawędzi basenu, gdzie siedziała Karen, machając nogami w wodzie.

– Jesteś teraz całkiem innym człowiekiem, niż byłeś wtedy, gdy tu przyjechałeś – zauważyła.

Uniósłszy wzrok zobaczył jej odzianą w bikini sylwetkę jako niewyraźną mglistość na tle oślepiającego niebieskiego nieba.

– W porządku, to przemawia na korzyść Krella, ale przy tych cenach nadal jest kanciarzem. a najsmieszniejsze jest to, że on uważa się za jeszcze większego kanciarza, niż nim jest w rzeczywistości...

Nie odpowiadała przez dłuższą chwilę, wpatrując się w głębię basenu u jego boku, zagubiona w świecie własnej synestetycznej wizji. Kiedy w końcu przemówiła, głos jej wydobył się niczym wytrysk zielonoczarnej ropy, wyłaniający się z miękkich, lawendowych chmur, Marvin zaś poczuł smak lodowatej waty cukrowej. Sądząc po dysonansie na jej twarzy, zakłócającym kojącą melodię skapanego w słońcu nieba, słowa jej tak właśnie smakowały.

Rozkoszując się ulewnym, ciepłym jak krew deszczem, Marvin spostrzegł blask światła pulsującego barwami od słonecznej żółtości do morskiej zieleni; po chwili przebłysk minął. Siedział na poduszce na słonecznej werandzie, tworząc razem z Tish, Andrewsem i Karen krąg otaczający Harry Krella.

To dziwne – myślał – jestem tutaj już prawie trzy tygodnie, a nie miałem jeszcze wspólnej sesji z Karen.

Jeszcze dziwniejsze było uświadomienie sobie, że do tej chwili nie wydawało się to niczym szczególnym ani nawet mającym jakieś znaczenie. Tak jak cała reszta zewnętrznego świata. Jego dawniejsze stosunki z Karen wydawały się tak bardzo odległe w czasie i przestrzeni. Kobieta po jego prawej stronie nie była mu emocjonalnie bliższa niż którykolwiek z pozostałych mieszkańców Golden Groves, którzy żeglowali wzajem poprzez swoje prywatne światy niczym statki-widma przepływające w nocy.

Harry Krell odetchnął głęboko, a sklepienie nieba stało się taflą błyszczącego mosiądzu; w dole morze było bulgoczącym hebanowym kotłem. Sama weranda obramowana była bladym błękitem, a ludzie wokół niego stanowili drżące kształty żółtawego różu. Po jego lewej stronie zapach wygasającego kadzidła; na wprost aromatyczny dym hawańskiego cygara, a silny odór ozonu przenikał wszystko. Lecz zapach, jaki przykuwał uwagę Marvina, był po jego prawej stronie: przytłaczająca woń kobieca, na którą zdawały się składać (lub częściowo ją maskować) ostre perfumy, wysychający lakier do paznokci, krem upiększający, szampon, dezodoranty – pełny zestaw chemicznych środków upiększających, które, jak sobie w tej chwili uświadomił, składały się na charakterystyczne zapachy życia z Karen. Wezbrały w nim fale tęsknoty i niesmaku, które spiętrzyły się, załamały i zwały w jeden pojedynczy, emocjonalny ton, na którego określenie zabrakło słów. Była to po prostu przestrzeń, jaką Karen zajmowała w jego umyśle, całkowity wizerunek, który znał.

Kolejna zmiana i ujrzał ponownie światło pulsujące od żółtego do zielonego, poczuł słonawy smak. Z lewej strony usłyszał brzdąkanie starego pianina; na wprost staccato metalicznego pobekiwania; ponad tym wszystkim metaliczne, głuche, melancholijne zawodzenie Harry'ego Krella.

Lecz i tym razem to motyw po prawej stronie spowodował wibrowanie nerwu, które przedostało się prosto z jego zmysłów przez mózg do samych trzewi. Miał wrażenie, jak gdyby gong uderzał w zamkniętej przestrzeni, która brutalnie tłumiała jego wibracje, ciskając powtarzające się echem nuty z powrotem jedna na drugą, gwałtownie odcinając długie,

powolne wibracje, tworząc dźwięk będący histerycznym waleniem w niewidzialne ściany, głosem zwierzęcia schwytanego w niewidzialną pułapkę. Jak na ironię, w nozdrzach miał Marvin mocny zapach lasów i pól w pełni lata.

Po kilku dalszych powolnych zmianach Krell przeprowadził ich z powrotem przez migoczące sekwencje: deszcz ciepły jak krew, tafla błyszczącego mosiądzu nad hebanowym morzem, zapach kobiecego ciała i damskich kosmetyków, światło pulsujące od żółtego do zielonego, gęsty dym hawańskich cygar, likier miętowy i czerwone wino, późne lato w lesie i na polu, mdła whisky z wodą sodową, melancholijne zawodzenie, brzdąkanie...

Później Marvin siedział na swej poduszce obok Karen, podczas gdy morze mruczało samo do siebie, a Harry Krell oddychał ciężko i ocierał oczy z potu.

Marvin i Karen odwrócili się jednocześnie, by na siebie spojrzeć. Ich oczy spotkały się, a w każdym razie przecięły się ich płaszczyzny widzenia. Dla Marvina znaczyło to tyle, co wpatrywanie się w dwa zimne, zielone kawałki marmuru, osadzone w alabastrowej twarzy posągu, tyle bowiem uczucia zawierał ów kontakt wzrokowy. Sądząc po przelotnym grymasie, jaki zadrgał na jej ustach, ona również widziała w nim obcego. Żółte światło oślepiło go na chwilę, a zapach jej piżmowych perfum przyprawił go o mdłości.

Gdy przeblysk minął, Marvin stwierdził, że Karen przeżywa jedną ze swoich bolesnych wizji; wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w morze, wargi jej zadrgały, nozdrza rozděły się. Na chwilę ogarnęła go ciekawość, w jaki sposób ona odbiera jego; następnie prawie bez wysiłku odsunął od siebie tę przykrą myśl wiedząc, że to jest moment ich prawdziwego rozwoju, że alimenty są jedyną więzią, jaka ich łączy.

W chwilę później oboje wstali nie zamieniwszy z sobą ani jednego słowa i każde z nich poszło swoją drogą. Gdy Karen wchodziła przez oszklone drzwi do domu, Marvin ujrzał falującą, zieloną, gąbczastą masę i usłyszał jej histeryczne, zduszone uderzenia, w takt których odbywał się jej wymarsz z jego życia na zawsze.

Czas stał się migotliwą procesją warstw przeblyskujących obrazów. Nad skałami słońce zachodziło tonąc w Pacyfiku; było teraz kulą pomarańczowego ognia zanurzającą się w szkliste wody i malującą na niebie plamy purpury i szkarłatu, to przydymionym zapachem jesieni, przechodzącym w ostry, krystaliczny podmuch zimowej nocy, to znów powoli nadchodzącym hukiem olbrzymiego pioruna, z wolna zamierającym w aksamitnej ciszy. Poranne światło na werandzie plażowego domku było ulewnym, krwisto-ciepłym deszczem, polem pomarańczowego blasku, przesytytym mgłami chłodnego błękitu, brzęczącą symfonią wibrującej energii.

Dla Billa Marvina to wszystko stało się naturalnymi biegunami istnienia, jedynymi wskazówkami czasu w świecie, w którym noc mogła być gorącym zapachem kobiecym w ciemności jego sypialni, błyszczącą gwiazdzistą nocą chłodnych prześcieradeł przylegających do jego ciała lub złocistym światłem anonimowego kobiecego ciała u jego boku, w świecie, w którym dzień był iskrzącym fajerwerkiem jądła chrupiącego w zębach, niebiańskim kurantem jego gorącego ciała uderzającego o chłodną wodę basenu po przypominającym curry zapachu sauny, skłębionymi, zielonymi obłokami fal przybrzeżnych, rozbijających się o podnóże skał.

Ludzie przepływali przez tę srebrzystą czarodziejską krainę jak przesuwane się złudne konstelacje zmysłowych obrazów. Brzdąkające pianino. Damskie kosmetyki. Chmura dymu hawańskich cygar. Zawodzenie elektrycznej gitary. Likier miętowy i czerwone wino. Histeryczne, stłumione dźwięki gongu. Wędzony czerwony pieprz. Czosnek i trawienna żółć. Melancholijne zawodzenie cygańskiego skrzypka, wygrywającego na trąbce gorące tony jazzu. Obrazy i dźwięki, smaki i zapachy, i czucia, będące zmysłowymi obrazami pensjonariuszy Golden Groves, przenikały w obrazy nieożywionego świata, mieszając i stapiając się z nimi, aż wreszcie ludzie i przedmioty stały się nieuchwytnymi aspektami chaotycznej całości.

Umysł Marvina, z wyjątkiem odosobnionych momentów, składał się całkowicie ze związku zmysłowych impulsów, przenikających do jego mózgu o każdym czasie. Istniał jako skupisko owych czuciowych obrazów; w pewnym sensie stał się sam swoim zmysłowym

przeżyciem, nie będąc już związany pod względem czasu ze wspomnieniami i oczekiwaniem, nie będąc już oderwanym punktem widzenia, sardonicznie krążącym we wnętrzu jego czaszki. Tylko w odosobnionych okresach czasu, gdy jego synestetyczne wizje chwilowo zanikały, był w stanie uwolnić się od swojego bezpośredniego przeżycia, zastanowić się nad niezwykłością swego własnego umysłu, obserwować siebie samego, poruszającego się wśród drzew, domków i ludzi z Golden Groves jak pewnego rodzaju automat. W takich chwilach miał pewne niejasne poczucie straty. Nie mógłby powiedzieć, czy to był smutek spowodowany chwilową utratą bardziej wysublimowanego stanu umysłu, czy też jego zwykła, codzienna świadomość oplakiwała swój własny zgon.

Pewnego ranka, kiedy Marvin wchodził na werandę na poranną sesję z pełnymi jeszcze ustami kaszki – której ziarenka niczym drogocenne, błyszczące kamienie rozsypywały się i chrzęściły mu w zębach, gdy rozgniatł je o kawową zasłonę z brązowego aksamitu – zatrzymał go Krell.

– To jest twój dzień trzydziesty, Marvin – rzekł Krell.

Marvin spojrział na niego oniemiały, słysząc głucho, metaliczne zawrozczenie, widząc prostokąt jasnopomarańczowej barwy, rysujący się na tle ciemnego błękitu.

– Powiedziałem, że to jest ostatni dzień, za który zapłaciłeś. Albo zapłacisz następne pięćset dolarów, albo poślij po kogoś, by cię zabrał z powrotem do Los Angeles. Nie będziesz w stanie prowadzić samochodu mniej więcej przez tydzień.

W ośrodku zmysłów Marvina ponownie nastąpiła zmiana. Stał w chłodnej bawialni przy otwartych oszklonych drzwiach, przez które światło słoneczne zdawało się rozrastać, tworząc masywną bryłę.

– Trzydzieści dni? – powiedział nieprzytomnie. – To było t r z y d z i e ś c i d n i ? Straciłem rachubę.

O Boże – pomyślał – miałem tu być zaledwie tydzień lub dwa. Nie pracowałem przez miesiąc! Z pewnością jestem prawie zrujnowany, a termin płatności alimentów już minął. Mój Boże, trzydzieści dni, a ja ich prawie wcale nie pamiętam!

– No tak, ale ja liczę dobrze – odparł Krell. – Wykorzystałeś swoje pięćset dolarów, a to nie jest instytucja charytatywna...

Marvin stwierdził, że jego umysł gna szaleńczo niczym jakaś rozpędzona maszyna, usiłując na próżno dogonić świat, który go wyprzedził, desperacko próbując zsynchronizować swój mózg na powrót z rzeczywistym światem bankowych wyciągów, sądów rozstrzygających sprawy o alimenty, czterodniowych harmonogramów filmowych, czeków bez pokrycia, zajadłych kłótni, krnąbrnych aktorek, wstrętnych protektorów:

Gdybym mógł coś nakręcić w trzy lub cztery dni, może mógłbym 1 wykorzystać te same ujęcia, by zrobić trzy krótkie filmiki, ale musiałbym pchnąć to w trzy różne miejsca, inaczej się nie uda. To powinno by dać mi dość forsy, by pokryć ten miesięczny haracz i zrzucić z karku adwokatów Karen, jeśli tylko zdobędę wszystkie pieniądze naraz; zapłacę im najpierw i wystawię чеки bez pokrycia, dopóki...

– No i jak, Marvin, czy chcesz wystawić nowy pięćsetdolarowy. czek, czy...

– Co? – mruknął Marvin. – Następne pięćset dolarów? Nie, nie, do diabła, jestem bez grosza, byłem tu już zbyt... chciałem powiedzieć, muszę wracać natychmiast do Los Angeles.

– No dobrze, może się jeszcze kiedyś znów tu spotkamy – rzekł Harry Krell.

Wkroczył w lśniącą masę słonecznego światła, zostawiając Marvina stojącego samotnie w ocienionej bawialni; zaledwie wyszedł, Marvin ujrzał błyszczące pulsowanie żółtego, słonecznego światła, usłyszał potężny głos dzwonów, poczuł straszliwy, przejmujący żal za utraconym rajem.

Lecz nie było czasu na rozmyślanie. Musiał zadzwonić do Earla Daya, swojego stałego kamerzysty i namówić go, by przyjechał i zawiózł go z powrotem targą do Los Angeles. Po drodze mogliby opracować trzy pomysły na film, rozpocząć zdjęcia nazajutrz i zarobić trochę

pieniędzy w cztery lub pięć dni. Trzeba nadrobić stracony czas, szybko, szybko, szybko!

Przez jedną chwilkę Billa Marvina obejmował tęczyowy ogień, który trzeszczał i skrzyślał jak śnieg w kolorowej telewizji. Słyszał świszczący, synkopowany gwizd, przeciągły krzyk metalowych ptaków, szybujących koło jego uszu, rozpalający złudne ślady wspomnień już prawie zapomnianych we frenetycznym obłądździe kręcenia trzech filmów porno w niecały miesiąc, zwalniający tempo przemiany materii w jego organizmie, przechwytyjący na jedno mgnienie oka jego psychiczny oddech.

I znów siedział sztywno wyprostowany na miejscu kierowcy w swoim porsche'u z rękoma niczym szpony ściskającymi kurczowo kierownicę, z silnikiem warczącym z tyłu, tocząc się w dół lewym pasem autostrady Ventura Freeway z szybkością siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę w umiarkowanym ruchu. Przebłysk pojawił się i zniknął tak szybko, że nie zdążył nawet odczuć niebezpieczeństwa, całkiem inaczej niż gdy spróbował prowadzić samochód po raz pierwszy zaledwie po pięciu dniach od wyjazdu z Golden Groves; wówczas nieomal się nie rozkwasił, gdyż droga stała się piskliwą melodią przenikającą przez dudniące bębny na krętych Wzgórzach Hollywood. Teraz przebłyski synestezji zdarzały się rzadko – jeden lub dwa dziennie – i tak przelotne, że za kierownicą nie stanowiły zagrożenia większego niż mocne kichnięcia. Każdy przebłysk przemyczał przez jego umysł jak duch, pozostawiając po sobie osobliwe echo nieuchwytnego smutku.

Natomiast pierwsze parę tygodni produkcji były prawdziwym koszmarem. Upłynęło być może dziesięć dni od czasu, gdy miał przebłyski mniej więcej co pół godziny, i to tak silne, że nie był w stanie sam prowadzić samochodu, że niszczył ujęcia, wycofując się w samym środku zdjęć, tak że aktorzy i ekipa nieraz podejrzewali, iż jest chory lub stuknięty i usiłowali to wykorzystać. Na szczęście do tej pory nakręcił już tyle filmów porno, że mógł to robić nieomal przez sen. Najgorsze było to, że robienie filmów tak go nudziło, iż przytapał się na oczekiwaniu przebłysków synestezji, koncentrując się na nich, gdy nadchodziły, nawet usiłując je przewidzieć, i przeżywając konkretną pracę jako coś nierealnego, jako coś, co wyznaczało czas. Kręcąc porno nie interesował się zbytnio seksem – traktując cały dzień ciała kobiece jak towar, trudno mu było roznamiętniać się nimi w nocy – i czuł, że rzeczywiście żyje wyłącznie wtedy, gdy ma przebłyski, albo kiedy wda się w jedną z wielu okropnych awantur.

Wykonał gwałtowny przeskok przez trzy pasy, zjechał z autostrady przy bulwarze Laurel Canyon, przejechał przez wertepy Doliny San Fernando i począł wspinać się na Wzgórze Hollywood.

Dolina na zboczu Wzgórz była w stylu płaskiej, podmiejskiej, jakby plastikowej równiny, lecz gdy się już było po drugiej stronie Mulholland Drive, przebiegającego wzdłuż głównego pasma wzgórz, bulwar Laurel Canyon zakręcał i wił się w dół ku Sunset Strip wzdłuż starego, wyschniętego koryta potoku przez głęboki wąwóz, przecinający pokryte zielenią i zwichrowane wzgórza, ozdobione festonami tajemniczych, na pół ukrytych domów, niczym sceneria z jakiegoś rysunkowego filmu Disneya o elfach z Czarnego Lasu.

Zazwyczaj Marvin czuł się znacznie podniesiony na duchu, gdy opuszczał martwy, plastikowy krajobraz niziny Los Angeles, by udać się do cienistego, zurbanizowanego, a jednak naturalnego świata kanionu. Zwykle wielkim przeżyciem było dla niego ukończenie jednego filmu – a cóż dopiero trzech – i jazda samochodem daleko od tego wszystkiego w ostatni dzień montażu do domu, gdzie już oczekiwała go jedna z tuzina łatwych dziewcząt, by w zamian za stracony weekend rozpocząć z nim nowy, trwający cały tydzień, jako nagroda za dobrze wykonaną robotę.

Lecz tym razem jazda do domu nie wywarła na nim żadnego wrażenia, zakończenie ostatecznych przygotowań do wyświetlania filmów pozostawiło mu jedynie uczucie pustki i zmęczenia i nawet nie zadał sobie trudu, by sprowadzić dziewczynę, która czekałaby na niego

w domu. Czuł się wykończony, skapcianały, uczuciowo otępiały, a najgorsze było to, że nie wiedział dlaczego.

Wjechał do garażu i obszedłszy dom wszedł w zacisze zaniedbanego, zarosniętego ogrodu. Nawet dzika, bujna roślinność jego prywatnego stoku wydała mu się spłowiała, blada i jakaś nierealna. Ptasie dźwięki wśród drzew i w zaroślach przypominały kiczowaty raj.

Ze złością kopnął kamień, a wtedy usłyszał telefon dzwoniący w domu. Wszedł do środka, usiadł ciężko w czarnym, skórzanym, dyrektorskim fotelu przy stoliku z telefonem, podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu bawialni i mruknął:

– Tak?

Był to Wally Bruner.

– Co się dzieje, Bill? Nie mam od ciebie wiadomości od prawie dwóch miesięcy, od czasu, kiedy zająłeś się tą sprawą, o której mówiliśmy. Słyszałem, że zacząłeś kręcić trzy tygodnie temu, stąd wiem, że żyjesz, ale dlaczego nie skontaktowałeś się ze mną? Czy załatwiłeś to, po co tam pojechałeś?

Marvin patrzył bezmyślnie przez szerokie okno na ogród, gdzie późne popołudniowe słońce rzucało cienie poprzez wąskie skrawki trawnika pod dwoma dużymi drzewami eukaliptusowymi.

Dwie ciemnobrunatne gołębicę odważyły się opuścić swoje zalesione schronienie, by dziobać nasionka w trawie i gulgotać markotnie między sobą jak owdowiałe ciotki.

– O czym ty mówisz, Wally? – spytał Marvin apatycznie.

– Do cholery, wiesz przecież! Golden Groves. Harry Krell. Czy jesteśmy gotowi prowadzić tę sprawę?

Nagle jarzące się pęczeryki pastelowego blasku zaczęły unosić się powoli przez lepłą ciecz koloru wina, a Marvin poczuł słodki aromat idealnego zachodu słońca; trwało to jeden złudny ułamek sekundy i znikło.

Marvin westchnął, przymrużył oczy, uśmiechnął się.

– Zapomnij o tym, Wally – rzekł. – Dałem sobie spokój z tą całą sprawą.

– Co takiego? Dlaczego, na Boga...

– Powiedzmy sobie, że wszedłem na górę, zszedłem z niej i chcę się upewnić, że ona nadal tam jest.

– O czym, do diabła, mówisz, Bill?

– O tym, co kupują winiarze – odparł Marvin.

– Bill, chyba jesteś wstawiony!

– Jestem okay – rzekł Marvin. – Powiedzmy po prostu, że wszystko mi jedno, na co Karen wydaje swoje alimenty, dopóki muszę jej płacić, i poprzestańmy na tym. Dobra?

– Dobra, Bill. Taką właśnie radę dałem ci na samym początku.

Odwiesiwszy słuchawkę po rozmowie z Brunerem, Marvin siedział wpatrując się w swój ogród, gdzie pospolite, ciemnobrunatne ptaki dziobały w kępkach trawy, a subtelny, szary odcień smogu był ledwo widoczny w gasnącym świetle.

Westchnął, wzdrygnął się, wzruszył ramionami i westchnął ponownie, po czym podniósł słuchawkę telefonu i wykrecił numer Golden Groves.

Jeździec na pochodni

Rozdział I

Siejąc tęczowe błyski z obcisłego lustrzanego kostiumu, spowity w obłok czarnej peleryny, Jofe D'mahl wtargnął poprzez dymnie połyskliwy ekran ściany-burty ogromnego salonu-okrętu, przy akompaniamencie pierwszych taktów Piątej Symfonii Beethovena. Wraz z jego ciałem, migotliwą ścianą przeniknęło widmo światła, obwieszczając naocznie obecność gospodarza rtęciowymi pulsującymi błyskami. Wszystkie głowy się odwróciły, wszystkie postacie zamarły i całe przyjęcie zastygło na dłuższy bit, w którym Jofe D'mahl przywitał gości ironicznym półukłonem. Dopiero, kiedy ruszył po mglistym parkiecie w stronę unoszącej się w powietrzu tacy z olśniewaczami, bankiet odzyskał poprzedni rytm. Jofe D'mahl zrobił wejście.

Wybrał z tacy purpurową kulkę, wrzucił olśniewacz do ust i wgrzył się przez wyrafinowaną, orzeźwiająco gąbczastość w przejmujące jądro aksamitu, doznając smakowego orgazmu. Pierwsza klasa, autorstwa niejkiej Lindy Wolder – tak powiedziała Jiz i jak zwykle trafiła w dziesiątkę. D'mahl wczuł nazwisko Lindy Wolder do swojego banku, włączając je w ścieżkę zmysłową z ostatnich dziesięciu sekund i uzupełniając nim bieżącą listę bankietową. W rzeczy samej, to wschodząca gwiazda, trzeba o niej pamiętać.

Postukał w szybującą tacę, aby podążyła za nim i ruszył poprzez wielobarwną, sięgającą kolan mgłę, rozdając ukłony i spojrzenia soczyście zielonych oczu, chłonąc klimat, który sam powołał do życia.

D'mahl skusił samego Hiro Korakina, aby zaprojektował mu grand-salon jako interpretację osobowości. Korakin wywiesił z kadłuba statku olbrzymią, półkolistą płytę usianego bąbelkami powietrza szmaragdu i nakrył ten wielki taras kloszem z przezroczystego plexi, oferując gościom D'mahla zapierający dech w piersiach, bezpardonowy obraz wszechświata. "Excelsior" mieścił się właściwie w centrum Wielkiego Szlaku, zaś linię horyzontu salonu wyznaczała liczna flota statków – dumne drogocenne miasto migotliwych świateł. Dziesięć kilometrów przed dziobem "Excelsiora", błona wodorowa o wyglądzie zorzy polarnej oddzielała ich od niezmiernie nagości przestrzeni międzygwiazdnej.

Wyjrzeć poza krawędź tarasu, w wypolerowaną i rozjarzoną światłami czeluść cylindrycznego kadłuba "Excelsiora", znaczyło stanąć oko w oko z widokiem, który wsysał się w głąb duszy, aż po samo dno – bezdenne międzygwiazdny jar, bezgraniczna czarna studnia, a w niej miriady gwiazd jak połyskliwe drobinki nieznaczącego pyłu – nicość rozciągnięta po wieczność w czasie i przestrzeni. Gdzieś w tej czerni, w nieokreślonym punkcie, niewidoczny pióropusz pochodni "Excelsiora" łączył się z dwoma tysiącami trzydziestoma dziewięcioma podobnych sobie pióropuszy pochodni innych statków, w eteryczny ogon komety z ledwie widzialnego płomienia o barwie fioletu, który blakł stopniowo w ciekłą smużkę, ciągnącą się po wieczność w głąb czeluści. Był to ślad przejścia Karawany, który jak nitka z kłębka rozwijał się wstecz w przestrzeni i czasie, na odległość setek lat świetlnych i blisko dziesięciu stuleci, ślad dostrzegalny, który można by, zdawało się, prześledzić wzrokiem poprzez wieki aż po sam ogród utracony – Ziemię.

Jofe D'mahl wiedział doskonale, że dla wielu z jego gości owo dosłowne, realistyczne zobrazowanie kondycji ludzkiej jest czymś niepokojącym, przerażającym, może nawet w złym guście. Ale to było ich zmartwienie: dla D'mahla był to widok oszałamiający, co, naturalnie, słusznie podnosiło jego i tak już wysoką opinię o własnej osobie. Nie bez kozery Korakin cieszył się sławą najlepszego psychitekta w Karawanie.

Wnętrze grand-salonu D'mahl urządził jednak osobiście, przy nieocenionej współpracy

Jiz Rumoku. Na przezroczystej szmaragdowej posadzce zasadził migotliwy las rubinowych, szafirowych, diamentowych i ametystowych drzew, zwodniczo wiernie naśladowujących żywe formy z odległej przeszłości, które przy każdym najbliższym drgnieniu powietrza trzepotały połyskliwymi liśćmi z kryształu. Efekt dopełniała wonna mgła, w której mieszały się błękitne, czerwone i liliowe odcienie wiecznie opalizujących drzew i która poza klimatem baśni utrzymywała stałą grawitację 8 gs na synck. Dla złagodzenia ostrości kryształowych krawędzi, Jiz wystarała mu się o zestaw czterdziestu pufo-kul, puchowych balonów w stonowanych odcieniach zieleni, brązu, ochry i szarości, które szybowały gdzie popadło tuż nad poziomem posadzki, dopóki ktoś w nich nie usiadł. Korakin uchwycił rdzenną dla D'mahla przenikliwość widzenia, a sam Jofe dołączył do tego neobarokowy styl swoich ostatnich sensoś. Wynikłe z tego połączenia dzieło sztuki tchnęło paradoksem, jakim była sama Karawana. Dla gości paradoksem owym był Jofe D'mahl. W zgodzie z własnym ego, D'mahl nie czynił w tej kwestii żadnych rozróżnień.

Lista gości była również dziełem sztuki w nowym, neobarokowym stylu D'mahla – zgromadził konstelacje ludzi stworzonych do tego, aby to łąścić się przymilnie, to znów zgrzytać jak potłuczone szkło, tu i ówdzie popierać płodozmiany, ale cały czas trzymać na ogniu staroświecki imbryk karmy. Jans Ryn brylowała jak zwykle przed mieszaną kompanią, w której znajdował się między innymi główny strażnik pochodni "Excelsiora", dwaj ziemioryjcy z Kantucka, oraz Tanya Davis, żmija w atlasowej skórze. Znaczny tłumek asystował też zagorzałej dyskusji między Daltą Reed a Trombleau, astrofizykiem z Polany. Mniej znaczni goście kręcili się to tu, to tam, pełniąc mniej znaczne, role. Aby przyjęcie mogło błysnąć pełnym blaskiem pochodni, potrzebny był katalizator.

I dokładnie o 24.00 katalizator taki miał się wstrzelić w ich niewinne czujniki – miało to być premierowe wyczucie nowego senso Jofe D'mahla pt. "Wędrujący Holendrzy". D'mahl wyrzeźbił z próżni rzeczywistą prymę – i był tego świadom.

...dzięki sięgnięciu poza granice pierwotnego promieniowania a następnie śledzeniu nitki aż do kłębka...

– ...jak tysiąc słońc, powiedzieliby na Alamagordo, Jans, a to za ledwie o jedną zaporę i jedno pole przepływu stąd...

– ...pan się musi czuć jak Prometeusz...

– Jofe! Ten tutaj nova przechwała się, że uzyskał wzór spektralny dla życia organicznego – krzyknęła Delta, wciągając D'mahla na moment w swoją orbitę.

– Na taśmie gwiazdoskopowej? – zapytał z powątpiewaniem D'mahl.

– W teorii – przyznał Trombleau.

– Skąd my to znamy? – skwitował D'mahl, racząc się kolejnym olśniewaczem panny Wolder. Kęs przecisnął się między zębami, po czym eksplodował gorzką słodyczą, która niemal natychmiast przerodziła się w długotrwały, dymny posmak. Niezłe, pomyślał D'mahl, oddalając się tanecznym krokiem od rozwartych ust Trombleau, zanim został wessany w dyskurs.

D'mahl brodził w oparach mgieł; zaszedł znienacka Arniego Simkova, klepnął po tyłku Dariusa Warnera i stanął przy grupce gości otaczających Johna Beninę, który był w senso punktem widzenia. Próbowali wyciągnąć z niego coś na temat senso, ale John dobrze widział, że jeśli puściłby parę przed premierą, jego szansę na ponowną współpracę z Jofe D'mahlem osiągną równo jeden bzdet.

Nie bądź taki, Jofe, powiedz nam coś niecoś o tych Wędrujących Holendrach – nalegała kobieta odziana w obłok jaskrawożółtej mgły. D'mahl nie przypominał jej sobie cielesnie, ale nie zadał sobie trudu wczucia się po informacje. Wgryzł się natomiast w sześcienny olśniewacz, który zatomizował się pod dotknięciem zębów, na jeden szalony mikropuls wybielając każdą z osobna synapsę ust. Fuj.

– Zdradzę wam dwie rzeczy – powiedział. – Jednym z dwóch głównych punktów

widzenia był John Benina, całość zaś jest mitmaszem.

Rozległ się chóralny jęk, pod osłoną którego D'mahl odbił rykoszetem w stronę Jiz Rumoku, stojącej w oparach zielonej mgły z kimś, kogo nie potrafił zidentyfikować.

Jiz Rumoku była jedyną osobą obdarzoną przywilejem zapraszania na bankiety D'mahla własnych gości, a także jedyną chyba osobą, która nie mając nic wspólnego z powstaniem "Wędrujących Holendrów" miała o dziele jakiegokolwiek pojecie. Gdyby podejrzewać Jofe D'mahla o posiadanie duszmana, (co jest założeniem mocno wątpliwym), duszmanką jego byłaby Jiz.

Ubrana była, jak zwykle, w ostatni krzyk jutrzejszej mody: kombinezon ze świetlistej, wyglądającej na sztywną, zielono-purpurowej tkaniny z mozaiką figur geometrycznych, dopasowany do linii ciała jak średniowieczna zbroja. Poszczególne płaszczyzny uwidaczniały się subtelnie z każdym ruchem, dając wspaniały owadzi efekt, ukoronowany wysokim, pierzastym grzebieniem, w którym wymodelowane były elektrostatycznie jej długie, czarne włosy.

Uwagę D'mahla jednak przyciągnął jej towarzysz, gdyż był to bez wątpienia próżniok. Poza niebieskimi slipami i sandałami nie miał na sobie nic; na całym ciele ani włoska, a łysa czaszka pomalowana była na kolor srebrny. Pomijając kreację, natychmiast zdradzały go oczy: błękitne okna plexi wpatrzone w nieskończony wszechświat absolutnej czerni uwięzionej dzięki jakiejś topologicznej sztuczce we wnętrzu jego połyskliwej czaszki. D'mahl wczuł ten obraz do banku czuciowego.

– Imię, nazwisko – wydał wewnętrzne polecenie. W jego umyśle pojawiło się nazwisko "Haris Bandoora". – Dane, w skrócie – zażądał.

– Haris Bandoora, lat standardowych pięćdziesiąt aktualnie dowódca statku zwiadowczego "Bela-37"; powrócił do Karawany w ubiegły wtorek, 4.987. Raport w bieżącym czasie realnym niedostępny.

A wiec tym razem Jiz postarała się o rzeczywiście łakomy kąsek – próżniokada tak świeżo przybyłego z dalekiego niebytu, że Rada Pilotów nie zdążyła jeszcze opublikować jego raportu.

– Miło powitać pana z powrotem w cywilizacji, panie dowódco. Jaka ona jest, taka jest – ale zawsze.

Bandoora zwrócił na niego próżnię swoich oczu.

– Jaka ona jest, taka jest – powtórzył zimnym, dźwięcznym głosem, który podsumowywał, oceniał i dyskutował historie ludzkości w kilku martwych sylabach.

D'mahl odwrócił wzrok od czarnych przepaści, spojrzął w migdałowe oczy Jiz i na moment oboje przeczuli się wzajemnie w intymnym powitaniu. Jofe ujrzał własne ciało w lustrzanym odbiciu, poczuł ciepło, jakie budziło ono w Jiz. Ucałował własne usta jej ustami, smakując elektryczną dymność spożytych niedawno olśniewaczy. Usta ich rozłączyły się, odczuli się równocześnie.

– Co pan tam pisze w tym raporcie, którego Piloci nie przekazali jeszcze do banków? – zapytał D'mahl z konwersacyjnym zainteresowaniem. (Jak tu gawędzić niezobowiązująco z próżniokadem?)

Wąskie usta Bandoory rozchyliły się w czymś, co mogło być uśmiechem, ale równie dobrze i skrzywieniem bólu. D'mahl wyczuł, że parametry emocjonalne tego człowieka są prawdziwie obce jego doświadczeniom, czy to prymarnym, czy symulom. Nigdy dotąd nie poświęcał większej uwagi próżniokom i teraz sam się dziwił, dlaczego. Należało koniecznie sporządzić poza-senso na ten temat.

– Znaleźli planetę – oświadczyła Jiz. – O 23.00 wydany będzie biuletyn ogólny.

– Bomba – orzekł D'mahl, nadając temu słowu niuanse wszystkich doznań, jakie poruszało. Próżniokady zawsze wracały z raportami o nowych, jeszcze ciepłych, systemach słonecznych, elektryzując Karawanę na parę miesięcy, podczas których gorączkowo szyko-

wali się do bezpośredniego sondażu badawczego, po czym, skoro tylko okazało się, że cudowna planeta to jeszcze raz tylko bzdet z głązów i przyprawiającego o mdłości gazu, kierowali egzaltację obywateli Karawany na kolejną Ultima Thule. Już blisko tysiąc lat, wiedli tak Karawanę zrywami po zygzakowatym szlaku wśród próżni od jednej płonnej nadziei do drugiej – dlatego też w opinii D'mahla ten ostatni bzdet nie był nawet godzien miana kosmicznej bujdy. Ale i tak stanie się objawieniem co najmniej trzech najbliższych miesięcy, czyli podłapanie biuletynu przed oficjalną jego publikacją to tak czy owak numer pierwsza klasa, prawdziwy zastrzyk dla niego. Bomba.

– W tym przypadku szansę wyglądają nieźle – powiedział Bandoora.

– Jak zawsze, nieprawdaż? – zauważył jadowicie D'mahl. – I zawsze wychodzi na to samo. Jeżeli w strefie potencjalnego zasiedlenia występuje skała, jej grawitacja urywa głowy, albo też atmosfera stanowi smakowity koktajl wodoru, cyjanku i fluorku. Czy nie wydaje się panu czasami, Bandoora, że jakaś kosmiczna osobistość próbuje zakomunikować panu coś, czego pan nie chce słuchać?

Wewnętrzny wyraz emocji Bandoory wykrzywił się jakby pod beznamiętną powłoką ciała. Jego dolna warga zadrgała w tiku. Co ja takiego powiedziałem? Zdumiał się D'mahl. Te próżniojady naprawdę daleko zabrnęły po wektorach zdziwaczania.

Jiz zdobyła się na wymuszony uśmiech.

– Pochodnią, na której jeździ Jofe, jest czyste ego – powiedziała. – Jofe ma kwaśną minę, bo biuletyn upuści nieco H z jego premiery. Nie mam racji, Jofe, ty ego-potworze?

– Nie tykaj ego – odparł Jofe D'mahl. – Jedynie ono stoi między nami a okulałym Wszechświatem, na który mamy nieprzyjemność być skazani. Ponieważ moja opinia o sobie jest jedyną znaną mi rzeczą w zaściankowej kosmicznej hierarchii przewyższającą wspaniałość mojej osoby, stwierdzam, że jedynie moje ego godne jest uwielbienia. A to dowodzi, że jestem...

– Nieznośny? – odpowiedziała Jiz.

– Że jestem po prostu człowiekiem – sprostował D'mahl – Ponieważ i tak jestem na to skazany, niech mi chociaż będzie przyjemnie.

– Biuletyn Rady Pilotów. – Słowa te wtargnęły do umysłu D'mahla z odpowiednią dozą taktu, co było dowodem poprawy manier od czasów, kiedy Pilotom zdawało się, że mają prawo wstrzelić się człowiekowi w fugę zmysłową, ilekroć przyjdzie im na to ochota. – Dzie sięć... dziewięć... osiem... siedem... – D'mahl przyciągnął do siebie zieloną pufu-kulę i zakotwiczył szybującą chmurę cząsteczek poprzez umieszczenie w niej swojej czcigodnej sempiterny. Jiz i Bandoora zajęli miejsca po jego bokach. – Sześć... pięć... cztery...

Ci goście, którzy jeszcze stali, pozajmowali miejsca: nigdy nie było wiadomo, jak długo potrwa przekazywanie biuletynu. Piloci cierpią na groteskowy przerost poczucia własnej wartości, pomyślał D'mahl A to dowodzi, że są...

–...trzy ...dwa ...jeden...

Po prostu ludźmi.

D'mahl siedział na ławie w samym centrum niedużego amfiteatru. Wokół niego zasiadało pięćset dwa tysiące czterdziestu ludzi ubranych w archaiczne niebieskie kurtki wojskowe, pamiętające czasy, kiedy tytuł Pilota Statku oznaczał funkcję paramilitarną, a nie obieralny urząd. D'mahl uznał jednorodność strojów za groteskowo komiczną, a krąg dziennego nieba nad ziemiopodobną planetą za banalny i uwłaczający dobremu smakowi – mimo to jednak musiał przyznać, że większość Pilotów, z ich naiwnym wyobrażeniem o pozycji egzystencjalnej Karawany, ujmowała go i rozczulała swoją prostodusznością.

Ryn Nakamura, siwowłosy starzec od lat, których już nikomu nie chciało się liczyć, piastujący stanowisko Przewodniczącego Rady Pilotów podszedł do niego majestatycznym krokiem, obiema dłońmi klepnął go po ramionach i zasiadł obok. Pachniał natrętną perfumą, skomponowaną jako symula woni mądrości, spleśniałych pergaminów i gnijącej słodyczy.

Jako artysta, D'mahl uznał kompozycje za udaną, jakkolwiek nieprzyjemnie jednoznaczną; jako obywatel odebrał ją jako wyraz pogardy i wrogości.

Nakamura pochylił się ku niemu, i w tym samym momencie amfiteatr znikł, a oni siedzieli w zacisznej samotności abstrakcyjnej przestrzeni szczelnie otoczonej firmamentem gęsto skupionych gwiazd.

– Słuchaj, Jofe, statek zwiadowczy "Bela-37" powrócił do Karawany z raportem o systemie słonecznym, w którym istnieje potencjalnie zamieszkiwalna planeta. System zlokalizowany jest w obrębie półtora roku świetlnego od naszej aktualnej pozycji – obwieścił z namaszczeniem Nakamura.

D'mahl miał ochotę ziewnąć staremu nudziarzowi prosto w nos, lecz naturalnie dawca punktu widzenia skrzętnie nagiął jego plecy w stronę Nakamury, zaś Przewodniczący kontynuował wypowiedź kozim głosem:

– Rada stosunkiem głosów 1839 do 201 postanowiła zmienić wektor Karawany w kierunku tego systemu, oznaczonego jako 997-Beta, jeszcze przed ujawnieniem raportu.

D'mahl siedział w połowie wysokości amfiteatru, a Nakamura ciągnął formalne przemówienie z trybuny na dole.

– Żywimy szczerą nadzieję, że nasza długa przerwa zbliża się wreszcie do szczęśliwego końca, że jeszcze za naszego życia człowiek ponownie stanie na żyznych wzgórzach żywej planety, z niebem nad głową i wonią życia w nozdrzach. Na zakończenie biuletynu zacytuje my kilka wyjątków z raportu Harisa Bandoory, dowódcy statku "Bela-37".

Nie schodząc z mównicy, Nakamura przeistoczył się w Harisa Bandoorę.

– "Bela-37" podróżowała pod kątem trzydziestu stopni od głównego wektora Karawany – oznajmił beznamiętnym tonem Bandoora. – Prędkość w skali pochodni 0.9...

D'mahl stał teraz na mostku kapitańskim "Beli-37", będącym małym okrągłym pomieszczeniem, obrzeżonym imponującą aparaturą i zamkniętym kopułą z niebieskawego plexi dla zniwelowania efektu Dopplera, lecz wizualnie otwartym na przejmującą groźą wspaniałość przepastnej próżni. Okazało się, że jednym z czterech próżniojadów na pokładzie jest kobieta, która dla D'mahla stanowiła silną konkurencję wobec gwiazdnego spektaklu. Miała na sobie szorty i klapki, czaszkę zaś miała, jak cała reszta, łysą i posrebrzoną, ale jej nadnaturalnie stożkowate piersi i lśniące, silnie umięśnione ciało, sprawiły, że to, co powinno było budzić obrzydzenie, stało się abstrakcyjnym paradygmatem kobiecej urody. Czy ciepło, które poczuł, było jego własnym ciepłem, czy też pochodziło od dawcy punktu widzenia – a więc samego Bandoory - nie było teraz istotne.

– Gotowość do badania radarowego i rejestracji systemu 997-Beta – odezwała się oszałamiająca istota. D'mahl zbliżył się do niej, z zamiarem znurkowania w bezdenne oczy kobiety-próżniojada. Zamiast to osiągnąć, stwierdził, że usta jego przemawiają głosem Bandoory:

– Światło, Sidi.

Sidi wykonała jakiś zabieg na konsolce (co za archaiczne urządzenie!) i w centrum geometrycznym mostka kapitańskiego rozbłysła aureola żółtej gwiazdy o średnicy mniej więcej ludzkiej głowy. D'mahl wymienił z załogą pełne napięcia spojrzenia, czując somatycznie, jak jego oczekiwania rosną.

– Planety... – powiedział.

Pojawiło się pięć małych okrągłych cząstek, wirujących w sprężonym czasie wokół żółtego, słońca.

– Potencjalna strefa zasiedlenia...

Hologram 997-Bety otoczył przezroczysty zielony torus. Druga planeta mieściła się w jego granicach.

Rozległo się głośnie westchnienie, a D'mahl poczuł, że drży na całym ciele.

– Druga planeta - zarządził głos Bandoory. – Na max.

Hologram gwiazdy zniknął, a na jego miejscu pojawiła się biała, strzępiasta aureola drugiej planety, o średnicy czterokrotnie przerastającej średnicę samej planety. Planeta zdawała się być upstrzona polami brązu, zieleni, błękitu, żółci i fioletu, hologram był jednak bładny i rozedrgany, jakby oglądany przez gorącą mgławicę grubości wielu mil.

Neutralny głos recytował odczyty instrumentów.

– Domniemana grawitacja - 1.2 gs, plus-minus dziesięć procent... domniemana średnia temperatura – trzydzieści trzy stopnie Celsjusza, plus-minus sześć stopni... domniemany skład atmosfery; hel, azot, tlen, jako składniki podstawowe... skład procentowy w świetle obecnych, danych nie do ustalenia... śladowe ilości dwutlenku węgla, argonu, amoniaku, pary wodnej... domniemane proporcje wody i ładu: 60:40... skład chemiczny wód oceanów w świetle obecnych danych nie do ustalenia...

D'mahl poczuł, jak napięcie całego ciała kanalizuje się poprzez struny głosowe w nieartykułowany krzyk, który zlał się z okrzykami jego towarzyszy. Usłyszał, jak jego usta głosem Bandoory mówią:

– To najlepszy opis, z jakim za mojego życia powrócił statek zwiadowczy. D'mahl siedział w amfiteatrze, a Bandoora przemawiał do Rady.

Na 997-Betę-II bezzwłocznie wysłano sondę. Za dwadzieścia dni "Beta-37" wyruszy, aby monitorować dane sondy z czoła fali. Zakładamy, że ostateczne dane będziemy w stanie dostarczyć w ciągu pół roku standardowego.

D'mahl był abstrakcyjnym punktem widzenia w czarnej przestrzeni. Ogromny mglisty hologram 997-Bety-II unosił się przed nim jak widziadło zakazanego owocu, a jednocześnie w jego umyśle zabrzmiały słowa:

– Na tym kończymy biuletyn Rady Pilotów.

Wszyscy goście w grand-salonie Jofe D'mahla poczęli natychmiast gadać, gestykulować, kręcić się w podnieceniu. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę D'mahla, Jiz i Bandoory, D'mahl, wiedząc, do kogo adresowane są pełne zachwyty spojrzenia, poczuł palącą zazdrość.

- No i co ty na to, Jofe? - odezwała się Jiz, a w jej tonie błysnęło przewrotne ostrze złośliwości.

– Niezła robota – odparł lodowatym tonem D'mahl. – Do sztuki jej daleko, ale przyznam, że to efektowny kawał propagandy.

Bandoora ponownie wydał mu się silnie urażony, jak gdyby słowa D'mahla sięgnęły jakiejś głęboko ukrytej rany.

– Ale ta planeta, Jofe! Ta planeta!

Walcząc z wzbierającą falą rozdrażnienia, D'mahl zdobył się na pobłażliwie dobrotliwy uśmiech.

– Szczerze mówiąc, baczniej przyglądałem się Sidi – powiedział. – Próżnijady odkrywają planety, które świetnie wyglądają z daleka, i to o wiele częściej niż się widuje ciała tak świetnie wyglądające z bliska.

– Wiec pana zdaniem przyszłość rasy ludzkiej to temat do żartów? – odezwał się głośnie Bandoora, po raz pierwszy okazując irytację.

D'mahl wyczuł czas: była 23.981. Za chwile mieli się rozpocząć "Wędrujący Holendrzy", a goście w kółko pletli tylko o szansach znalezienia choćby jednej nadającej się do życia grudki błota! D'mahl skoczył na równe nogi i wrzasnął:

– Pan za długo siedział w Wielkim Niemaniu, panie Bandoora! – Samą donośnością głosu natychmiast skupił na sobie uwagę wszystkich gości. – Gdyby to mnie skazano na statek zwiadowczy w towarzystwie Sidi, miałbym w głowie coś lepszego niż gówniane planety!

– Pan jest degeneratem i egomaniakiem, panie D'mahl – zabeczał nabożnie Bandoora, wywołując – zgodnie z nadzieją D'mahla – kaskadę śmiechu.

– Przyznaje się do obu zarzutów – rzekł D'mahl. – Naturalnie, że jestem egomaniakiem

– jak każdy, uważam się za jedyne istniejącego Boga. Naturalnie, że jestem degeneratem – wszyscy jesteśmy degeneratami: miękkimi protoplazmatycznymi maszynkami, których degeneracja rozpoczyna się w momencie powstania!

W gnieniu oka D'mahl rozproszył solenny nastrój, jaki zapadł na jego bankiecie po ogłoszeniu biuletynu, a metodą ośmieszania i lekkiego przeginania pały, odzyskał prymat uwagi.

– Jesteśmy skazani na bycie tym, czym jesteśmy, tu, gdzie jesteśmy. Holendrzy na bezgranicznym oceanie przestrzeni – to my.

Po salonie poniósł się zbiorowy jęk, podszyty śmieszkami z tak obcesowego przejścia do bliskiej premiery, zwieńczony zaś powagą na myśl o tym, kim wszyscy są i gdzie ich miejsce.

D'mahl dał plamę – a przynajmniej nie całkiem jeszcze doszedł do siebie – i był tego świadom, a świadomość ta rozbłysła pod jego czaszką jak czerwona nova. W tym właśnie momencie złej karmy, godzina 24.00 weszła w czas realny i na częstotliwość czuciowej E-6...

Stoisz u stóp łagodnego zielonego wzgórza, na którego porośniętym drzewami szczytami przybijają do krzyża mężczyźni w przepasce na biodrach. Za każdym uderzeniem młota czujesz przeszywający ból w nadgarstkach. Stoisz w szerokiej alei starożytnej Jerozolimy, przyciskasz do piersi dzban z wodą – i widzisz Jezusa wleczonego na zagładę, a krtań twoją pali jego straszliwe, beznadziejne pragnienie. Znowu jesteś w Kalwarii, słyszysz stuk młota, czujesz w nadgarstkach błyskawice bólu, a w ustach smak rozżarzonych piasków.

Jesteś w nadbudówce starego drewnianego żaglowca, smakujesz słony wiatr morskiej burzy. Niebo kotłuje się i wyje pod złowróbnym zielonym księżycem. Twoja załoga miota się po pokładzie wśród przekleństw, krzyków i piskliwych jęków istot o widmowo przezroczystych ciałach, odzianych w postrzępione łachmany. Piana zalewa ci twarz, a ty ścierasz ją wierzchem dłoni, widząc poprzez własne ciało, jak spływa ci przed oczami. W głębi krtani wzbiera ci śmiech, który w końcu kipi na zewnątrz – nazbyt głośny, nazbyt przejmujący, istne wycie szaleńca. Wznosisz do góry pieść jak z mlecznej mgły i wygrażasz niebiosom. Pękają pociski błyskawic. Jeszcze gwałtowniej potrząsasz pięścią i wdychasz sztormowy wiatr jak oddech kochanki.

Z ostatnim uderzeniem młota patrzysz ku szczytowi Kalwarii i czujesz we własnej dłoni żelazny boleć, a pod własnym ramieniem drewniane ramie krzyża. Stawiają krzyż, a wiesz na nim ty; niebo rozplywa się w ogłuszającej eksplozji światła jaśniejszego niż tysiąc słońc. I wleczesz się mozolnie przez bezkresną równinę szarego lotnego pyłu, pod niebem barwy rdzewiejącej stali. Spośród wirującego pyłu wyrastają zębate ruiny zdruzgotanych budowli, a cały świat od horyzontu po horyzont, wypełniają otepiałe szkieletowate postacie, maszerujące nie wiedzieć dokąd bez śladu nadziei. Lecz ciało twoje ma uporczywą, ołowianą siłę czegoś, co wie, że nie może umrzeć. Ból w nadgarstkach, w ustach pył. Ludzie dookoła ciebie gniją w marszu, topią się jak zegary Dali'ego, aż wreszcie zostajesz sam – ty, strażnik trupa planety. Zbliża się do ciebie żaglowiec – widmo, wznosząc się i opadając poprzez chłostany burzę pyłu.

Nadbudówka zapada się pod tobą, niebiosy wyją. Nagle otaczające księżyc chmury rozwiewają się, ukazując zimną, bezwzględną czerń usianą miriadami twardych punkcików światła, a nadbudówka zmienia się w stalowy mostek pokładowy. Stoisz w luku prymitywnego statku-pochodni pierwszej generacji. Na twoim gwiaździstym horyzoncie widać dziesiątki innych przerobionych frachtowców asteroidalnych, ledwie kikutów pochodni z byle jak skleconymi kopułami, lukami i toroidalnymi pokładami – to dalecy solarni przodkowie Karawany.

Obracasz się i tuż przy sobie widzisz wiekowego potwora: starego, bardzo starego człowieka z twarzą porytą bliznami popromiennymi, z duszą porytą bliznami nieukojonego poczucia winy, z wiecznym lodem żarzącym się w lodowato czarnych oczach.

Stoisz w wypukłym luku statku-pochodni pierwszej generacji. Pod tobą jest Ziemia: brunatna, okopcona, zrakowaciała kula, wciąż jeszcze dysząca promieniowaniem Wojny Na Zwolnionych Obrotach. Gdzieś tam biją dzwony, a ty czujesz w dłoniach szarpanie liny dzwonu. Odwracasz głowę i widzisz chudego, diabolicznego mężczyznę o twarzy całkiem płaskiej i oczach jak błękitne węgle. Jego twarz na chwilę rozwiewa się w mgłę i tylko szalone oczy pozostają twarde i realne.

– Witaj, Holendrze – mówisz.

– Witaj, Zbiegu.

– Nazywają mnie Tułaczem.

– To już teraz nic nie znaczy – mówi Holender. – Teraz już wszyscy ludzie są tułaczami.

– Wszyscy też jesteśmy zbiegami. Zabiliśmy żywy świat, który nas zrodził. Nawet ty i ja możemy nie doczekać ponownego spotkania. – W nadgarstkach czujesz kąsanie ćwieków, w dłoni ciężar młota. Pragnienie. Odległe bicie dzwonu.

Jesteś Holendrem patrzącym w noc wszechświata, o generacje od najbliższej gwiazdy, o stulecie od najbliższej nadziei żywego świata, o wieczność do przejścia na drugą stronę. W twojej głowie huczą grzmoty, z twoich oczu sypią się błyskawice. Mówisz:

– Pod stopy mamy jeno te pokłady, drogą naszą jest wiatr międzygwiazdny, a siłą napędową -pochodnie jądrowe. Nie wąż się skamleć przede mną, sam nigdy więcej nie miałem. - Zanosisz się dzikim, skowyczącym śmiechem szaleńca. - A teraz mam liczne towarzystwo.

Jesteś Tułaczem, patrzysz z góry na zaszlachtowaną Ziemię, słuchasz bicia dzwonu, czujesz w ręku śmiertelny ciężar młota.

– Ja także, Holendrze, ja także.

Glob ziemi przeistacza się w inny świat: brązowo-purpurowy kontynent planety pożyczony jak marmur smugami jezior i niebieskich wód. Ubrany w ciężki kombinezon kosmiczny, stoisz na powierzchni planety, na nagiej skale, nad brzegiem czysto-błękitnego jeziora, pod fioletowym niebem obrzeżonym koronką rzadkich, szarych chmur, jak obłok spalin za odrzutowcem. Dwunastu innych ludzi w kombinezonach pełza po spękanej powierzchni skały, jak mrówki po gnacie.

– Trup - mówisz. – Ten świat to trup.

Obok ciebie – opętańczy śmiech.

– Po co ten grobowy ton, Tułaczu? Co nigdy nie żyło, nie może być trupem.

Kłęczysz na splechietku zaoranej ziemi, tułąc w zagłębieniu dłoni zwiędłe ziarenko sosny. Niebo nad tobą jest stalową płytą nabitą ćwiekami reflektorów, a masywne cylindryczne cielsko tuby pochodni kanalizuje wszechświat w zbiornik wodny pokładu rolnego. Scenografia jest prymitywna: klasyczna Karawana pierwszej generacji. Młoda dziewczyna w zielonych szortach i koszuli ziemioryjców, siedzi obok ciebie, naburmuszona, na syntetycznym klepisku, gapiąc się w wypukły luk pokładu rolnego.

– Tak będę żyć, i umrę, nie zobaczywszy nigdy nieba, nigdy nie przespaceruję się po lesie – mówi dziewczyna. – Co ja tu robię? Po co to wszystko?

– Podsycasz żar ostatnich węgielków Ziemi – wypowiadasz te słowa głosem starca. – Strzeżesz ostatnich ocalałych form życia organicznego. Pewnego dnia twoje dzieci, a może dzieci twoich dzieci, zasieją te ziarna w żywej glebie nowej Ziemi.

– Wierzysz w to, naprawdę? – pyta żarliwie, zwracając ku tobie jak słońce siłą swojej młodości. – Że znajdziemy kiedyś żywą planetę?

– Trzeba wierzyć. Jeżeli stracisz wiarę, zostaniesz jedną z nas, w piekle, któreśmy sami stworzyli. My, zrodzeni na Ziemi, jesteśmy katami życia. Nasze dzieci muszą być strażnikami życia.

Dziewczyna patrzy na ciebie zimnymi, bezdennymi oczami. Tułacza, a twarz jej

więdnie w pergamin starczej rozpaczy.

– Dla dobra naszych krwią splamionych dusz? – pyta, po czym na nowo staje się młodą dziewczyną.

– Dla własnego dobra, dziewczyno, dla własnego dobra.

W stanie nieważkości unosisz się nad kręgiem Karawany. Statki ustawione w szyku kolistym stanowią lagunę światła w bezkresnym morzu czarnej nicości. Bliżej czoła Karawany, czelusz międzygwiazdna kryje się za zasłoną muślinowej świetlistości: to błona wodorowa, w której połączone wachlarze pochodni statków Karawany tworzą stałą zaporę przeciwko rozrzedzonej atmosferze międzygwiazdnej. Statki Karawany są już co prawda unowocześnione i przystosowane do tworzenia błony wodorowej, ale są to nadal poprzerabiane frachtowce asteroidalne – a więc najwyżej Karawana Roku 150.

Lecz wewnątrz wieńca statków przyszłość szykuje się już do odpalenia. "Latający Holender", pierwszy statek-pochodnia wybudowany w całości w Karawanie z materiałów uzyskanych i przetworzonych z materii międzygwiazdnej, dryfuje przed tobą w przestrzeni, otoczony owadnim rojem szalup oraz tłumem mężczyzn i kobiet w kombinezonach próżniowych. Czysty, gładki cylinder, poznaczony pierścieniami okien pokładów, wygląda wręcz niestosownie pośród rupieciarni statków-pochodni pierwszej generacji – jak intruz z przyszłości.

Wtem z rury wydechowej "Holendra" dobywa się eteryczny purpurowy ogień i pierwszy statek zrodzony w Karawanie budzi się do życia.

Obok "Latającego Holendra" pojawia się drugi statek-pochodnia, po nim trzeci, i jeszcze jeden, i jeszcze jeden, aż w końcu liczba nowych statków, powstałych w Karawanie, przekracza liczbę zmodyfikowanych frachtowców asteroidalnych, a średnica błony wodorowej zwiększa się niemal dwukrotnie. Powierzchnia wewnętrzna Karawany jest teraz przestronnym dziedzińcem dla statków-pochodni, szalup, ludzi w kombinezonach i roztańczonych światła cywilizacji.

Stoisz na rampie lustrując z góry pokład rolny: rzadki laszek małych sosenek i dębów, łąchy zielonej trawy, kilka grządek kwiatów. Nad tobą widnieje aureola błękitnego ziemskiego nieba z barankami białych obłoków. Ziemioryjcy w tradycyjnych zielonych strojach krążą z namaszczeniem po całym pokładzie, pielęgnując delikatne formy życia, mierząc ich wzrost. Twoje nozdrza przepelnia kadzidlana woń świętości.

Siedzisz przy okrągłym symul-marmurowym stoliku na tarasie kawiarni w połowie wysokości kopuły zewnętrznej, na pokładzie rozrywki, popijając ze szklanki symul-burgunda. Posadzkę w dole otacza pierścień sklepów i restauracji, promieniście połączonych pasażami w wewnętrzny pierścień sklepów okalających centralny trzon pochodni. Każdy powstały w rezultacie tego podziału wycinek pokładu ma inny kolor i każdy wabi inną formą rozrywki: basen, muszla koncertowa, parkiet zero-grawitacyjnej dyskoteki, wesołe miasteczko, mglisty labirynt. Gwar narasta. Gra muzyka.

Naprzeciwko ciebie siedzi Tułacz w zielonym stroju ziemioryjcy i z gorzko pogardliwą miną.

– Patrz na nich – mówi. – Zbliżamy się do nowej planety, a oni nawet nie pamiętają, gdzie są.

– A gdzie są, Zbiegu?

– Któż miałby to wiedzieć lepiej niż ty, Holendrze? – odpowiada on, a ludzie w dole stają się przezroczyści, kopuły znikają, ty zaś patrzysz na dziwotwory tańczące po zawieszonych w czeluści międzygwiazdnej platformie. W całym tym bezmiarze nie ma już nie żywego, nic więcej się nie porusza.

W gardle łaskocze cię szaleńczy śmiech.

Pojawia się jakaś planeta, z początku nie większa od czubka szpilki, stopniowo rosnąca w łaciatą zielono-brązową kulę z barankami białych obłoków, aż wreszcie stajesz na jej

powierzchni w grupie odzianych w kombinezony mężczyzn, z trudem wlokących się z powrotem do macierzystej szalupy. Twarda, brunatna skała, pożyłkowana pasmami zielonkawych minerałów, pod granatowo-czarnym niebem upstrzonym pastelowymi chmurami. Jesteś z powrotem na tarasie, patrzysz na widma tańczące w bezkresnej galaktycznej nocy.

– Co powiesz, wielki admirał, kiedy pierzchnie wszelka nadzieja? – pyta Tułacz. Jesteś na dole, wśród widm, wyrosnięty na dziesięć stóp; jesteś olbrzymem, który wygraża pięścią czerni i martwej planecie, który wyciem rzuca wyzwanie wiecznej nocy.

– Żeglować dalej! Żeglować dalej! Coraz dalej!

– Dosyć statków! Dosyć statków! Ziemia albo śmierć! – Maszerujesz na czele niewielkiej armii mężczyzn i kobiet w zielonych strojach ziemioryjców, która z dolnego pokładu wdziera się na pokład rozrywki, dzierżąc krzyże owinięte symul-liśćmi winnej latorośli. Każdy okrzyk wbija ci gwoździe w nadgarstki.

Prowadzisz karnawałowy pochód widm w szalony taniec, poprzez pokład rolny, tratując kruche załączki życia, siejąc złote i srebrne confetti, olśniewacze, garście klejnotów – łup z podróży pochodni przez plankton międzygwiazdny.

Winda zjeżdżasz w dół przez kolejne pokłady statku. Pokłady rozrywki, pokłady mieszkalne, pokłady produkcyjne, pokłady filtracyjne – wszystkie z wyjątkiem sterowniczego i wartowniczego – pokryte są ordynarnym syntetycznym klepiskiem i przekształcone w tereny symul-rolne. Plony są rachityczne, w powietrzu unosi się chemiczny fetor, powierzchnie metalowe zaczynają rdzewieć, a ludzie w zieleni mają przygarbione plecy i zapadnięte oczy doszczętnie opętanych. Wszędzie widać oplecione winoroślą krzyże.

Winda innego statku unosi cię do góry. Tutaj aparatura jest w dobrym stanie, powietrze czyste, kopyły lśniące, a pokłady skąpane w świetle, gwarze i przepychu symul-rubinu, – szmaragdu, – szafiru i – diamentu. Ludzie to rajskie ptaki w lustrzanych strojach, symul-aksamitach i jedwabiach o luksusowych odcieniach i wzorach, strojni w pióra, skóry, złoto, srebro i mosiądz. Zdają się jednak poruszać w jakimś nienaturalnym rytmie, jakby tańczyli szalonego jiga pod melodie widmowego grajka, a ciała ich mają przezroczystość niespolaryzowanego plexi.

Unosisz się nad samym centrum Karawany: za tobą statki zrodzone w Karawanie tworzą półkolisty diadem o świetlistości klejnotu. Przed tobą dryfuje "Tułacz", a za nim procesja starych zmodyfikowanych frachtowców asteroidalnych, rozklekotanych do cna, przez których luki prześwieca blada zieloność.

– Twoje ogrody umierają, Tułaczu.

– Twoje nigdy nie znały życia, Holendrze – odpowiada on, a ty poprzez własne szkliste ciało, poprzez statki-widma za plecami, widzisz gwiazdy i próżnie.

W przestrzeni między wami pojawiają się dwie srebrzyste opaski na głowę, czemu towarzyszą fanfary i złota aureola światła. Duże, toporne, nie nadające się do noszenia stale – są to pierwsze transeptory, prototypy chirurgicznie wszczepianego czujnika. Jarzą się i pulsują jak żywe stworzenia, jak dary nie istniejących bóstw.

Ujmujesz jedną opaskę śmiejesz się, wkładasz ją na głowę Tułacza:

– Przyjmij te obręcz na dowód mojej miłości.

Bez wahania Tułacz umieszcza drugą obręcz na twojej głowie.

– Oto moja korona cierniowa, noś ją – mówi.

Stoisz na mostku statku-pochodni, obok ciebie widmowy Holender. Przez plexi gwiazdy wyglądają jak milionowy rój ożywionych klejnotów, których wspaniałość odbija się w światłach Karawany.

Kłęczysz pośród maleńkich sosenek na pokładzie rolnym, obok Tułacza, a sosenki wyrastają w las sięgający aż po błękit niebios Ziemi utraconej, ty zaś czujesz w nadgarstkach ból po ćwiekach, słyszysz bicie odległego dzwonu, czujesz smutek ciała i kadzidlana woń niepowetowanej straty.

Unosisz się windą do góry, trzymasz za rękę Holendra, a mijając jeden po drugim skrzące się klejnotami, rozjarzone pokłady, słyszysz pomruk silników i odgłosy ludzkiego rozbawienia, widzisz kryształowe drzewa wyrastające wysoko z metalowych gleb pokładów. Ciała widmowych postaci zestalają się, dłoń Holendra staje się różowa i namacalna. Kiedy zaglądasz mu w oczy, patrzą na ciebie twoje własne oczy tułacza, w których ból miesza się z dziką radością.

Płyniesz w powietrzu nad samym centrum Karawany, przy tobie Tułacz; otaczające was statki zmieniają konfiguracje w wyrafinowanym balecie – statki zrodzone w Karawanie i przeróbki frachtowców asteroidalnych reintegrują Karawanę w setkach rytualnych pas de deux.

Tunelem zjeżdżasz w dół poprzez pokłady statku ziemioryców, widzisz, jak ich zielone mundurki przeistaczają się w rajskie pióra noszone dotąd na statkach powstałych w Karawanie, widzisz jak z metalu znika rdza, widzisz kryształowe altanki, migotliwe labirynty i bulgocące potoki, dzięki którym nagrobki smutku przemieniają się w ogrody radości.

I siedzisz naprzeciwko Holendra przy okrągłym symul-marmurowym stoliku na tarasie kawiarni, w połowie wysokości kopuły pokładu rozrywki. Centralny trzon pochodni jest gęsto obrośnięty winoroślą. Basen, muszla koncertowa, migotliwe labirynty, parkiety do tańca i karuzela, rozproszone są teraz po zielonej bujnej łące, w cieniu sosen i dębów. Kopuły i górne pokłady rozwiewają się, a ogrodowy plac pozostaje wszystkim, co jest, sam, obnażony, jako maleńki krążek życia zagubiony w bezkresie wiecznej próżni.

– Tułamy się po mrokach duszy – rzecze Holender. – Może stoimy na straży jedyne go życia, jakie w ogóle istniało i istnieje.

– Latający Holendrzy, tułacze bez ziemi; Czyż nie ma innych bogów poza nimi?

A teraz jesteś odległym punktem widzenia na krążek życia, który dryfuje w bezmiarze przestrzeni, widzisz, jak Karawana oddala się, aż w końcu pozostaje z niej jedynie jeszcze jeden abstrakcyjny punkt świetlny na tle galaktycznych ciemności. Na bezkresnym gwiazdystym polu bladym ogniem maluje się napis:

WĘDRUJĄCY HOLENDRZY Autor: Jofe D'mahl

W gwarze, który się poniósł po grand-salonie Jofe D'mahl pobrzmiewała wyraźna nutka grzeczności. Aplauz utrzymywał się stosownie długo (lecz nie dłużej), po czym wszyscy na stojąco, wrócili do swoich rozmów, jak stado wielobarwnych ptaków ćwierkających po lesie z drogich kamieni.

– Wyraźnie widać było zarysy kontynentów, a te zielone płaszczyzny – to może być roślinność...

– Hel, no tak, ale czy zdołamy oddychać przy tej ilości helu?

Stojąc pomiędzy Jiz Rumoku a Bandoorą, Jofe D'mahl znalazł się w irytującej roli punktu poza centrum uwagi. Oczy gości co chwila popatrywały chyłkiem w ich stronę, szukając Bandoory, lecz żadne nie ośmieliły się zatrzymać na dłużej, gdyż obok próżniojada stał Jofe D'mahl, bliski wybuchu, w oczach którego płonął żar zdolny stopić plexi.

Sam Bandoora za to patrzył prosto na niego i D'mahl poczuł nieznaną sobie ośrodek obcego ciepła, pulsujący ku niemu z głębi nieprzeniknionych oczu tamtego.

– Przykro mi, że Biuletyn Pilotów osłabił sukces pańskiej premiery – powiedział Bandoora.

– Doprawdy? – syknął D'mahl – A co każe panu sądzić, że pański drogocenny bełkot jest aż tak ważny? – dorzucił, już głośniejszym głosem. Teraz już goście nie mieli powodu do odwracania wzroku: D'mahl sam dopraszał się uwagi. – Wy, łachmyty, oczekujecie od nas zachowań godnych psów Pawłowa, ilekroć wyskoczycie z nowym gównem, które wygląda na możliwe do zasiedlenia. Wszystko dobrze, dopóki nie zbliżycie się na taką odległość do swojego odkrycia, żeby na całego poczuć trupi fetor gazów i nagiej skały. Twój bełkot, Bandoora, jest

jak nova, która żyje pół roku. Sztuka jest wieczna.

– Wieczność może trwać dłużej niż się panu wydaje, D'mahl – odparł spokojnie Bandoora. – Poza tym, w zupełności się z panem zgadzam. Bardzo się wzruszyłem oglądając "Wędrujących Holendrów". – Czyżby to łyzy zamgliły jego wzrok? – Być może bardziej, niż jest pan to sobie w stanie wyobrazić.

Panowała absolutna cisza, cała uwaga gości skupiła się na niewielkiej psychodramie. Co śmielsi zaczęli przysuwać się bliżej. D'mahl stwierdził, że nie potrafi określić wektora Bandoory: w tych minizawodach jego nie było, zdaje się, żadnych wspólnych reguł.

– Chciałbym przeprosić za zakłócenie premierowego wyczucia wybitnego dzieła sztuki - rzekł Bandoora. – Dam panu szansę zrobienia największego senso w pańskiej karierze, D'mahl. – Na jego usta wypełzł nikły uśmieszek, oczy były jednak tak poważne, że niemal komiczne.

– Co każe panu mniemać, że pan właśnie może mnie czegoś nauczyć na temat sensosów? – zapytał. ironicznie D'mahl. – Może za chwile poprosi mnie pan o wygłoszenie wykładu z prózności? – po grand-salonie przeleciał zbiorowy chichot.

– A może już go pan wygłosił, panie D'mahl – rzekł Bandoora. Odwrócił się i ruszył przez kolorowe mgły, wśród kryształowych drzew, w stronę przezroczystej kopuły z pleksi osłaniającej wielki taras. Obejrzał się przez ramię i poprzez tłum przeszył D'mahla wzrokiem. – Nie znam się na sensosach, ale mogę pokazać panu rzeczywistość, wobec której wszystko, czego pan w życiu doświadczył, zblednie do zera. Tę rzeczywistość proszę zarejestrować na taśmie, jeśli się pan ośmieli.

Wszyscy wstrzymali oddech.

– Ja – ośmieli! – eksplodował D'mahl. – Kogo ty chcesz nastraszyć swoim tanim spektaklem, Bandoora? Jestem Jofe D'mahl, jestem największym artystą swoich czasów, jeżdżem na pochodni własnego ego. Ośmieli! A ty myślisz, że co ja mam innego do roboty, jak się ośmielać, ty nędzny robaku? Czy nie dotarło do ciebie nic z tego, czego przed chwilą doświadczyłeś?

Bandoora dojrzał do ściany kopuły i odwrócił się; jego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle gwiazdzistej czerni, z rozjarzonym wieńcem statków w dalekim tle. Jego oczy zdawały się czerpać z owej czerni butną energię.

– To nie teatr, D'mahl – powiedział. – Żadnych komputerowych czujników, żadnych sensosów, żadnych iluzji. Nic z tych rzeczy; którymi wy tutaj żyjecie. Rzeczywistość, D'mahl, Prawda. Tam. Naga próżnia.

Obrócił się profilem i wyciągnął prawe ramię, jakby chciał nim objąć ciemności.

– Leć z nami "Bela-37", D'mahl. Leć z obnażonym umysłem i niczym więcej, tam, gdzie nie ma nic tylko ty sam i wieczna próżnia. "Wędrujący Holendrzy" celnie ją ukazują – jak na senso człowieka, który tworzy symule. A co zrobiłbyś z własnej taśmy sensorycznej próżni – gdybyś odważył się ją zarejestrować przez własne, żywe ciało? Czy ośmielisz się, D'mahl, czy się ośmielisz stanąć własną nagą duszą wobec prawdy próżni?

– Jofe...

D'mahl zniecierpliwionym gestem odsunął Jiz.

– Tworzy symule! – ryknął kipiąc z wściekłości. – Czy się ośmielę! – Rzeczywistość grand-salonu, nawet policzek wymierzony mu na oczach gości, szczyły w białym ogniu wyzwania, wobec rękawicy, którą Bandoora cisnął pod stopy jego duszy. Ja mogę się z tym zmierzyć, a ty? Czy naprawdę zdołasz wyciosać żywą sztukę z martwej próżni, nie z metafory nicości, lecz z samej nicości, w materii, w czasie realnym? A może ty symulujesz? Może jesteś hochsztaplerem?

– Mówiłem ci już, Bandoora – syknął przez kłęby wściekłości – że jedyne, co mam do roboty, to ośmielać się.

Goście wydali głośne oooch!, Jiz pokręciła głową, Bandoora skłonił się lekko i

uśmiechnął. Jofe D'mahl poczuł jak przez grand-salon i przez niego samego przelatują fale przemiany, lecz ich charakter i wektor wykraczały poza zdolność pojmowania jego umysłu.

Rozdział II

Przeskakując z "Excelsiora" na "Brigadoon" przez zatłoczony sektor centralny Karawany, Jofe D'mahl doznał wrażenia, że balon emocji, w którym poruszał się od bankietu z okazji premiery, był bardziej namacalny niż przezroczyste, migotliwe ściany pęcherza próżniowego, w którym obecnie się znajdował. Drganie powłoki ścian widoczne było tylko jako nikły parawan pomiędzy twardą próżnią kosmosu a kulą powietrza zawartego wewnątrz pęcherza, za to odbiór jego osoby widać było na wszystkich twarzach, które mijał. Tak często wyczuwali go ludzie, których nie znał ani przez senso, ani cieleśnie, że zmuszony był w końcu postąpić o 180° wobec własnego wektora: wczuć w swoje banki program osłaniający, który odrzucał sygnały wszystkich osób spoza możliwej do ogarnięcia listy akceptowanych. D'mahl był bez wątpienia bieżącą nową Karawany.

Nawet tutaj, pośród wydętych pęcherzy pływających od statku do statku, czy też po prostu wałęsających się po przestrzeni, D'mahl czuł, że błyszczą jaśniej niż cały wieniec statków-pochodni, jaśniej nawet niż sama błona wodorowa, gdyż większość ludzi, których trajektorie biegły w zasięgu jego wzroku, witała go ukłonami lub pełnymi szacunku spojrzeciami.

To niemal w pełni wynagrodziło mu zawód, płynący stąd, że przyczyną rozbłyśnięcia jego nowej nie byli "Wędrujący Holendrzy", ale publicznie ogłoszona decyzja o śmiałym zamiarze spędzenia sześciu standardowych miesięcy z próżniojadami, z dala od Karawany, z dala od kontaktów czuciowych z bankiem, w samotni własnego umysłu i ciała, jak prymitywny człowiek przedczujnikowy. Podobny efekt osiągnął swego czasu Walker Nan Pei, ogłaszając z miesięcznym wyprzedzeniem, że publicznie popęlni samobójstwo, z tym że Walker Nan Pei na zawsze zdmuchnął swoją pochodnię wycofując się z obietnicy. D'mahl wiedział, że teraz już nie wolno mu się wycofać.

Minął "Paradisio", przyjął gesty powitania od pasażerów mijającej go szalupy międzystatkowej, okrążył "Ginę", zdusił polaryzator-g i lekko, na czubkach palców, wylądował na podeście głównego wejścia na "Brigadoon". Szybko przekroczył rubinowy pomost, przeszedł przez zasłonę rozrzedzonego powietrza, spuścił powietrze ze swojego pęcherza próżniowego i najbliższym tunelem w dół spuścił się do galerii Jiz Rumoku na pokładzie dwunastym, ciekaw co tam ujrzy tym razem.

Dzięki aurze Jiz "Brigadoon" był w Karawanie statkiem-kameleonem; całe pokłady przerabiano tu od A do Z równie często jak przeciętny obywatel Karawany przemeblowywał własne mieszkanie. "Brigadoon" był dla reszty Karawany źródłem modnych strojów i olśniewaczy, tak jak dla poszczególnych pokładów statku Jiz takim źródłem była jej galeria. Ostatnio zabrakło raptem pięćdziesięciu głosów, aby przeszedł postulat zmiany nazwy, statku na "Żywe Srebro".

Mijając po drodze w dół wszystkie pokłady, D'mahl dostrzegł więcej zmian niż potrafił zidentyfikować bez wczucia się do banku po obrazy minionych wersji - a od jego ostatniej wizyty na "Brigadoonie" minął najwyżej standardowy miesiąc. Pokład trzeci był niegdyś dzielnicą mieszkalną wznoszącą się tarasowo wokół rygorystycznie utrzymanego alpinarium – teraz była to laguna, po której pływały domy-łódzie. Pokład szósty, dawniej symula starożytnego Tivoli, przeistoczył się w tereny rozrywkowe usytuowane na zawieszonych na

różnych poziomach płytach grawitacyjnych, ponad ogromnym, wirującym w zwolnionym tempie, lejem syropowatej, tęczowo zabarwionej cieczy. Pokład dziesiąty, dawniej babiloński labirynt domów mieszkalnych porośnięty girlandą winorośli, stał się miniaturową pustynią uformowanych statycznie złotych i srebrnych drobnopylistych diun, wplecionych jak koronki między baśniowy filigran domów-pieczar. Najwyraźniej tematem miesiąca było przenikanie.

Pokład dwunasty stanowił konfekcje wielobarwnych energii. Ścianami sklepów i restauracji były dymne rozedrgane ekrany w dziesiątkach subtelnych odcieni, a plac centralny wokół trzonu pochodni był pulsującą zmianami łąką wędrujących leniwie miniaturowych pufo-kulek w kolorach błękitu, zieleni, purpury, żółci i karmazynu. Sam trzon pochodni miał postać cylindrycznego lustra, a większość ludzi nosiła lustrzane stroje, peleryny z mgły, lub świetlne opończe. Człowiek czuł się jak w środku tęczy i D'mahl, w swoich stosunkowo tradycyjnych niebieskich spodniach, z nagim torsem i plecami okrytymi peleryną ze złotogłowi, doznał nagłego poczucia desynchronizacji.

Galeria Jiz Rumoku mieściła się za szafirowo-błękitnym wodospadem, opadającym kaskadą z połowy wysokości kopuły do basenu mgieł, skąd rozlewał się po całej powierzchni pokładu. D'mahl ruszył w bród, prawie pewien, że się zamoczy. Na szczęście okazało się, że wodospad jest hologramem – ale z Jiz wszystko było możliwe.

– Powitajcie nas, wy, którzy idziecie na śmierć – powiedziała Jiz. Leżała w błękitno-różowej pufo-kuli, naga, z wyjątkiem olśniewających zórz szerokiego widma światła, które skromnie przesłaniały jej piersi i biodra. Mniej więcej pośrodku galerii, będącej teraz kolistą areną otoczoną drżącym ekranem zagęszczonego powietrza, stale rozsiewającym zmiany spektralne, szybowała leniwie po torze elipsy różowa pufo-kula. Za strop służył hologram kłębow pomarańczowego ognia, za podłogę zaś lustro jakiejś miękkiej substancji.

– Lepiej po ogniu niż po lodzie – rzekł D'mahl. – To moje motto.

Przeczuli się wzajemnie: D'mahl, leżąc w pufo-kuli doznał elektryzującej jasności, kiedy ciało jego przemierzyło galerię i ucałowało usta Jiz.

– Próżniossanie niezupełnie odpowiada mojemu pojęciu ognia, Jofe – odezwała się Jiz, kiedy równocześnie wyłączyli kontakt.

– A to tutaj, odpowiada? – zakreślił luk ręką.

Po pozornie przypadkowych trajektoriach, na terenie całej galerii, dryfowały dziesiątki tafli o rozmiarach od kilku centymetrów do dobrych trzech metrów kwadratowych. Były tam rozmaite obiekty i efekty energetyczne: od modelowanej statycznie biżuterii z pyłu drogich kamieni, po pudła olśniewaczy, peleryny z mgły, przyssawki, holo-szyby, przeważnie abstrakcyjne, oraz kilka ogromnych i zaskakujących rzeźb w płomieniu. Gabloty wykonane były z przezroczystego plexi, a tylko nieliczne z pomieszczonych w nich "obektów" stworzono z czystej materii.

– Mam czucie, że materia przejadła się ludziom na jakiś czas – oświadczyła Jiz wstając z pufo-kuli. – To w końcu zastygła energia, nic więcej. Nadchodząca nova to flux – surowiec ekranowy z energomaterii. Oddaje ducha pochodni, nie sądzisz? Energia, protony, elektrony, neutrony i pył pierwiastków ciężkich z medium międzygwiazdowego, przekształcony w co nam się żywnie spodoba. Tematem tej ekspozycji jest stan transmutacji.

– Ja tam lubię mieć w pobliżu przynajmniej parę rzeczy o twardej powierzchni – odparł z niejakim powątpiewaniem D'mahl.

– Zobaczysz, nie minie standardowy miesiąc, a i w twoim mieszkaniu zapanuje flux. Zsynchronizujesz się.

– Jeszcze czego, ty specjalistko od jutrzejszych przebojów – zachnął się przekornie D'mahl, całując ją w same usta. – Wszyscy polecą na transmutację, a ja polecę w zimną, twardą próżnię, gdzie energia i materia dobrze znają swoje miejsca i bezwzględnie się ich trzymają.

Jiz nachmurzyła się, dotknęła jego policzka.

– Naprawdę to zrobisz, tak? – zapytała. – Miesiące zamknięcia na jakimś paskudnym statku zwiadowczym, bez kontaktów, bez kochania, bez najmniejszej zmiany...

– Może przynajmniej nie bez kochania – wtrącił beztrzesko D'mahl, myśląc o Sidi. Widział jednak, że Jiz naprawdę się przejmuje. – O co chodzi, Jiz?

– Co ty tak naprawdę wiesz o próznojadach?

– A co tu wiedzieć? Obsługują statki zwiadowcze. Poszukują planet nadających się do zasiedlenia. Prowadzą wyjątkowo nieciekawą tryb życia.

– Kontaktowałeś na ich temat?

– Nie. Zbieram, oczywiście, senso-zapis, ale, ponieważ za główny punkt widzenia będę miał samego siebie, nie chce mieć żadnych sensorycznych uprzedzeń.

– Bo ja skontaktowałem podstawowe dane o sensohistorii próznojadów, Jofe. W bankach nic poza tym nie ma. Nie daję ci to do myślenia?

– A powinno?

– Skontaktuj, Jofe.

– Mówiłem ci przecież...

– Wiem, wiem, żadnych uprzedzeń sensorycznych. Niemniej proszę cię, skontaktuj. Sama to zrobiłam i uważam, że ty też powinienes.

Jej oczy były bezwzględne, nieruchome, a usta stwardniały w ideogram determinacji. Kiedy Jiz przybierała ten wyraz twarzy, D'mahl uznawał na ogół za rozropne podążyć za jej wektorem, choćby tylko ze względu na oszczędność energii.

– Zgoda – powiedział. – Dla ciebie zbrukam swą dziewiczą świadomość obmierzłymi faktami. Próznojady, historia ogólna – zadysponował.

Znalazł się pod kopułą obserwacyjną, patrząc jak statek zwiadowczy zmierza ku błonie wodorowej. Zwiadowca był, z grubsza rzecz ujmując, cylindrem o rozmiarach statku-pochodni z jednym niedużym pokładem toroidalnym pośrodku konstrukcji i kopułą mostka w okolicy miejsca poboru energii.

– Rok Karawany 301 – obwieścił beznamiętny głos. – Karawana wystrzeliwuje pierwszy statek zwiadowczy. Obsadzony załogą pięciu ochotników, statek napędzany jest pełnowymiarową pochodnią jądrową, jakkolwiek masa jego stanowi zaledwie jedną dziesiątą masy konwencjonalnego statku-pochodni. Dzięki wykorzystaniu siły bezwładności Karawany, osiągać może prędkość końcową w okolicach 0,87 światła.

D'mahl jako zewnętrzny obserwator z odległej przestrzeni patrzył jak gnany pochodnią statek zwiadowczy prześciga Karawanę. Za nim drugi statek, i jeszcze jeden, i jeszcze jeden, wreszcie tak wiele, że D'mahl przestał nadążać z liczeniem. Przebiły się pochodniami przez błonę wodorową z dala od czoła Karawany, obierając kursy pod różnymi kątami, od dziesięciu do trzydziestu stopni, w formacji stożka. Wycinek przestrzeni zamknięty wewnątrz stożka rozjarzył się zielenią, a głos powiedział:

– W roku 402 liczba statków wynosiła czterdzieści siedem, uregulowano też statycznie ciągły system poszukiwań. Pracując w zasięgu pełnego roku świetlnego od Karawany i prowadząc dalekosiężne obserwacje systemów słonecznych z rozbudowanego stożka pola widzenia, system statków zwiadowczych zmaksymalizował liczbę obserwacji planet potencjalnie nadających się do zasiedlenia na określonej jednostkę czasu.

Teraz D'mahl siedział na mostku statku zwiadowczego, wyglądając w przestrzeń przez ekran plexi. Obok niego przy konsolach z aparaturą krzatali się dwaj mężczyźni i kobieta, w niebieskich strojach próznojadów.

– W roku 508 wprowadzono kolejną innowację – Przed statek zwiadowczy lekko wyskoczył trzmielowaty pocisk, sam statek zaś począł zawracać z kursu. – Statki zwiadowcze wysyłają sondy na planety potencjalnie nadające się do zasiedlenia, same zaś powracają do Karawany.

D'mahl, jaka punkt widzenia w przestrzeni, oglądał stylizowaną dioramę Karawany,

statku zwiadowczego, sondy i systemu słonecznego. Statek zwiadowczy pruł pochodnią w stronę. Karawany, sonda zaś orbitowała wokół planety, wysyłając ku Karawanie czerwoną falę czołową informacji. Statek zwiadowczy dotarł do Karawany, która następnie zmieniła swój wektor w kierunku systemu słonecznego sondy.

Następnie zwiadowca znów opuścił Karawanę aby monitorować nadawaną z sondy falę informacyjną.

– Dzięki odwracaniu kursu Karawany na obserwowany system, a następnie powrotowi do monitorowania fali nadchodzącej z sondy, nasz w pełni zewoluowany system zwiadu planetarnego maksymalizuje obecnie liczbę systemów słonecznych badanych w określonej jednostce czasu, minimalizując zarazem czas zdawania raportu z każdego badanego systemu słonecznego o wysokich parametrach prawdopodobieństwa.

Na pokładzie statku zwiadowczego D'mahl grał w zero-grawitacyjnego tenisa z pociągającą kobietą-próżnijadem. Był prostym kwatermistrzem, dziurkującym zamówienia na posiłki. Leżał na grawipłytcie nastawionej na około 25 g w małej, jednoosobowej kajucie sypialnej. Jako kobieta-próżnijad kochał się w stanie zero-grawitacji z wysokim, silnym mężczyzną.

– Pomieszczenia dla załogi, jakkolwiek wygodne i zapewniające odpowiednie warunki dla utrzymania zdrowia fizycznego i psychicznego, stanowią dla członków załogi pewną niedogodność z uwagi na ograniczenie przestrzeni – ciągnął beznamiętny głos. – Banki czucia są znacznie ograniczone, a dostęp do centralnych banków karawany – niemożliwy. Załogi zwiadowcze muszą się zadowolić prostymi cielesnymi rozrywkami. Wszyscy obywatele Karawany mają dług wdzięczności wobec tych ofiarnych ochotników.

Jofe D'mahl spojrział w oczy Jiz Rumoku. Wzruszył ramionami.

– No i? – zapytał. – Wszystko to już wiedziałem.

– Właśnie nic, Jofe, kompletnie nic! Próżnijady przebywają tam cielesnie od ponad połowy tysiąclecia, prawie całe życie spędzają w odłączeniu czuciowym od Karawany, od wszystkiego, co sprawia, że jedyna żyjąca cywilizacja ludzka jest tym, czym jest. Jaki jest ich wektor karmiczny? Co mają pod czaszką? Dlaczego, przede wszystkim, nazywa się ich prózniejadami? Dlaczego w bankach nie ma nic poza tą ogólną taśmą historyczną?

– Najprawdopodobniej dlatego, że nikt się tam z nimi nigdy nie wybrał, żeby zrobić prawdziwe senso – odparł D'mahl. – A z pewnością nie są to osobniki zdolne do samodzielnego wyprodukowania takiego senso. Dlatego właśnie ja się tam wybieram, Jiz. Uważam, że Bandoora miał rację: należy stworzyć poza-senso prózniejadów, i kto wie, czy to nie jest jedyny dziewiczy temat, jaki nam pozostał.

Napięcie znikło częściowo z twarzy Jiz.

– Ego, naturalnie, nie ma tu nic do rzeczy – odezwała się.

– Ego, naturalnie, ma tu wszystko do rzeczy – skorygował D'mahl.

Przyłożyła rękę do jego policzka.

– Bądź ostrożny, Jofe – powiedziała cicho.

Wzruszony D'mahl nakrył jej dłoń swoją dłonią i pocałował ją delikatnie w usta, czując się ni stąd, ni zowąd jak jakiś przykuty do Ziemi prymityw.

– A czego tu się bać? – odpowiedział z równą czułością.

– Nie wiem, Jofe. I nie wiem, jak się tego dowiedzieć. To mnie właśnie przeraża.

*

Unoszony przez szalupę na "Bele-37", Jofe D'mahl doświadczał narastającego bezwektorowego oczekiwania. Srebrzysty cylinder "Beli-37" połyskiwał na jutrzniowym tle błony wodorowej, wisząc nad Jofem jak miecz Damoklesa. Pod nim, statki Karawany oddalały się, tworząc najpierw wypełniający horyzont pejzaż światła i błysków, następnie zaś dysk

ludzkiego ciepła odcinający się ostrym konturem od zimnej czerni nocy. Pomyślał, że obywatele Karawany rzadko zapuszczają się aż tak wysoko, na parking statków zwiadowczych, w pobliże błony oddzielającej Karawanę od próżni prawdziwej. Nietrudno było odgadnąć powód.

– Kawał drogi, co? – mruknął pod nosem.

Pilot szalupy kiwnął głową.

– Mało kto bywa tu na górze – powiedział. – Przeważnie tylko próznojady i załogi remontowe. Ja od czasu do czasu wybieram się tutaj sam, żeby poczuć ciśnienie próżni spoza błony i spojrzeć w dół na to wszystko jak bóg z Olimpu – zaśmiał się oschle. – Może przewiozłem o jednego próznojada za dużo...

D'mahl wzdrygnął się nie wiedzieć czemu i poczuł dziką tęsknotę, za komunią kontaktów czuciowych, za oszłamiającym bogactwem czasu, przestrzeni, ciała i realiów, od których miał się lada chwila odizolować po raz pierwszy w życiu. Czucie to nasze życiodajne źródło, pomyślał. Któż to wie lepiej ode mnie?

– Jiz Rumoku – zadysponował, i znalazł się w jej ciele, stojącym w galerii obok rzeźby w płomieniu w towarzystwie zwalistego czarnego mężczyzny w surowym w swej prostocie garniturze z zielonego welwetu.

– Cześć, Jiz – powiedział jej strunami głosowymi. – Cześć i do widzenia.

Wycofał swoje czucie z jej ciała, a ona podążyła w niego, wysoko ponad Karawanę.

– Cześć, Jofe. To naprawdę strasznie wysoko. – Ucałowała jego rękę jego ustami. – Uważaj na siebie – odezwał się jego głos. Potem Jiz przerwała kontakt i D'mahl został sam we własnym ciele. Szalupa zaczęła wytracać prędkość i zahamowała przy głównym pokładzie toroidalnym "Beli-37".

– Jesteśmy – oznajmił pilot szalupy. – Niech pan wchodzi przez główną zasłonę drgań.

D'mahl zaszalutował mu ironicznie, napompował pęcherz próżniowy, złapał bagaż i senso-rejestrator, a następnie przeskoczył kilka metrów przestrzeni na główny podest wejściowy "Beli-37". Przeszedłszy przez zasłonę drgań, znalazł się ku swemu zdumieniu w ciasnym, komórkowatym pomieszczeniu, w którym nie było widać tunelu spustowego. Okrągłe drzwi w przeciwległej ścianie działowej rozwarły się nagle i do pomieszczenia wszedł wysoki, bladej próznojad.

– Nazywam się Ban Nyborg, panie D'mahl – oświadczył. Zaśmiał się raczej niewesoło. – To jest śluza powietrzna – wyjaśnił. – Urządzenie zabezpieczające.

D'mahl automatycznie wyczuł definicje nowego określenia: dwudrzwiowa komora umożliwiająca wyjście i wejście na statek, osłonięta błoną drgań.

– Zabawne – orzekł, przechodząc za Nyborgiem przez otwarte drzwi.

– Nawet po utracie napędu i błony drgań, w ten sposób zatrzymujemy powietrze wewnątrz statku – wyjaśnił Nyborg, wiodąc D'mahla obskurnym, pastelowo-niebieskim korytarzem. – Pasaż radialny – objaśnił. – Prowadzi do korytarza okrążającego trzon pochodni. Takich promieni jest jeszcze pięć, tunel na mostek i z powrotem – i to już cały statek.

Dotarli do wymalowanego na spłowiwały błękit i żółć korytarza okalającego trzon pochodni, przeszli nim 60 stopni, mijając konsolety z aparaturą i pomarańczowy korytarz radialny, a potem jeszcze 60 stopni i zielonym pasażem radialnym do niemalowanych materialnych drzwi.

Nyborg otworzył drzwi i D'mahl wkroczył do ponurej klitki. Znalazł w niej grawi-płytę, niebieski fotel pneumatyczny; wysoką symul-orzechową komodę, wyleniały czerwony dywan, a za otwartymi drzwiami - urządzenia sanitarne. Sufit był ciemnoszary, a trzy ściany szaro-beżowe. Czwartą ścianą był hologram czeluści międzygwiazdnej: punkciki gwiazd i ziejąca czerń – właśnie na wprost tej ściany umieszczono grawi-płytę.

– Kabina Bandoory – wyjaśnił Nyborg. – Dzieli ją z Sidi.

– Bomba – wycedził D'mahl. – Jestem głęboko wzruszony.

– Statek posiada trzy częstotliwości czuciowe: biblioteka, porozumiewanie się członków załogi, zewnętrzna wzrokowa. Mostek jest chwilowo wyłączony. Możesz odbierać nasz odlot na zewnętrznej.

Nyborg odwrócił się, bezceremonialnie wymaszerował z celi i zamknął za sobą drzwi.

D'mahl zadrżał. Zdawało mu się, że ściany i sufit zamykają się wokół niego, jakby go chciały wtłoczyć w rzeczywistość hologramu. Stwierdził, że wpatruje się intensywnie w pole gwiazdne, wyciągające się ku niemu, jakby go chciało w siebie wessać.

Zamrugał gwałtownie, świadom niezwykłości tego doznania, co skierowało jego uwagę z hologramu na senso-rejestrator. Trzeba to zarejestrować. Włączył senso-rejestrator, wrzucił do środka krążek na sto godzin mikrotaśmy, dostroił urządzenie do własnego układu zmysłowego. Lecz pierwszy moment oszołomienia już minął: teraz znajdował się po prostu w nieznośnie nijakim pokoiku z olbrzymim hologramem pola gwiazdowego na jednej ścianie.

D'mahl nastawił grawi-płytę na jedną dziesiątą g, tyle tylko, żeby utrzymać się w miejscu, i legł na materacu. Stwierdził, że znów wpatruje się w hologram pola gwiazdowego, tym razem z pozycji leżącej. Może Bandoorze sprawiało przyjemność, kiedy ten widok wsysał go w siebie?

Bandoora włączył się w niego, tylko na audio:

– Witaj na "Beli-37", D'mahl. Za chwile przebijemy błonę. Jeśli chcesz, możesz to zakodować.

– Dzięki – nadał w odpowiedzi D'mahl na częstotliwości wewnątrzzałogowej. – Wolałbym jednak zarejestrować to cieleśnie z mostka.

– Przykro mi, ale mostek jest teraz poza twoim terenem – powiedział Bandoora i zerwał kontakt.

– Bomba! – parsknął D'mahl do pustego pokoju i z irytacją włączył się na zewnętrzną częstotliwość wizyjną statku.

Był bezcielesnym punktem widzenia podróżującym poprzez głuchą, pozbawioną tarcia, czern przestrzni. Czuł się jak w pęcherzu próżniowym, a zarazem i nie jak w pęcherzu, gdyż odcięty był teraz od wszelkich doznań zewnętrznych i wewnętrznych oprócz wizji. Stwierdził, że może wybierać częstotliwości decydujące o kierunku wizji – coś w rodzaju możliwości obracania nie istniejącą głową. Pod nim, Karawana błyszczała jak klejnot nieskończenie subtelnego światła, kurczący się z wolna w aksamitnej czerni. Wszystkie inne wektory zdominowała błona wodorowa: tęczowej jasności niebo, które zdawało się go otaczać ze wszystkich stron.

Był to poruszający spektakl wzrokowy, a jednak brak subtelności pełnego odbioru zmysłowego czynił go zarazem tragicznym i napełniał D'mahla nieuchwytnym smutkiem. W miarę jak tęczy poblask błony wodorowej zbliżał się coraz bardziej, smutek przeszedł na wektor nostalgii związanej z rychłą utratą kontaktu z bankami Karawany. Energie błony zablokują banki na długo przed wystąpieniem różnicy czasu i osłabieniem bodźców. Miał ostatnią szansę pożegnać wieloraką rzeczywistość Karawany przed zesłaniem w nieznaną i niezmienną próżnię.

Wyłączył się z częstotliwości wizyjnej statku i błyskawicznie przeleciał przez całą mnogość częstotliwości Karawany, jak człowiek, który na łożu śmierci przegląda własną ścieżkę sensoryczną, zanim ją odeśle do banków pośmiertnych.

Stanął wśród kryształowych drzew własnego grand-salonu. Był Daltą Reed wiosłującym przez Krwawe Jezioro na "Lothorienie", i był Erną Ramblieu w trakcie uprawiania miłości z Johnem Beniną na jego balkonie wychodzącym na Korytarz Słońca, na pokładzie "Czarodziejskiej Góry". Z ciała spawacza pracującego na kadłubie obserwował budowę "Excelsiora", przejrzał też finałową sekwencję "Wędrujących Holendrów". Przerzucił następnie własną ścieżkę sensoryczną: pieśń z Jiz pięć lat temu, gdzieś na pokładzie rolnym, urywki z dziesięciu bankietów, tańce tańczone w dzieciństwie na płycie zero-grawitacyjnej,

montaż "Wędrujących Holendrów" w studio montażowym – i nagle uzmysłowił sobie, że wraz ze światem wspomnień pozostawia za sobą i cały świat teraźniejszości. Na koniec przemknął przez ciało Jiz Rumoku, prowadzącej mężczyznę w zielonym welwetowym garniturze wzdłuż holorymy Baletu Odległego Spojrzenia, tańczącego "Jezioro Łabędzia" w zero-grawitacji, a potem już kontakt mu się urwał i leżał na grawi-płycie w "Beli-37", niezdolny go odnowić.

Włączył się na częstotliwość wizyjną statku i stwierdził, że wkracza oto w wypełniającą cały świat jasność błony wodorowej za jutrzniową kulą pola poboru paliwa pochodni "Beli-37". Mała tęcza dosięgła wielkiej i D'mahl w jednej chwili znalazł się w glorii pola "Beli-37", tworzącego wybrzuszenie w zjednoczonym polu światła Karawany, wybrzuszenie, które obejmowało statek zwiadowczy i D'mahla, które na moment przeistoczyło się w zamkniętą kulę pełnego widma światła, po czym przebiło błonę wodorową z zawrotną szybkością, od której istnienie D'mahla w zapierającym dech wirze wystrzeliło w twardą czerń otwartej próżni.

D'mahl zadrżał, jęknął i zerwał kontakt. Przez moment pomyślał w panice, że uwiązał w pułapce czeluści, gdyż wzrok jego zajął z powrotem miejsce w ciele, a przed nim był hologram próżni, wypełniający całą ścianę.

*

Tuba wyciągu urwała się nagle i D'mahl poszybował z niej do góry, wprost na kolisty mostek "Beli-37". Mostek, osłonięty kopułą plexi, mieścił się w pobliżu czoła pochodni. Do wysokości pasa otaczał D'mahla pierścień konsol i aparatów kontrolnych, poza tym mostek był jednak obnażony wobec próżni międzygwiazdnej. Pole poboru mocy tworzyło z przodu statku miniaturową błonę wodorową; od strony rufy widać było Karawanę w postaci migotliwego krążka za kurtyną eterycznego płomienia, poza tym jednak w całym nieskończonym ogromie nic nie żyło i nic się nie poruszało.

– Czy w żaden sposób nie można się od tego uwolnić? – wymamrotał D'mahl, na wpół do siebie, na wpół do Harisa Bandoory, który, obserwował jego wyjście z tuby wyciągu niesamowitym wzrokiem, z ironicznym, enigmatycznym uśmiechem.

– Wy przecież całe życie spędzacie na próbach ucieczki od tego – rzekł Bandoora. – My natomiast całe życie spędzamy na nurzaniu się w tym, gdyż wiemy, że tak naprawdę nie ma ucieczki. Próżnia rządzi naszym życiem.

– Mów za siebie, Bandoora – zgasił go D'mahl. – Zewnętrzność to tylko jedna z rzeczywistości. Tutaj – dotknął skroni palcem wskazującym – mieści się nieskończenie wiele innych rzeczywistości.

– Iluzja - odezwał się za nim kobiecy głos. D'mahl odwrócił się i ujrzał Sidi: stożkowate nagie piersi, naga posrebrzoną czaszka, silnie umięśnione ciało, mglisty wzrok próżnojada – obraz zimnego, abstrakcyjnego kobiecego piękna.

D'mahl uśmiechnął się do niej.

– Cokolwiek jest - powiedział - jest rzeczywistością.

– Tam, skąd przybywasz – odparła Sidi – nikt nie wie, co to rzeczywistość.

– Realite c'est moi – wyrecytował D'mahl w starożytnej francuszczyźnie. Kiedy Sidi i Bandoora popatrzyli na niego pytająco, bezskutecznie wyczuwając wyjaśnienia, niezdolni wyczuć wyjaśnienia – doświadczył bolesnego przeblýsku samotności. Jak dorosły wśród dzieci. Jak człowiek cywilizowany wśród dzikusów. A tam, na zewnątrz... tam...

Siłą odwrócił uwagę od tych myśli, siłą odwrócił wzrok od obiegającej go zewsząd próżni i podszedł do jednej z konsol, gdzie na wysokim stołku siedziała szczupła kobieta, nastawiająca jakieś pomiary.

– To Areth Lorenzi – przedstawił Bandoora. – Ustawia częstotliwość radaru grawitują-

cego najdalszego zasięgu. Nawet podczas tego typu ekspedycji prowadzimy automatyczne badania radarowe w promieniu dwudziestu lat świetlnych dookoła świeżo przekształconych w planety gwiazd. Na taką odległość potrafimy wytropić ciało o masie Ziemi.

Kobieta odwróciła się, a D'mahl ujrzał postarzałą twarz. Dookoła oczu, w kącikach ust, a nawet trochę na policzkach, widniały zmarszczki i już samo to było niezwykle, ale najwięcej mówiły o jej wieku głębokie, przepastne, bladobłękitne oczy, mieszczące w sobie całą mnogość tego, co widziały.

– Jak często wykrywacie takie ciała? – zapytał D'mahl tytułem konwersacji, tylko po to, żeby nie gapić się na nią zbyt natarczywie.

W krystalicznej głębinie jakby coś błysnęło. Kobieta błyskawicznie spojrzała ponad ramieniem D'mahla w stronę Bandoory.

– To... dość powszechne zjawisko – powiedziała i odwróciła się z powrotem do pracy.

– A to ostatni, Raj Doru – Bandoora z podejrzaną skwapliwością przedstawił drugiego mężczyznę obecnego na mostku: przysadzistego, ciemnego, o wyglądzie atlety, o wściekle zaciśniętych ustach, krogulczym nosie i orzechowych oczach jarzących się pod śladami zgolonych brwi. Stał podparty pod boki i pogardliwie lustrował D'mahla.

– Cokolwiek jest, jest rzeczywistością – odezwał się zjadliwie. – Co ty wiesz o rzeczywistości, Jofe D'mahl? Nigdy w życiu nie stałeś oko w oko z rzeczywistością wszechświata! Kryłeś się tchórzliwie za swoją błoną wodorową, ze swoim uczuciem, za umysłową masturbacją własnych fantazji! Próżnia ścisnęłaby twoją duszą do rozmiarów łebka od szpilki i zdmuchnęłaby ją w niebyt!

– Raj! – warknął Bandoora. Nastąpiło zwarcie energii psychicznych, obaj mężczyźni przez chwile mierzyli się w milczeniu wściekłym wzrokiem.

– Zobaczmy, co będzie jak wielki D'mahl łyknie trochę próżni, Haris, wtedy zobaczymy!

– Wszystko w swoim czasie – odparł Bandoora. – Ten czas jeszcze nie nadszedł.

– Raj jest niecierpliwy – wyjaśniła Sidi.

– To dość szczególna cecha u próżniójada – zauważył kąśliwie D'mahl.

Ci ludzie zaczynali ranić jego świadomość. Wydawali się wyzuci z poczucia humoru, pełni obsesji, zdesynchronizowani z własnym rdzeniem, jakby nicość, w której nurzali się stale i z maniackalnym upodobaniem opróżniła ich wnętrza, napęlniając je sobą.

D'mahl stwierdził, że patrzy do góry, w gwiazdzistą czerń otchłani, zastanawiając się, czy ten kosmiczny chłód potrafi z czasem przeniknąć i do jego rdzenia, czy nie jest przypadkiem tak, że umysł ludzki nie ogarnia po prostu takich rozmiarów nicości, zachowując jednocześnie panowanie nad własnym wektorem.

– Cierpliwość jest tutaj cechą neutralną – odezwała się Areth. Nie była to specjalnie krzepiąca myśl.

Rozdział III

Co ci ludzie robią całymi dniami, zastanawiał się Jofe D'mahl, po raz, jak mu się zdawało, tysięczny okrążając bez celu i nerwowo kolisty korytarz wokół trzonu pochodni. Zaledwie tydzień na pokładzie "Beli-37", a jego już mdliło z nudów. Ile w końcu można grać w szachy, albo w zero-grawitacyjnego tenisa? Banki biblioteczne statku były politowania godne – kilkaset taśm encyklopedycznych, pięćdziesiąt kiepskich pornografii, sto klasycznych sensorów (w tym, co odnotował z zadowoleniem, cztery jego autorstwa) i nieprzebrana kupa

nudnych jak flaki z olejem raportów statków zwiadowczych.

– Cierpliwość jest tutaj cechą neutralną – powiedziała Areth Lorenzi. D'mahlowi wydawała się ona w tych warunkach jedyną możliwą cnotą, a jego własne zasoby cierpliwości topniały w tempie zastraszającym.

Przed sobą usłyszał kroki; ktoś nadchodził pasażem radialnym i w chwili później jego wektor przeciął się z wektorem Sidi, sunącej ku niemu pięknie i zimno na podobieństwo robota wsymulowanego w ludzkie ciało. Nawet tak silny początkowo pociąg do Sidi zaczynał już słabnąć. Sidi, w czerepie abstrakcyjnego piękna, wydawała się nie mniej niż cała reszta oderwana od jakiegokolwiek rzeczywistości, w której chciałby uczestniczyć.

– Witaj, D'mahl – odezwała się wyniośle. – Dobry zbierasz materiał na senso?

D'mahl skrzywił się.

– Jeżeli za dobry materiał uznać półtora krążka nudy... – odpowiedział. – Bandoora obiecywał mi coś transcendentnego – gdzie to jest?

– Kiepsko się rozglądałeś.

D'mahl wskazał ruchem głowy ku górze, w pułap statku i przestrzeń poza nim.

– Tam? To samo widzę ze swojego grand-salonu.

– Poczekaj.

– Na co?

– Na wezwanie.

– Jakie wezwanie?

– Kiedy przyjdzie, będziesz wiedział – powiedziała Sidi i minawszy go, poszła dalej korytarzem. D'mahl pokręcił głową: Doru – wrogość, Bandoora – tania metafizyka, Nyborg – od czasu do czasu chrząknięcie, Areth Lorenzi – kilka gier w szachy, niemal bez słowa. A teraz testy na inteligencje od Sidi! Czy to możliwe, że ci ludzie nic więcej w sobie nie mają? Tylko kilka marnych sztuczek wokół rdzenia wewnętrznej próżni? A między nimi a nudą – tylko ich własne obsesje? Byłoby z tego całkiem interesujące senso, gdybym wykombinował sposób na dramatyzację nicości. Westchnął. Teraz miał przynajmniej istotne artystyczne zagadnienie do zabawy.

– To czysta rutyna – rzekł Ban Nyborg, nachylając swą wysoką postać nad ekranem odczytów, po którym pełzły wolno dwie kolumny liter i cyfr. – Numery katalogowe gwiazd masz po lewej, masy otaczających je ciemnych ciał – po prawej.

– Mógłby to nadzorować jeden prosty program – zauważył D'mahl. – Dlaczego ty to robisz?

– Robi to komputer, ja tylko kontroluję. Trzeba się czymś zająć.

D'mahl pokręcił głową. Do kompu-centrum wszedł całkiem przypadkowo – żaden z próznojadów nigdy nawet o nim nie wspomniał. A przecież to tu znajdowało się prawie całe wyposażenie istotne dla celu misji statku: odczyty grawiskopu i cały szereg konsol z przyrządami, po których objaśnienie musiałby sięgać do banków. Mimo to, nijaka szara kabiną tchnęła klimatem zapomnienia.

– Mówisz jakbyś był co najmniej tak znudzony, jak ja – powiedział D'mahl.

Nyborg kiwnął głową, nie podnosząc oczu.

– Nic tylko czekać, aż przyjdzie wezwanie.

– Wezwanie? Jakie wezwanie?

Nyborg odwrócił się do niego i po raz pierwszy od blisko dwóch standardowych tygodni D'mahl dostrzegł na jego wydłużonym obliczu wyraz ożywienia, jakiś ogień, może nawet wspomnienie ekstazy.

– Kiedy próżnia wzywa cię do siebie. – powiedział. – Sam zobaczysz. O tym się nie mówi. Otrzymujesz wezwanie i idziesz - to wszystko. Po to tu wszyscy jesteśmy.

– Po co tu jesteście? A to wszystko? – D'mahl zakreślił ręką krąg, wskazując nagroma-

dzenie przyrządów.

Wyraźnie dostrzegł, jak z twarzy Nyborga uchodzi życie; na ognie w jego oczach spadły zasłony i znów był jak przedtem, Nyborgiem-cyborgiem.

– To jest misja - burknął, odwracając się z powrotem do ekranu odczytów. – Misja nas tutaj przynosi, ale my przybywamy dla wezwania. Dlaczego, jak myślisz, mówią o nas "próżnijady"?

– No, dlaczego?

– Bo my żywimy się próżnią – odparł Nyborg.

– To znaczy, że nie zależy wam na misji? Nie poświęćcie się dobrowolnie, aby nam znaleźć nowy, żywy świat?

– Bzdury! – burknął Nyborg. – Statki zwiadowcze nas nie potrzebują, same się mogą obsługiwać. To my ich potrzebujemy: żeby się dostać do próżni. Celowo markował zainteresowanie tym, co robi i D'mahl nie wyciągnął z niego ani sylaby więcej.

*

– Właściwie od jak dawna latasz na statkach zwiadowczych, Areth? – zapytał Jofe D'mahl, podnosząc wzrok znad beznadziejnej sytuacji dla siebie na szachownicy.

– Z półtora wieku – odparła Areth Lorenzi, nie przerywając planowania następnego ruchu. Jak zawsze, nie dodała nic od siebie.

– Musisz być naprawdę oddana misji, skoro tyle lat spędzasz tutaj, w nicości – zauważył D'mahl, usiłując cokolwiek z niej wyciągnąć. Te oczy tak wiele dawały do zrozumienia, a te usta tak mało mówiły...

– Za każdym razem słyszałam wezwanie.

– Co to za wezwanie, o którym wszyscy tu mówią?

– Wezwanie próżni. Dla tych, którzy otrzymali wezwanie, nie ma nic poza próżnią. Ty myślisz, że my się poświęcamy dla dobra ludzkości?

– A nie?

Areth Lorenzi popatrzyła na niego swymi wiekowymi, kryształowymi oczami.

– Obsługujemy statki, aby dostać się w próżnię; nie zmagamy się z próżnią, żeby obsługiwać statki – powiedziała. – Nie poświęcamy nic prócz iluzji. Żyjemy w prawdzie. Żyjemy dla prawdy.

– I prawda was wyzwoli? – spytał cierpko D'mahl. Uwaga ta nie dotarła jednak do Areth, gdyż Areth nie miała jak zasięgnąć wyjaśnienia z banków. Spuściła wzrok. W jej głosie zabrzmiała nutka goryczy.

– Nikt nie jest wolny – oto prawda. – Przesunięciem wieży dała D'mahlowi podwójnego szacha, króla i królowej. – Szach-mat w trzech ruchach, D'mahl – oświadczyła.

*

D'mahl zastał Harisa Bandoorę samego na mostku, zapatrzonego wstecz, tam, gdzie jeszcze do niedawna widać było Karawanę w postaci maleńkiego świetlnego krążka wśród punkcików gwiazd. Teraz Karawana, jeżeli w ogóle widoczna, była jedynie punkcikiem światła zagubionym pośród milionów takich samych punkcików. "Bela-37" jak zastygła w czarnym, kryształowym ogromie, usianym nieruchomymi drobinkami skrzęcego się pyłu – w abstrakcyjnym wszechświecie wątpliwej rzeczywistości.

D'mahla przeszył dreszcz trwogi, przelotne doznanie całkowitego osamotnienia. W tej martwej, obojętnej nocy, nawet obecność enigmatycznego i wyniosłego Bandoory działała jak promyk ludzkiego ciepła.

– Obezwładniające, prawda? – odezwał się Bandoora, odwracając głowę na odgłos

kroków D'mahla. – Sto miliardów gwiazd, planet pewnie tyle samo, a to przecież tylko jedna galaktyka, okruch materii dryfujący w nieskończonej nicości. – W jego ciemnych, bezsensownych oczach było teraz wiele tkliwości, niemal łzawe zamglenie. – Kim my jesteśmy, D'mahl? Niegdyś byliśmy częścią pewnej nieznaczącej anomalii zwanej życiem, która zanieczyszczała drobinę pyłu wirującego w okruchu materii, zagubionym w obłoczku innych okruchów, który sam w sobie stanowił mierne zanieczyszczenie wszechświatowej próżni. Dziś już nawet tym nie jesteśmy...

– Jesteśmy liczącym się elementem – odparł D'mahl.

– Dla kogo? - Bandoora ruchem głowy wskazał czeluść. – Dla tego ?

– Dla siebie samych. Dla jakichkolwiek istot obdarzonych świadomością, na którejkolwiek z planet obiegających którakolwiek z gwiazd. Liczy się nauka, Bandoora. Reszta to tylko produkty uboczne – D'mahl zaśmiał się głucho. – Jeżeli nawet to solipsyzm, niech nam służy jak najdłużej.

– Gdybyś ty wiedział...

– Gdybym wiedział – co?

Bandoora uśmiechnął się ironicznie.

– To, czego się dowiesz. Po to tu jesteś. Nie możemy pozostać z tym sami na zawsze.

– Ale co...

– Usłyszałem wezwanie, Haris – Raj Doru już wcześniej dostał się na mostek, a teraz podszedł spieszenie i stanął u boku Bandoory. Jego brązowe oczy płonęły gorączką, a w ruchach znać było niecodzienną ociężałość.

– Kiedy? – spytał cierpko Bandoora.

– Teraz.

– Jak długo?

– Dwadzieścia cztery godziny.

Bandoora odwrócił się i podążył za Doru do tunelu windy.

– Co się dzieje? – pytał D'mahl, deptając im po piętach.

– Raj wybiera się ssać próżnię – odrzekł Bandoora. – Dostał wezwanie. Masz ochotę pomóc mi go wyprawić?

*

Przy okrągłej klapie wjazdu Raj Doru pobrał z półki sprzęt do podróżowania w próżni, ubrał się w niego, wziął butelkę wody i kasetę żywnościową z zamykanej szafki, przypiął je zatraskiem do pasa spodenek. Jego oczy patrzyły gdzieś w nieodgadnioną rzeczywistość, z którą D'mahl nawet nie próbował łapać synchu.

– Co ty robisz, Doru? – zapytał.

Doru nie odpowiedział, zdawało się, że w ogóle nie zauważa obecności D'mahla.

– Załóż pęcherz próżniowy i sam się przekonaj – powiedział Bandoora zdejmując z półki dwa zestawy i podając jeden D'mahlowi.

Ubrali się, po czym Bandoora otworzył drzwi wjazdu i we trzech przeszli do komory blokady powietrza. Napompowali pęcherze, Bandoora szczelnie zamknął drzwi i przez błonę drgań przeszli na podest wejściowy statku.

Stojąc na wąskiej metalowej półce, D'mahl poczuł się całkowicie we władzy czarnych bezmiarów, bezkresnej przepaści, w której niepewnie wisiał statek. Było to całkiem niepodobne do widoku z grand-salonu, gdyż bez wieńca statków, bez śladu przejścia Karawany, nie umniejszało ciśnienia próżni na dusze człowieka. Był to małeńki statek, abstrakcyjne gwiazdy, trzy drobne postacie – i bezmiar nicości. D'mahl skulił się i zadrżał pod ciosem, który przeszył sam rdzeń jego istnienia.

– Dwadzieścia cztery godziny, Haris – przekazał Doru na częstotliwości załogowej.

Rozpostarł ramiona, włączył polaryzator grawitacji i odbił się w górę, w czerń międzygwiazdnej czeluści.

– Co on robi? – krzyknął własnym głosem D'mahl. Zreflektował się i nadał to samo pytanie do Bandoory, kiedy Doru począł już nabierać szybkości i zanikać w czerni po linii wektora pod kątem prostym do trajektorii statku.

– Przez dwadzieścia cztery godziny będzie się żywił próżnią – odpowiedział Bandoora na tej samej częstotliwości. – Stawił się na wezwanie. Oddali się od statku tak, żeby stracić go z oczu i pozostanie tam przez jedną standardową dobę.

Doru był już tylko niewyraźną sylwetką poruszającą się na tle gwiazdowego pola. Na oczach D'mahla, sylwetka skurczyła się w bezforemny punkt.

– Co on tam będzie robił? – zapytał cicho D'mahl, drżąc na całym ciele.

– Cokolwiek dzieje się między człowiekiem a próżnią, pozostaje między człowiekiem a próżnią.

– Czy to... bezpieczne?

– Bezpieczne? Mamy z nim kontakt i znajduje się nadal w zasięgu stożka naszej błony. Jego ciało jest bezpieczne. Jego umysł... to już zostanie między Rajem a próżnią.

Teraz D'mahl już w ogóle nie widział Doru. Prózniojad zniknął... w próżni. D'mahl powoli wychodził z umysłowej zadyszki; uświadomił sobie, że traci oto jedyny prymarny materiał do senso, jaki mu się dotychczas trafił. Spróbował dosięgnąć Doru na częstotliwości załogowej statku, ale jedynym sygnałem jaki otrzymał, był sygnał odmowy.

– Ja to muszę mieć na taśmie, Bandoora! A on odrzuca mój sygnał!

– Mówiłem ci przecież: cokolwiek dzieje się między człowiekiem a próżnią, pozostaje między człowiekiem a próżnią. Jest tylko jeden sposób na to, abyś przywiózł do domu senso tej rzeczywistości, D'mahl: doświadczyć jej na własnym ciele i zarejestrować samego siebie.

D'mahl spojrział w zimne, nieruchome oczy Bandoory; potem wzrok jego przyciągnęły czarne gwiazdziste głębie, w których zniknął Doru. Którym Doru oddał się dobrowolnie, wręcz ekstatycznie. Lęk walczył w nim z fascynacją. Stał oto wobec doświadczenia, od kontemplacji którego miękły mu kolana, serce dudniło, a w duszy hulał zimny wicher. A było to zarazem doświadczenie, którego parametrów nie potrafił przewidzieć ani stworzyć – a więc coś, z czym nigdy jeszcze nie miał do czynienia i nie myślał, że mu się trafi coś, co leżało u podstaw odpowiedzi na pytanie: kim są prózniojady? A zatem sam rdzeń senso, w imię którego znosił te niekończące się miesiące nudy. A zatem – musi nieodwołalnie stawić temu czoła.

– Po co ty to robisz? – nadał pytanie do Bandoory, odwracając się od czeluści, żeby zajrzeć mu w oczy.

– Każdy ma swój własny powód – odparł prózniojad. – Wezwanie ma wiele głosów. – Uśmiechnął się tajemniczo. – Ty, D'mahl, też zaczynasz je słyszeć, w swoim własnym języku.

D'mahl zadrżał, gdyż gdzieś w głębi niego istotnie zadzwoniły pierwsze tony syreniej pieśni, odległej muzyki z otchłani poza nim i wewnątrz niego.

*

Stojąc na mostku i patrząc, jak Bandoora znika w próżni, Jofe D'mahl poczuł się jak przepastne pudło rezonansowe instrumentu wibrującego pod drganiem tej samej struny bez końca. W ciągu trzech ostatnich tygodni Doru, Nyborg, Areth, Sidi, a nareszcie i Bandoora, oddalali się w czeluść próżni, Areth i Nyborg po dwa razy. Każde z nich odmówiło D'mahlowi kontaktu na bieżąco, a nawet późniejszej rozmowy o przeżyciach i każde powracało jakieś odmienione. Doru sprawiał wrażenie, jakby mu upuszczono sporą dozę wrogości, Nyborg stał się jeszcze mniej rozmowny, bliski katatonii; Areth była jakby młodsza, może odrobinę mniej wyobcowana; Sidi zaś zaczęła go niemal zupełnie ignorować.

D'mahl nie potrafił znaleźć wspólnego mianownika, może tylko to, że z każdym kolejnym próznościaniem towarzyszy czuł się jeszcze bardziej obcy na "Beli-37", coraz bardziej samotny, i coraz bardziej ciekaw, co zachodzi pomiędzy umysłem człowieka a próżnią. Teraz, gdy przebywał tam ostatni z nich, D'mahl czuł, że cały proces zmierza ku spełnieniu, a drżenie monotonnej struny wypełnia jego istotę swoją harmonią.

– Czy słyszysz wreszcie, Jofe D'mahl? – odezwał się tuż obok cichy głos Areth Lorenzi.
– Czy wreszcie słyszysz wezwanie?

– Nie jestem pewien, co słyszę – odparł D'mahl, nie odwracając oczu od czeluści za ścianą plexi. – Może to tylko wołanie mojego ego. Muszę zarejestrować ssanie próżni na taśmie, inaczej cały spędzony tu czas pójdzie na marne.

– To jest wezwanie – orzekła Areth. – Znam się na tym. Do każdego przychodzi po jego własnym naturalnym wektorze.

D'mahl obrócił się do niej z wysiłkiem.

– Wy coś przede mną ukrywacie – powiedział. – Czuję to. Wiem.

Teraz Areth nie patrzyła na niego, lecz we wszechobecną próżnię.

– Tym czymś – powiedziała – jest przestrzeń stanowiąca jądro wszystkiego. Nasza prawda, której ty zaprzeczasz.

– Dosyć tych szyfrów! – zbuntował się D'mahl. – Co to za kosmiczna prawda, którą mnie wciąż drażnicie?

– Żeby ją poznać, musisz zasmakować próżni.

– Dlaczego?

– Żeby wiedzieć dlaczego, musisz odpowiedzieć na wezwanie.

Z gardła D'mahla eksplodował bezsłowny jęk złości i frustracji.

– Myślisz, że nie rozumiem tej gry, w którą wy tu gracie? – wybuchnął. – Myślisz, że nie wiem, co robicie? Tylko dlaczego? I dlaczego tak się uwzięliście, żeby mnie wysłać w próżnię? A przede wszystkim: po coście mnie tutaj ściągali?

– Bo jesteś tym, kim jesteś, Jofe D'mahl – odparła Areth. – Bo zrobiłeś "Wędrujących Holendrów". Bo może ciebie właśnie szukaliśmy. Może jesteś tym, który potrafi podzielić z nami prawdę i zdjąć brzemię z naszych dusz.

– To już komplementy, prawda?

Areth odwróciła twarz ku niemu, a wtedy skulił się niemal jak pod ciosem od bólu, rozpacz i błagania, które dostrzegł w jej oczach.

– To nie komplementy – powiedziała. – To nadzieja. Proszę cię, jak jedna ludzka istota drugą ludzką istotę – pomóż nam. Bandoora by tego nie zrobił, ja to zrobię. Zdejmij z nas ten ciężar, D'mahl, przyspiesz wezwanie i zdejmij z nas ten ciężar.

Niezdolny dalej patrzeć w jej oczy, D'mahl odwrócił wzrok w upstrzoną gwiazdami czernią. Bandoory nie było już widać, lecz coś z dali istotnie przyzywało go niewidzialną dłonią, przywoływało niesłyszalnym głosem. Nawet jego lęk wydawał się być częścią tego, wyzywał go na spotkanie z próżnią wewnątrz i próżnią na zewnątrz, do wyrzeźbienia z próżni czegoś – czegokolwiek, jeżeli był człowiekiem o tak wielkiej duszy, aby się na to powazyć.

– Niech będzie – powiedział cicho, do Areth, do Bandoory, do nich wszystkich i do tego, co czekało za kopułą plexi. – Wygraliście. Kiedy wróci Bandoora, ja odpowiem na to wasze przekłete wezwanie. Jak to już kiedyś powiedziałem, mam w życiu tylko jedno do zrobienia: ośmielać się.

Lecz człowiek, który niegdyś wyrzekł te słowa, wydawał się teraz przeszły i daleki.

*

Wszyscy wyszli na zewnątrz, na podest przed wejściem, ubrani w pęcherze próżniowe, aby pożegnać D'mahla.

– Osiemnaście standardowych godzin, D'mahl – nadał Bandoora na częstotliwości załogowej. – Pamiętaj, że trzymamy namiar na ciebie i w każdej chwili możemy cię ściągnąć z powrotem, jeżeli się okaże, że to za wiele. Daj tylko sygnał.

D'mahl bez słowa kiwnął głową, zamknięty w swoim pęcherzu. Sprawdził palcami położenie manierki z wodą i kasety z racją żywnościową. Ustalił czas na 4.346. Ani na chwilę nie był w stanie oderwać oczu od bezkresnej czerni morza, w które za chwilę miał znurkować. Miliony punkcików gwiazd pulsowały i migotały w ciemności jak igły przesywając siatkówki jego oczu. Z czeluści pulsował ku niemu bezgłośny ryk, wycie samej wiecznej ciszy. Jego ciało zdawało się kończyć w okolicy kolan. Próżnia okazała się namacalną substancją, wyciągającą się teraz, aby go zamknąć w zimnym oceanicznym uścisku. Wiedział, że musi się jej oddać właśnie teraz, bo za chwile drżący i zlany potem zrejteruje w azył psychiczny "Beli-37".

– Do zobaczenia o godzinie 2.000 – nadał z pozorną nonszalancją, aktywując polaryzator grawitacji. Potem ugiął kolana i odbił się stopami od wąskiego metalowego występu w bezmiar nieznanego.

Sam skok w czeluść uwolnił go jakby od najgorszego leku, poczuł, że fizycznie wyskakuje z własnego strachu i przez moment było mu tak, jak czasami podczas przeskoku z jednego statku Karawany na drugi, kiedy na chwilę tracił wszystko z oczu. Potem się obejrzał.

"Bela-37" była teraz małym metalowym cylindrem oddalającym się z wolna w gwiazdzistą ciemność. Pięć mikroskopijnych figurek na podeście u wejścia drżało przez chwile na granicy widzialności, po czym wtopiło się w bezkształt statku. Nie istniało już nic, co miałyby choćby pozory realności, D'mahl zadrżał i odwrócił głowę. Dziwne, ale widok czystej próżni był mniej przerażający niż widok ostatniej rzeczy, która go łączyła z tym, co człowiecze, znikającej z pola widzenia w głębiny nicości.

Przez dłuższy czas nie oglądał się za siebie. Kiedy to wreszcie uczynił, jego wszechświat nie miał już ani tyłu, ani przodu, ani stron, ani góry, ani dołu. Wszystko wokół było nieskończoną czarną dziurą usianą pyłem nic nie znaczących gwiazd, a jedynym kierunkiem wydawał się być kierunek w dół. Umysł D'mahla stanął dęba, przekoziołkował i odrzucił te niemożliwe dane sensoryczne.

*

Czas nie upływał, ale istniała ciągłość. D'mahl unosił się w próżni i czekał. Przyszło pragnienie, nasycił je, czekał dalej. Przyszedł głód, zaspokoił go szczyptą pożywienia, czekał dalej. Uświadomił sobie bicie własnego serca, pulsowanie krwi w żyłach, czekał dalej. Kinestatyczna świadomość funkcji cielesnych osłabła. Czekał dalej.

Nic się nie poruszało. Nic nie żyło. Nic się nie zmieniało. Cisza nie miała granic. Stopniowo, pomału i z nieskończoną subtelnością, percepcja D'mahla poczęła znów ulegać zmianie. Kojąca iluzja bezpiecznego zamknięcia w przezroczystej osłonie zawieszanej w skończonej rzeczywistości ograniczonej malowaną w gwiazdy kurtyną, zaczęła ustępować pod nieznośnym ciśnieniem czasu, który nie zna upływu, i wymuszonej kontemplacji. Kryształowo czysta substancja przestrzeni stopniała w nicość, z której przedtem wywabił ją swoją myślą, i w tej samej chwili gwiazdy przestały być punkcikami farby na odległych ścianach, a stały się drobinami świetlistej materii, odległymi o całą wieczność, o przepastne jary nicości absolutnej. Wszechogarniająca czerń nie była już malowaną ścianą kieszonkowej rzeczywistości, lecz totalną nieobecnością wszystkiego - światła, ciepła, dźwięku, ruchu, barwy, życia - rozciągniętą w dal, bez granic, które nadałyby jej kształt, bez najmniejszej szczeliny, która nadałaby jej znaczenie.

To była próżnia, a on był w niej.

*

D'mahl stwierdził ze zdziwieniem, że umysł jego jest w stanie ogarnąć tę bezlitośnie prawdziwą percepcję rzeczywistości – jakkolwiek groźną, jakkolwiek przerażającą – bez tarczy iluzji. Bezczasowe trwanie obdarło go ze zdolności podtrzymywania iluzji, a mając do wyboru rozdygotany lęk i chłodną, zdystansowaną akceptację jednej rzeczywistości, wobec której stał, umysł jego wybrał to drugie.

– Był, i był w próżni. To była jego rzeczywistość. Poruszał się, a wszystko wokół trwało w bezruchu. To był fakt. Słyszał własny oddech, a wszystko inne było ciszą. To była prawda, przed którą nie sposób uciec. Kształt własnego ciała odbierał jako błonę oddzielającą jego rzeczywistość wewnętrzną od nicości na zewnątrz, a wszystko inne było na zawsze pozbawione formy, w przestrzeni i w czasie. To była próżnia. To był wszechświat. To była prymarna rzeczywistość. Rzeczywistość, od której ludzie uciekali – w religie, w sny, w sztukę, w poezję, w filozofię, w metafizykę, w literaturę, w film, w muzykę, w wojnę, w miłość, w nienawiść, w paranoję, w senso i w kontakt sensoryczny. W nieskończoną liczbę rzeczywistości mieszczących się wewnątrz człowieka.

Poza rzeczywistościami umysłu, istniała tylko nicość bez formy i końca, szczątkowo zanieczyszczona drobinami materii. Człowiek zaś był jedynie przypadkowym produktem końcowym łańcucha chaotycznych i nie mieszczących się w granicach prawdopodobieństwa zdarzeń tych nie znaczących zanieczyszczeń. Próżnia ani o nim wiedziała, ani o niego dbała. Próżnia nie istniała. Była wiecznym i nieskończonym nieistnieniem, które pomniejszało i obejmowało sobą to, co istnieje.

D'mahl unosił się w czeluści niebytu, trwając poza czasem, i próżnia poczęła sięgać w głąb jego istnienia czułkami swego nie-ja, sięgać po samo sedno i rdzeń, aż znalazła odbicie w próżni wewnętrznej.

Jofe D'mahl doświadczył samego siebie jako cienkiej skorupy bytu wokół rdzenia nicości, unoszącej się w beczasowo i bezforemnie rozległym niebycie. Był błoną grubości pojedynczego atomu między próżnią na zewnątrz a próżnią wewnątrz. Był anomalią w całej tej nicości, przypadkowym trickowym zawężeniem, w którym zdwojona nicość wytworzyła coś – świadomość, byt, życie. Był niczym, i był wszystkim, co jest. Był błoną. Nie było go. Był wszystkim. W beczasowym trwaniu Jofe D'mahl istniał nadal jako bańka świadomości w oceanie niebytu, przypadkowy skrawek materii przekomplikowany w stan, który sam miał przyjemność nazywać życiem; jako ognisko uczucia w nicości, która nie знаła ani uczucia, ani wiedzy o sobie. Był poza lękiem, poza dumą, poza upokorzeniem, w rzeczywistości, gdzie pojęcia te nie miały znaczenia, samo znaczenie też nie miało znaczenia.

Spróbował wyobrazić sobie inne banieczki świadomości szybujące w wiecznotrwałej próżni – na "Beli-37", na statkach Karawany, na nieznanach planetach okrążających abstrakcyjne punkciki świetlne zanieczyszczające sterylną doskonałość czeluści. Lecz tu, w prawdziwej próżni, w tej bezkresnej matrycy niebytu, myśl, że świadomość, a nawet samo życie, jest czymś więcej niż nieprawdopodobnym produktem unikalnego i kruchego łańcucha przypadkowych interakcji zachodzących pomiędzy skrawkami przekomplikowanej nicości zwanej materią, wydawała się beznadziejnie jałowa i żałośnie antropocentryczna. Jeden z możliwych łańcuchów nieprawdopodobnych zdarzeń prowadził do życia, a wszystkie inne wiodły z powrotem do nicości. Jeden mylny krok nie istniejącego losu – i niemożliwe czary prysną.

Cudem było nie to, że życie powstało w tak nieznacznej ilości, lecz to, że w ogóle powstało.

D'mahl unosił się w czerni czeluści, w morzu beczasowego niebytu, uczepony koła ratunkowego jedynej niepodważalnej prawdy: "Ja jestem" – myślał. Ja istnieje, a każda moja myśl, każda rzeczywistość powstała w moim umyśle, istnieje także. Może tak wygląda

rzeczywistość prymarna, ale i tak cokolwiek jest, jest naprawdę.

Zimno, spokojnie, niemal pogodnie, czekał Jofe D'mahl w milczącej, nieruchomej ciemności, na sygnał odwoławczy z "Beli-37", sygnał do powrotu w niebyt próżni, w kruchą złożoność światów człowieka.

Wszyscy oczekiwali go na podeście, ubrani w pęcherze próżniowe. W milczeniu wprowadzili go do wnętrza statku, a oczy ich mówiły o nowej więzi, jaka ich wszystkich złączyła. Z niezwykłą ceremonialnością towarzyszyli mu do kabiny dowódcy statku. Bandoora usadził go przy krótszym boku prostokątnego stołu, sam zaś usiadł naprzeciwko, oddzielony od D'mahla o całą długość stołu. Reszta usadowiła się po obu dłuższych bokach. Byłoby nie do ustalenia, kto siedzi u czoła, a kto u stóp stołu, gdyby nie kolejny kosmiczny hologram, tworzący ścianę za plecami Bandoory. Był to widok na galaktykę z oddalenia pustki międzygalaktycznej, który otaczał głową Bandoory aureolą pyłu gwiazdowego i czerni.

– Teraz, skoro zmierzyłeś się już z próżnią, Jofe D'mahl – rzekł uroczyście Bandoora – możesz dzielić z nami prawdę.

W rzeczywistość tak niedawnego dla D'mahla doznania na pierwszym froncie świadomości, poczęła się sączyć irytacja. Wszystko zakrawało na jakąś żalną ceremonię. Czyżby oni zamierzali potraktować jego przeżycie jako inicjację do jakiejś pozałowania godnej religii? Z inkantacjami, sekretami plemiennymi i Bandoorą w roli arcykapłana?

– Mów, co masz do powiedzenia, Bandoora. – poprosił. Ale oszczędź mi formalności.

– Jak sobie życzysz – odparł Bandoora. Jego wzrok nabrał surowości, zdawał się chłonać czarne błyskawice próżni z holoprzestrzeni za plecami. – Cokolwiek zaszło między tobą a próżnią, zostanie między tobą a próżnią – rzekł. – Ale poczułeś. A nasze badania potwierdzają to już od ponad pięciuset lat.

– Potwierdzają – co? – zapytał D'mahl, niby od niechcienia, ale drżenie głosu nie pozwoliło mu ukryć paskudnego posmaku, który wzbierał w świadomości od próżni wewnętrznej.

– Mamy aparaturę o wiele doskonalszą niż się do tego przed wami przyznajemy – powiedział Bandoora. – I mamy ją od dłuższego czasu. Zgrawisondowaliśmy dziesiątki tysięcy, a nie tysiące, gwiazd. Znaleźliśmy nie setki, lecz tysiące planet. I nie parędziesiąt, ale paręset planet o parametrach Ziemi, orbitujących w strefach potencjalnie mieszkalnych. My was okłamujemy, D'mahl. Okłamujemy was od wieków.

– Dlaczego? – szepnął D'mahl, chociaż znał odpowiedź, czuł, jak krzyczy do niego z hologramu za głową Bandoory, z mglistych oczu próżniojada, z próżni otaczającej statek.

– Wiesz dlaczego – odparł szorstko Doru. – Dlatego że poza martwą skałą i gazem nie ma nic. Ponad siedemset, D'mahl.

– Według wszelkich parametrów znanych naszym naukowcom, te siedemset planet powinno kipieć życiem – odezwała się Areth Lorenzi. – Przez Stulecia mieliśmy nadzieje, że następna, albo ta po niej, zaprzeczy jedynemu narzucającemu się wnioskowi. Lecz na żadnej nie znaleźliśmy nawet mikroba. Nie mamy już nadziei.

– Miejscami trafiają się nawet cząsteczki białkowe – bąknął Nyborg. – Mniej więcej na co osiemdziesiątej.

– Ale przecież za pomocą sondy nie sposób...

– Sondy! – fuknął pogardliwie Boru. – Sondy to jeszcze jedna iluzja dla waszej, ludzi ochrony! Dysponujemy mikrospektrografami, zdolnymi stwierdzić obecność cząstki DNA na odległość dziesięciu lat świetlnych, i to dysponujemy nimi od paru dobrych stuleci.

– Już w tej chwili wiemy, że 997-Beta-II jest martwa – włączyła się Sidi. – Wiedzieliśmy to jeszcze przed złożeniem sprawozdania Radzie Pilotów. Ta cała misja, jak i setki poprzednich, to czczy gest.

– Ale dlaczego nas w ten sposób okłamujecie? – wrzasnął D'mahl. – Jakim prawem? Jak...

– A co mieliśmy wam mówić? – odpowiedział wrzaskiem Bandoora. – Że wszystko jest martwe? – Że życie na Ziemi było unikalnym przypadkiem? Że nie istnieje nic poza pustką, materią nieożywioną i mordercami jedyne go życia, jakie kiedykolwiek powstało? Co mamy wam mówić, D'mahl? Co mamy robić?

– Od przeszło dwóch stuleci żyjemy w przekonaniu, że nasze misje, są beznadziejne – powiedziała cicho Areth. – Od przeszło dwóch stuleci prowadzimy Karawanę od jednej złudnej nadziei do drugiej, wiedząc, że każda będzie złudną. Nie osądzaj nas zbyt surowo. Cóż innego mogliśmy robić?

– Mogliście nam powiedzieć – wymamrotał D'mahl. – - Powiedzieć prawdę.

– Mogliśmy? – powtórzyła Areth. – Czy mogliśmy powiedzieć ją tobie, zanim sam zmierzyłeś się z próżnią?

Wściekłość i rozpacz wiodły obłądny pościg w mandali in-jiang u samego rdzenia Jofe D'mahla. Wściekłość na bezczelność tych ograniczonych podludzi, którzy ośmielali się traktować całą cywilizowaną ludzkość jak opóźnione w rozwoju dzieci, którym nie wolno mówić prawdy. Rozpacz wobec przerażającej wymowy owej prawdy. Wściekłość na myśl, że może próżnioty ukrywają rzeczywisty powód swojego milczenia, że utrzymują Karawanę w niewiedzy jedynie po to, by nie ryzykować przerwania programu zwiadowczego, a wraz z nimi i okazji do jedyne go przeżycia nadającego znaczenie ich kalekiemu życiu. Rozpacz na zdradziecką myśl, że być może próżnioty mają rację, że Karawana runęłaby od prawdy jak przeżarte promieniowaniem plexi. Wściekłość na siebie, że w ogóle przyszło mu do głowy solidaryzować się z próżniotami, że zasiadł w tym oburzającym konsylium.

– Wy otumanione bzdety, wy kaleki! – wyrzucił z siebie nareszcie. – Jak śmiecie tak nas osądzać? Za kogo wy się macie – za bogów Olimpu? Pozamykaliście swoje życie w ciasne kanały, podcinałiście się od światów wewnętrznych – a teraz ośmielacie się decydować o tym, co my możemy znieść, a co nie?

Drżał na całym ciele, naprężone jak stal mięśnie bliskie były zakleszczenia, a w arteriach kotłował się ogień adrenalinowy. D'mahl z całej siły wciskał dłonie w krawędź stołu.

Grupa próżniotów siedziała spokojnie, patrząc na niego w milczeniu, a tym, co dostrzegł w ich oczach, była ulga, nie zaś gniew, czy reakcja na jego gniew.

– Wiec zrobisz to, D'mahl? – spytał cicho Bandoora.

– Co takiego?

– Powiesz im po swojemu – rzekła Areth. – Zdejmiesz z nas brzemię prawdy.

– Co?

– Wyczuwając "Wędrujących Holendrów" zrozumiałem, że ty się nadajesz – powiedział Bandoora. – Przeczuleś granice prawdy. Wydawało się, że patrzysz na próżnię, a widzisz poza nią. Ty, D'mahl, znasz swoich ludzi – my ich nie znamy. Sam to przed chwilą stwierdziłeś. Powiedz im. Zrób senso, które im powie.

– Ta... ta cała wycieczka... to był wybieg, żeby mnie tu ściągnąć... żebyście mogli na mnie zrzucić swój bagaż gówna!

– Obiecałem ci okazję do zrobienia największego senso w twojej karierze – powiedział Bandoora. – Czujesz się oszukany?

D'mahl opadł na fotel.

– Ale nie powiedziałeś, że będę zmuszony odnieść sukces.

*

Statek schodził ogonem na długi, płytki łuk nad błoną wodorową, ciągle tracąc szybkość. Przeszedłszy na częstotliwość wizyjną "Beli-37", Jofe D'mahl ujrzał jak w momencie przechodzenia statku przez jutrzniową fale, statki Karawany pojawiły się nagle w całej swej okazałości, jak gdyby błona wodorowa była tęczową kurtyną, która unosząc się odsłoniła

wielki balet ruchu i światła.

W czerni wisały tysiące lśniących cylindrów o powierzchniach kunsztownie przystrojonych wielobarwnymi światłami. Przestrzeń pomiędzy nimi skrzyła się od wydzielin szalup statek-statek i mgiełki subtelnych refleksów, rozsiewanych przez tysiące ruchomych pęcherzy próżniowych. Wąski purpurowy ślad przejścia Karawany przecinał wiecznie nieruchomą nicłość eteryczną bruzdą dowodu na to, że ruch istnieje.

Karawana wydawała się jeszcze większa i piękniejsza niż ją uczyniła pamięć D'mahla podczas długiej, ponurej podróży powrotnej. Jej światła zwalczały wieczną ciemność, jej złożoność podważała nieskończoną jednorodność próżni; tańczyła w kręgu światła własnej glorii. Była żywa. Była piękna. Była domem.

Bandoora dobrze wyliczył: z chwilą gdy "Bela-37" przeszła na wysokość zaplecza Karawany, jej prędkość względna spadła do zera i statek zawisł w przestrzeni o jakieś dwaście kilometrów poza wieńcem statków Karawany. Bandoora wykonał manewr obrotu o sto osiemdziesiąt stopni i zaczął obniżać statek ku Karawanie, na miejsce parkowania tuż za błoną wodorową. D'mahl wyłączył się z częstotliwości wizyjnej statku zwiadowczego i spoczął na grawipłytcie w swojej kabinie, po raz ostatni długo wpatrując się w gwiazdne pole hologramu na ścianie.

Potem, jak kochanek sięgający po hołubione w pamięci ciało po długiej rozłące, jak człowiek wstający z długiej śpiączki w światło dnia, skontaktował Jiz Rumoku.

Siedział przy nieskazitelnym szklanym stoliku, sącząc z czajniczka lodowaty niebieski napój, którym popijał gębczasty lawendowy olśniewacz. Po przeciwnej stronie stolika, Varn Kamenev nalewał sobie z dzbana kolejną porcję napoju: dzbanek należał do tego samego serwisu. Stolik stał na kręgu przezroczystego plexi, który jak dziesiątki podobnych kręgów dryfował w otoczeniu, które przypominało dżungle winorośli, bez stropu i bez dna. D'mahl nie rozpoznał restauracji, ale nie zadał sobie trudu sięgnięcia po informacje do banku.

– Bohater wraca do domu – rzekł krtanią i ustami Jiz, czując jak jej ciało rozgrzewa się od jego obecności.

– Jofe, gdzie jesteś? Wszystko w porządku? Wyczuję cię...

– Poczekaj na ciało, Jiz – powiedział. – Będę u ciebie w galerii najdalej za dwie godziny. Chciałem, żebyś się pierwsza dowiedziała, a teraz muszę się w przyspieszonym tempie wczuć w realia, bo skonam z pragnienia.

– Ale jak było...

– Daleko, daleko, daleko, daleko – odpowiedział, czując nagły przepływ radości na myśl, że jest z kimś, kto może w tym momencie wczuć się do banku cytatów. I na pewno to zrobi. – Za rok w Jerozolimie – dodał jej ustami. Tymi samymi ustami ucałował jej dłoń i przerwał kontakt.

Po czym wczuł się kolejno we wszystkie zmiany, według chaotycznego programu wynajdowania nowych zjawisk.

Był Parą Bunningiem, skaczącym do góry w obniżonej grawitacji do basenu wonnej różanej wody podgrzanej do temperatury ciała. Na ścieżce sensorycznej pilota szalupy zobaczył, jak "Bela-37" przebija błonę wodorową, z nim samym na pokładzie, a następnie jak pojawia się z powrotem w Karawanie, na częstotliwości dziennika wieczornego. Stał we własnym grand-salonie, z wściekłością patrząc poprzez mgły bankietu na Harisa Bandoorę, następnie wyczuł salon w czasie realnym – naga szmaragdowa posadzka, przyćmione kryształowe drzewa, a poza ekranem plexi – olbrzymi wieńiec statków świecący w galaktycznej nocy.

Był w ciele Johna Beniny, patrzył w dół na Pasaż Słonecznego Tańca. Winorośle rozpełzały się w górę i w dół po jednorodnie szklanych fasadach domów, a pośrodku placu sosny okalały wielkopłytkowe lustro, tłumiąc jego blask. Wyczuł fragment "Niech zakwitnie tysiąc kwiatów", senso autorstwa Irana Capabuli, którego premiera odbyła się pod jego nieobecność:

zgięty w pół pod złotym słońcem w czystobłękitnym niebie pełń nieskończone pola bajecznie kolorowych kwiatów, zatopiony w ich kadzidlanej woni. Jako pierwszy tancerz Baletu Odległego Spojrzenia, odtańczył parę taktów "Eksplozji Gwiazdnej". Pierwszy raz kochał się na niebieskim futrzanym wzgórzu na "Samarkandzie", ostatni raz u Jiz, a między pierwszym i ostatnim jeszcze ze dwanaście razy. Ukończył swoje pierwsze senso, "Zaciemnienie", i ostatnie – "Wędrujących Holendrów". Jadł obiad pośród kolorowych chmur na "Arielu", drugi nad Krwawym Jeziorem na "Lothorienie", a w trakcie jeszcze dwanaście razy w różnych innych miejscach. Na przypadkowych częstotliwościach sięgnął do wszystkich sensosów, jakie w życiu robił.

A kiedy miał już to wszystko za sobą, zjednoczył się z dawnym D'mahlem, był znów we wszechświecie nieskończonej liczby rzeczywistości, który na jakiś czas opuścił; był całością; był w domu.

*

"Brigadoon", zgodnie z oczekiwaniem D'mahla, był całkiem odmieniony. Nowa moda była jednak jak najdalsza od tego, czego się spodziewał i coś w niej zmroziło go do żywego.

Pokład drugi stanowił symule starożytnej ziemskiej wioski alpejskiej: symul-drewniane domy, trawa porastająca syntetyczną glebę, sosny; nawet kopuły wizjerów zasłonięte były 360-stopniowymi hologramami gór w czapach śniegu pod błękitnym niebem.

Wachlarz rozrywek na pokładzie szóstym znacznie uszczuplono i uproszczono żałośnie na wzór małomiasteczkowych amerykańskich lunaparków: diabelski młyn, karuzela, gra w rzutki i baloniki, romboidalne boisko baseballowe, nawet mechaniczne symule medalowego bydła, owiec, psów i świń. Ten pokład również osłaniał 360-stopniowy hologram, tym razem hologram zboża falującego na wietrze. Pokład ósmy, mieszkalny, był symulą wioski afrykańskiej – koliście ustawione chaty kryte trawą, zagroda z mechanicznym bydlęciem i antylopy, lwy, oraz hieny, hasające po osłaniającym całość hologramie stepu. Pokład dziesiąty przerobiono właściwie w całości na funkcjonalny pokład rolny: rzędy za rzędami sadzonek sosen, gęsto zasadzone winnice, grządki kwiatów, i uwijający się wszędzie ludzie w zieleni ziemioryjców.

D'mahla zaszokował nie tyle motyw przewodni nowej mody – "Brigadoon" lansował już wcześniej mody "naturalne" – co monomania wykonania, bez poczucia humoru, bez brio. Ta ostatnia metamorfoza "Brigadoona" wydawała się tak śmiertelnie poważna, jakby stanowiła próbę stworzenia rzeczywiście wiernej symuli dawnych środowisk ziemskich, a nie użycia ich jako pretekstu do artystycznych przetworzeń.

Pokład dwunasty, pokład Jiz, epicentrum wszystkich fal transformacji "Brigadoona", zaskoczył go najbardziej. Wyłącznie drewno i drzewa. Sklepy i restauracje pobudowano z symul-klód pokrytych chropawą korą; kwadratowe szybki z plexi w małych okienkach osadzone były w drewnianych, żłobionych okiennicach. We wnętrzach stały symul-drewniane, grubo ciosane meble. Ścieżki wyłożono kamiennymi płytami. Wokół rosły ogromne symul-drzewa, kasztanowce i eukaliptusy, wynoszące się aż pod strop pokładu, gdzie tworzyły niemal lity leśny baldachim, pomniejszając i wręcz spychając z powierzchni skromne, neoprymitywne chaty. W powietrzu unosiła się gęsta woń palonych liści i butwiejącej gleby; słychać było nieustannie ptasie nawoływania i nieokreślone szelesty przemykających się zwierząt.

Galerię Jiz Rumoku stanowiła teraz pojedyncza obszerna komnata z wydrążonego symul-pnia drzewa, które mogłoby uchodzić za niebywałych rozmiarów sekwoję, nad galerią zaś mieścił się zgrzebny stryszek – obecne mieszkanie Jiz, o ścianach i podłodze z kłód symul-sekwoi. Przez sufit biegły ciężkie drewniane krokwie, a na kominku z czerwonej cegły migotał i huczał pomarańczowy ogień. Eleganckie symul-orzechowe stoły i kredensy w

czystym, estetycznym stylu Shakera, służyły do ekspozycji reprezentatywnych rzeźb w drewnie, glinianych naczyń, biało-niebieskiej ceramiki, niewymyślnej biżuterii ze złota i srebra, wiklinowych koszyków i zwierzątek, neo-ręcznie tkanych materiałów. Po całej galerii rozstawione były żeliwne piecyki, koksowniki, narzędzia rzemieślnicze i pługi.

Jiz stała za niskim stolikiem ubrana w obcisłą, przylegającą do ciała sukienkę z surowej bawełny, w biało-czerwoną szachownicę, skrojoną w stylu minoańskim, tak, że odsłaniała piersi. Piła coś z glinianego kubka.

– Jofe! – krzyknęła i przeculi się nawzajem. D'mahl poczuł na jej skórze szorstkość sukienki, gdy ciało jego całowało jej usta, a jego ramiona przytulały go do niej z całej siły. Smakował resztki płynu w jej ustach – coś słodkiego, kwaskowatego, z lekką domieszką alkoholu. Przez kontrast, jego własne usta wydawały się twarde i naelektryzowane.

– Nie wiem, od czego zacząć – powiedziała, kiedy zerwali kontakt. – Pozwól mi wyczuć ścieżkę sensoryczną twojej wycieczki!

– Jeszcze jej nie ma w bankach – odparł D'mahl. – Pamiętaj, że byłem odcięty.

– Racja! To niesamowite! Naprawdę będziesz mi o tym mówić, słowami?

– Wkrótce wczuję nagrania do banków – bąknął D'mahl, zastanawiając się, czy przypadkiem nie kłamie. – A mówiąc o niesamowitościach co to wszystko ma znaczyć?

– Racja – zmitygowała się Jiz. – Ty przecież rzeczywiście nie miałeś kontaktu. Jakie to dziwne! Moda transmutacyjna trwała krócej niż się spodziewałam, głównie dlatego, że zaczęła się wszystkim wydawać zbyt sztuczna, bez synchu z naszym przyszłym wektorem.

– Przyszłym wektorem? to znaczy?

– Eden.

– Eden?

– Nasz coraz bliższy nowy dom, Jofe. Nie możemy go ciągle nazwać 997-Beta-II, prawda? Odbyło się referendum i wygrał "Eden", chociaż ja osobiście byłam za "Olimpią". Mity greckie zawsze były mi jakoś miłsze.

Fale mdłości przetoczyły się przez całą istotę D'mahla, biorąc swój początek z centrum nicości za mostkiem.

– Nie sądzisz, że to zbyt przedwczesne, Jiz? – zapytał.

– Na tym polega moja gra, Jofe, przecież wiesz – odparła Jiz, żartobliwie dotykając palcem koniuszka jego nosa. – Tym razem jednak kreuję coś więcej niż nową modę. Pomagam w przygotowaniu nas do transformacji.

– Transformacji?

Jiz tańczyła po galerii, dotykając drewna, gliny, wikliny, żelaza.

– Och, Jofe, sam to przecież powiedziałeś w "Wędrujących Holendrach"! Za długo już jesteśmy Latającymi Holendrami na bezbrzeżnym morzu. Trwamy w wiecznym okresie dojrzewania, na zwolnionych obrotach przemierzamy noc w swoich baśniowych statkach. Więc teraz, skoro mamy okazję wreszcie dojrzeć, zapuścić nowe korzenie w nową glebę, musimy doprowadzić swoje umysły do synchu z nadchodzącą rzeczywistością, musimy zejść z pochodni, na której jedziemy, bliżej ziemi. Drewno, cegła, żelazo, glina, roślinność! Przedmioty planetarne! Przygotowujemy się do roli pionierów, którzy wkroczą w dziewiczy świat.

– Gównno – mruknął przerażony D'mahl. – Ziemioryjskie brednie – dodał głośno. Irytacja zaczęła w nim kipieć, przybierając blask nowej. Jiz stanęła, jak motyl zastygły w połowie tańca.

– Co ty powiedziałaś?

D'mahl spojrział na nią, na nagie piersi uniesione strzeliście ponad białoczerwoną tkaniną, dumnie panujące nad syntetycznym prymitywizmem, który sama stworzyła, nad próżnym, żalonym marzeniem, które nigdy się nie spełni – i przez dłuższą chwilę miał wrażenie, że Jiz zrobiona jest z cienkiego szkła, które rozsypie się w okruchy na sam dźwięk jego

głosu. Cała galeria, cały pokład dwunasty, cały "Brigadoon", cała karawana, wydały mu się dymnymi obłokami, które można rozwiązać jednym nonszalanckim machnięciem ręki. Poza nim i w nim, próżnia natrzęsała się z żalonych zjaw, które tak bardzo starały się istnieć naprawdę. "Jak mam jej powiedzieć?" – pomyślał D'mahl. "I po co? Po diabła?"

– Nic takiego – bąknął niezdarnie. – Nie zachwycała mnie chyba myśl o dorastaniu. Za dużo we mnie Pana, za mało Piotrusia.

Jiz roześmiała się, wyjaśnwszy za pomocą kontaktu do banku potrójny żart D'mahla, i niebezpieczny moment jakoś przeszedł. D'mahl czuł jednak dystans, jaki się rozwarł pomiędzy nim a Jiz, pomiędzy nim a Karawaną, pomiędzy rzeczywistością a iluzją. Czy to właśnie znaczy być próżniokadem? – zastanowił się. Jeżeli tak, to lepiej się przeprogramować na lewą stronę!

– Ale ty tam przecież byłeś, Jofe – powiedziała Jiz, wracając do niego z drugiego końca galerii. – Odczytywałeś fałę czołową sondy, zajrzałeś przez bramy Edenu! – jej oczy skrzyły się, ale D'mahl za lukrem ich blasku widział jedynie próżnię. – Czy są tam morza pełne ryb i niebiosa pełne ptaków? Zielona trawa? Kwitnące rośliny?

– Dżentelmen nie zdradza sekretów – zrobił unik D'mahl. Co ja jej powiem – że zielona trawa to sole miedziowe, że morza są niebieskie od cyjanku, a niebo pełne trucizny? Poczł większą niż dotąd sympatię dla próżniokadów. Jak można żyć, mając ludziom do powiedzenia tylko takie prawdy? Jak można chcieć być aniołem śmierci?

– Jofe!

– Nic nie mogę powiedzieć, Jiz, dałem słowo. .

– Nie wygłupiaj się, w jaki sposób próżniokady, czy Rada Pilotów, zdołałyby wydusić z ciebie taką obietnicę?

Z niebyszałym wysiłkiem D'mahl wymalował sobie na twarzy łagodny uśmiech; głębokie zmarszczki śmiechow wyglądały jak pęknięcia na szklanej masce.

– To jest właśnie ten kwik, który płace za ich pro quo, mój prosiaczku – odparł.

– Nie powiesz mi chyba...

– A właśnie, że powiem. Myślisz, że siedziałbym tam inaczej tak długo, a potem pozwolił, żeby jakiś tam oschły jak Luna biuletyn pozbawił mnie głównej roli? Żadnych biuletynów – 997-Beta-II-Eden – to moje nowe senso.

Jiz podskoczyła i pocałowała go w usta.

– Spodziewam się, że najlepsze!

D'mahl przytulił ją przelotnie i poprzez burze jej włosów spojrział na kolekcje prostych glinianych naczyń na orzechowym kredensie przy ceglany kominku. Zadrzał, gdyż poczuł próżnię w każdym atomie, w każdej cząsteczce materii tworzącej tą symul-projekcję umarłej na wieki przeszłości w przyszłość, która nigdy nie nastąpi. Był teraz skazany na zrobienie tego, jedynym wyjściem było przez to przebrnąć, a przecież wziął na siebie obowiązek znalezienia takiego wyjścia.

– Mam nadzieję, że najlepsze – odparł. – Mam nadzieję.

D'mahl był w ciele Arica Moreau pośród tłumu śmiertelnie poważnych ludzi w obrzydliwych samodziłach, wałęsającego się nieprzytomnie po gęstych szpalerach sosnowych młodniaków na pokładzie rolnym "Polany". Tutaj nie silono się na żadne symule: ziemioryjcy zapamiętali hodowali las z myślą o przetransplantowaniu go na nie istniejące żyzne gleby Edenu. Podobnie jak na innych pokładach rolnych, które wyczuwał, tu także funkcjonalność brała górę nad estetyką. Wściekły, puścił z góry deszcz ekskrementów, zmienił modny neo-samodziłowy strój na obmierzłe drelichowe szmaty, a na dobitkę dorzucił jeszcze kilka gniewnych piorunów z błyskawicami.

Przeczł ten fragment sprawozdania "Beli-37", w którym hologram 997-Bety-II wisiał jak przejrzały owoc w samym centrum mostka kapitańskiego statku, a na linii równego podziału umieścił jęzor i usta, otrzymując efekt wielkiej, soczystej maliny. Płynął w próżni,

opadając bez końca w bezdenną czarną dziurę przyprószoną nic nie znaczącymi gwiazdami. Sprawił, że gwiazdy przeistoczyły się w byle jak poznaczone kropki na czarnym papierze i z wnętrza tego continuum papierowej torby przebił się na zewnątrz – w czeluść.

Sięgnął po taśmę wiadomości dnia z roku 708, roku w którym 557-Gamma-IV okazała się fałszywym światelkiem: patrzył jak obywatele Karawany, w stylizowanych na biblijne szatach, snują się po pokładzie rolnym gęsto porośłym przekwitłymi kwiatami i cuchnącym od gnijącej roślinności. Wystylizował ich kwaśne miny w żałosne błazeńskie karykatury obliczy, które z wolna przemieniały się w dynie; Big Ben wybijał północ. Stał, gotów do skoku, ha podeście u wejścia na "Belę-37", spięty i drżący, obezwładniony czarnym ogromem, w którym niebezpiecznie zawisł statek.

Puknął z irytacją, zdjął z głowy pierścień efektów jak koronę po abdykacji i zasiadł w kokonie fotela, z niezadowoleniem patrząc na krążek mikrotaśmy obracający się jałowo na sztyfcie producenta. Wcisnął niebieski guzik i skasował krążek. Gówno, które tu montuje od trzech dni, nie zasługuje nawet na przechowanie – pomyślał. Manipuluję bankami i pierścieniem efektów – w nic się to nie sumuje.

A czasu było coraz mniej. Wszyscy wiedzieli, że "Bela-37" powróciła, wszyscy wiedzieli też, że biuletynu nie ma wyłącznie dlatego, że Jofe D'mahl ma przekazać informacje w formie senso. Jiz w swojej niewinności i Bandoora w swej tchórzliwej chytrności, dobrze o to zadbali. Im dłużej trwało przygotowywanie senso, tym większego nabierało ono znaczenia w kategoriach kosmicznych, i tym silniej rosła wiara ludzi w to, że jedyną przyczyną ogłoszenia raportu statku zwiadowczego w tak niecodzienny sposób jest oddanie karmicznej sprawiedliwości najdonioślejszemu i najradośniejszemu wydarzeniu w dziejach Karawany – dopisanie triumfalnego epilogu do długiej ludzkiej podróży na pochodni.

Im dłużej zatem siedział martwo w przestrzeni, jak statek z wygaszoną pochodnią, tym dalej brnęli ludzie po fałszywym wektorze nadziei; tym straszniejszy będzie krach, kiedy nadejdzie, tym trudniej skonstruować senso, które przewyciężyłoby tę dynamiczną inercję i poprowadziło ludzi w kolejny obrót straszliwej spirali. Teraz D'mahl rozumiał już, dlaczego kasta próznojadów przez pół tysiąclecia wybierała kłamstwo. A im dłużej kłamstwo trwało, tym mniej możliwe stawało się obwieszczenie prawdy.

Jakie wyjście wybrała kasta próznojadów? Zignorowali asymptotyczną naturę stworzonego przez siebie potwora Frankensteina i oddali się próżni! Dla nich rzeczywistość ostateczna była super-iluzją eskapistyczną!

D'mahl z wściekłością walnął oburącz w krawędź konsoly producenta. Niech będzie co ma być, jeżeli wszystkie wektory prowadzą do próżni – próżnia musi być rdzeniem! I tak nie mam lepszego materiału. Pójdę do centrum i nie wyjdę stamtąd póki nie poczuję w garści bicia serca tego senso.

Umieścił krążek próznośsania w playbacku pomocniczego producenta i zaprogramował aparat na replay ciągły. Z początku ustalił długość programu na limit dwudziestu czterech godzin standardowych, ale zmienił zdanie. Nie, pomyślał, muszę mieć pełną władzę nad tym materiałem, żadnych ograniczeń. Do pierścienia efektów wprowadził polecenie "stop", na wszystkie inne programowanie efektów nałożył blokady, i dopiero wtedy umieścił pierścień na głowie.

Teraz będzie mógł obejrzeć swój materiał z próżni jak oryginalną, nagą rzeczywistość, mając jedynie możliwość zastopowania ciągłości przekazu, lecz bez przynależnej senso-producentowi władzy zmieniania rzeczywistości. I nie użyję stopu, póki nie będę mógł wrócić z tym, co mi potrzebne – obiecał sobie, uruchamiając czucie na krążek próznośsania. Wróć tylko pod warunkiem, że będzie to znów powrót na mojej własnej pochodni.

Był nieśmiertelnym embrionem dryfującym swobodnie w wiecznym łonie uniwersalnej czeluści, a miliony gwiazd były drobinkami emanującej światłem materii, oddalonymi odeń o wieczność przez przepastne jary absolutnej nicości. Wszechobecna czerń była totalną

nieobecnością wszystkiego – światła, ciepła, dźwięku, barwy, życia – rozciągniętą w dal, bez granic, które nadałyby jej kształt, bez najmniejszej szczeliny, która nadałaby jej znaczenie. To była próżnia, a on był w niej.

Ku swemu zdumieniu, D'mahl stwierdził jednak, że umysł jego tym razem natychmiast ogarnia bezlitośnie prawdziwą koncepcję rzeczywistości, bez pomocy iluzji, jedynie przy udziale wrzeczona somatycznego i lęku zarejestrowanego na taśmie sensorycznej. A nawet i one rozwiały się, gdy pamięć taśmy dogoniła chłodną jasność umysłu, do osiągnięcia której potrzebował w czasie realnym nieokreślonego okresu dezorientacji i lęku.

Był. Był w próżni. Poruszał się, a wszystko inne trwało w bezruchu. Kształt własnego ciała postrzegał jako błonę oddzielającą jego rzeczywistość wewnętrzną od nicości na zewnątrz, wszystko inne zaś pozbawione było granic i błon, po wieczną przestrzeń i czas. Poza realiami jego własnego umysłu była próżnia bez formy i końca, szczątkowo zanieczyszczona drobinami materii; człowiek zaś był jedynie przypadkowym produktem końcowym łańcucha dowolnych i mieszczących się poza prawdopodobieństwem zderzeń owych nie znaczących zanieczyszczeń. Próżnia ani o nim wiedziała, ani o niego dbała. Próżnia nie istniała. Była wiecznym i nieskończonym nieistnieniem, które pomniejszało i obejmowało sobą to, co istnieje. D'mahl doświadczył siebie jako cienkiej skorupy bytu wokół rdzenia nicości, unoszącej się w nicości – jako trickowej anomalii czegoś, nieodwołalnie zagubionej w beczasowym i bezforemnym zawsze. Nic nie miało znaczenia, nawet samo znaczenie. Cudem było nie to, że życie powstało zaledwie raz jeden w tej bezgranicznej matrycy niebytu, lecz że w ogóle powstało.

Czarna próżnia, bezsensownie upstrzona niedosiężnymi gwiazdami, wewnętrzne lękliwe skurcze jego własnego ciała, dogłębna świadomość otaczającej go totalnej pustki, trwanie bez czasu. Gdy się tu raz dotarło – pomyślał D'mahl – to co dalej? Pytanie tak zadane stało się śmieszne, gdyż tutaj w próżni nie było do czego adresować pytań – jedynie do siebie. Nie było co postrzegać, jedynie nieobecność postrzegania. Nie było co postrzegać. Nie było nic. Nie było.

D'mahl unosił się w fizycznej nicości i próżni umysłu, oczekując na upragnione objawienie transcendentalne. Oczekując na objawienie. Oczekując. Oczekując. Po jego umyśle ścigały się gry, kiedy tak czekał w nieobecności zdarzeń, w nieobecności znaczącej percepcji, w nieobecności wymiernego czasu, w nieobecności doskonałej. Spróbował na nowo ustalić rachubę czasu, licząc uderzenia własnego pulsu, ale szybko stracił rachubę i w ogóle zapomniał, co robił. Spróbował wyobrazić sobie naturę tego, czego szuka, lecz myśl natychmiast zaplątała się w tautologiczne pętle sprzężenia zwrotnego: gdyby wiedział, czego szuka, nie musiałby szukać. Spróbował pospekulować na temat tego, co leży poza nieskończoną nicością, która go otaczała, ażeby ustalić jakieś ramy metafizycznego odniesienia, lecz każda koncepcja zawisała na zawsze w niedosiężnych obszarach matematycznego bełkotu. Spróbował zanurzyć się do cna w samą nicość – i stwierdził, że już tam jest.

Gry wyparowały z jego świadomości, a za nimi sama możliwość gry, i stał się jedynie punktem widzenia uwięzionym w próżni nie-danych. Czerń przestrzeni nie mogła już być postrzegana jako kolor, gwiazdy zaś stały się odbłaskami statyki siatkówkowej. Wzrok i słuch były w tej absolutnej rzeczywistości zapomnianymi pojęciami, skoro jedyne dane zmysłowe stanowiły szумы w samych systemach zmysłowych.

Myśl też zaczęła oddalać się w zapomnienie, w ślad za zmysłami, aż wreszcie nie zostało nic prócz ośrodka bólu w przepastnej i nieskończonej nicości, głucha mantra nudy tak totalnej, tak absolutnej, tak pozbawionej kontrastu, że tworzyła świat kosmicznego bólu.

Nie, nawet nie bólu, gdyż ból byłby tutaj radośnie witaną ulgą:

Coś gdzieś pojękiwało. Coś nigdzie pojękiwało. Nic nigdzie pojękiwało. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? – skarżyło się. Dlaczego nic mi się nie dzieje? Dlaczego nic się nie dzieje? Dzieje... dzieje... dzieje... dzieje... dzieje... dzieje...

Próżnię rozdarł krzyk umysłu.

– Po co ja to sobie zadaję?

Był umysł, który chłostał sam siebie. Był umysł, który chłostał sam siebie za własną głupotę. Było zderzenie mentalne, była treść, była forma.

Był umysł Jofe D'mahla, unoszący się po wieczność w nieskończonej nudzie. Umysł, który szydził sam z siebie.

Ty sam to sobie zadajesz, głupku! – uświadomił sobie D'mahl. A wraz z tą świadomością, bezsensowne wzorki na siatkówkach jego oczu rozwinęły się w obraz galaktycznej czeluści, usiany gwiazdami. W jego umyśle zaś, wizja ta rozwijała się dalej w nieskończony mikrofilm na ruchomym krążku producenta, w jego własnym domu, na „Excelsiorze”, nie opodal centrum Karawany.

Wszystko to robisz sobie sam, ty kretynie! To ty panujesz nad tą rzeczywistością, tylko zapomniałeś, że nad nią panujesz. Nie ma problemu. Nigdy nie było problemu. Jedynym problemem jest to, żeśmy tego wcześniej nie chcieli dostrzec.

– Stop – polecił D'mahl. Siedział w kokonie fotela, skąpany we własnym pocie, gapiąc się w konsolę producenta, rycząc ze śmiechu, czując, jak, poczynając od czubków palców przeszywa go siła własnej pochodni, ożywiając wyczerpane ciało.

Śmiejąc się, posuwał blokady z banków efektów. Na co komu planety? Na co komu życie poza tym zarazkiem, który sami niesiemy? Na co komu w ogóle prymarna rzeczywistość?

– Realite, c'est moi – wyszeptał D'mahl. Mówił to już kiedyś, ale nie znał jeszcze wtedy pełnej wagi własnych słów. Bowiem na swoich skroniach dźwigał nie koronę cierniową, lecz koronę, stwórcy.

Cofnął taśmę o parę stóp i raz jeszcze zanurzył się w pustej, usianej gwiazdami czerni. Roześmiał się.

– Niech się stanie światło – polecił. I oto firmament zadrżał i stało się światło.

– Stop – polecił. I pochylił się nad producentem. Począł rzeźbić z próżni kolejny fragment własnego znaczenia.

Twoje pole widzenia wypełnia jaskrawe, złote światło, a ciało twoje przenika rozkoszna ciepła poświata. Światło cofa się od ciebie, aż nareszcie staje się czymś, czego oko ludzkie znieść nie potrafi: plazmatycznym sercem pochodni, które zdaje się bić i pulsować jak żywe ciało. I oto siedzisz okrakiem na tym feniksowatym płomieniu, płomień rozrasta się między twoimi nogami, a jednak to ty go ujeżdżasz, poprzez galaktykę nienaturalnie wypełioną gwiazdami, poprzez płonący firmament chwały. W miarę jak lecisz coraz szybciej, w miarę jak ciepła poświata w twoim ciele przybiera na sile z każdym uderzeniem pulsu pochodni, w poprzek gwiazdowego pola zapalają się ogniste litery, wysokie na kilka lat świetlnych:

JEZDZIEC NA POCHODNI

Autor: Jofe D'mahl

Kroczysz w ekstazie, a wszechświat eksploduje w kryształowe pasma światła.

Starzec o długich siwych włosach, ze zmierzwioną siwą brodą, strojny w starodawną wyświechtaną szatę, siedzi na puszystej białej chmurze, dłubiąc w czerwonym krogulczym nosie. Spod krzaczastych białych brwi spoglądają dziko wściekłe oczy, w prawej dłoni połykuje wiązka błyskawic. Na sąsiedniej chmurze siedzi Szatan w schludnym czerwonym fracku, czarnej pelerynie, z fularem pod spiczastą vandyckowską bródką. Jego skóra ma barwę zielonego jabłuszka. Szatan ęmi koniec swego długiego, krętego ogona, co jakiś czas wydmuchując kłęby lawendowego dymu o zapachu siarki. Obserwujesz tę scenę nieco z góry, wdychając zabłąkane opary Szatana. Dają one umiarkowanie euforyczny efekt.

– Hiob, Hiob – mówi Szatan. – Czy nigdy się nie zmęczysz gładzeniem o tym capie?! czego on właściwie dowodzi?

– Że moje stworzenia kochają mnie bez względu na to, jak obficie zarzucę je gównem –

odpowiada starzec. – Jakoś nie widzę, żeby na twoją cześć wznosili kaplice sykstyńskie, Żmiju.

– Z ciebie to niezły kawał sadysty, stary satyrze. Powinieneś grać po mojej stronie.

– Uważasz, że bym nie umiał? Za takiego się masz super-złego? – Starzec wstaje, rycząc gromami, potrząsając snopem błyskawic. – Zanim skończę z tymi baranami, będą skamleć o łaskę do ciebie. Tak czy owak, ja jestem największy. Pamiętasz jak załatwiłem Egipcjan?

Szatan dmucha w niego lawendowym dymem.

– Dziesięć gównianych plag i scenka z topielcami! Amatorszczyzna i tyle.

– Tak? Tak? – piekli się starzec, ciskając gromy jak popadło; oczy latają mu jak oszalone wrzeciona. – Ja ci pokażę, kto tu jest głównym pochodniowym! Ja ci pokażę kto to jest Pan Bóg, Allah, Jehowa, Król Wszechświata!

– Doprawdy? – szydzi Szatan. – Coś ci powiem: chcesz przerobić zakład o Hioba na podwójną stawkę do zera?

– Proszę uprzejmie, ty Żmiju, w każdej chwili.

– Dobra, Panie Jamjest, spuściłeś na Hioba całe szambo, jakim dysponowałeś, a on dalej czołgał się na łokciach i kolanach, żeby polizać twoje stopy. Jak jesteś taki chojrak, to pokaż, że umiesz ich złamać. Wszystkich. Pokaż mi, jak cała rasa ludzka przybiera pozycję embrionalną, wkłada palce do ust i poddaje się. Taki zakład, Panie Napoczątku. Ja ich wyprowadzę przeciwko tobie.

– Ty się chyba zgrywasz! Przecież to mój program! To ja jestem wszechwiedzący, wszechmocny, to mnie wolno rozdawać znaczone karty spod talii.

– Nawet jak przegrasz, podzielę się z tobą pół na pół.

Starzec wybucha opętańczym śmiechem. Szatan podnosi głowę, patrzy ci prosto w oczy, wzrusza ramionami i robi palcem kółko na prawej skroni.

– Dobra, synu, zakład! – mówi starzec. – A na początek – to!

I wściekłym zamachem ciska błyskawicę ze swojej chmury na widoczny w dole świat.

Stoisz na zatłoczonej paryskiej ulicy, niebo eksploduje, budynki topią się i spływają chodnikami. Wieża Eiffla kruszeje i pada, a twoje ciało zaczyna się oddzielać od kości. Jesteś olbrzymim ptakiem, pióra twoje płoną w gorejącym niebie, opadasz na ugór zamiatanego wiatrem pyłu i dogorywających budowli. Jesteś delfinem, wyskakujesz z dusząco gorzkiego morza w powietrze o konsystencji papieru ściernego. Stoisz na skraju swojego pomarańczowego sadu, patrzysz jak drzewa zmieniają się w pochodnie pod wypełniającą niebo kulą ognistą, nagle włosy twoje buchają płomieniem. Leżysz bez tchu na bezkresnej równinie gruzów i szarego pyłu, niebo jest smugą rakowatych purpur i brązów.

Patrzysz, jak Szatan i starzec o dzikich oczach dryfują na swoich puchowych obłokach ponad zdewastowaną kulą Ziemi. Szatan wydaje się nieco bardziej zielony niż przedtem i ssie nerwowo sam koniec ogona. Starzec, wyszczerzony w uśmiechu, ciska od czasu do czasu ogniste gromy na małe wysepki zieleni, zmieniając je w szary pył i purpurowo-brunatny ugór.

– Ciach! - chichocze, ciskając grom. – Jak ci się podoba, Żmiju? Mówiłem ci, że jestem wszechmocny. Ani przez chwilę nie mieli szans. Dawaj widły, Karolku! – wyciąga otwartą dłoń lewej ręki.

– Muszę przyznać, że to lepsze niż numer z Ziemią Egipską – mówi Szatan. – Ale... – Wyciąga koniec ogona z ust i wydmuchuje spiczastą strzałę lawendowego dymu, do góry, tuż przed twoim nosem.

Śledząc lot dymnej strzały, dostrzegasz dziesiątki srebrzystych cylindrów, oddalających się w gwiazdną czerń nocy galaktycznej.

– Aaa, to? – mówi starzec, mierząc błyskawicą w flotyllę przerobionych frachtowców asteroidalnych. – Zaraz się tym zajmujemy!

– Momencik, dziadku! – szydzi Szatan. – Tym sposobem nie wolno ci wygrać zakładu!

Kiedy już nie będzie komu się poddawać, wtedy ja wygram, a ty przegrasz.

Trzęsąc się z gniewu, starzec opuszcza gromowładne ramię. Oczy mu latają jak zbiegłe galaktyki, zęby zaciskają się zgrzytliwie, z uszu dobywa się czarny dym.

– Tobie się zdaje, że jesteś okropnie cwany, co? Wydaje ci się, że potrafisz wykrzesać Głos z Trąby Powietrznej, co? Wydaje ci się, że te golone mały mają szansę dotrzeć do następnej zielonej wyspy w swoich blaszanych, sznurkiem powiązanych krypach?

– Jest taki jeden wyjątkowo ładny światek, krąży wokół Tau Ceti; wystarczy im sprzętu, żeby tam dotrzeć – rzecze Szatan, puszczając do ciebie na boku perskie oko.

– Tylko mi nie mów o Tau Ceti! – piekli się starzec. – Jestem wszechmocny, jestem wszechwiedzący, żaden klient tej knajpy nie ma do mnie startu!

Strzela palcami i w jednej chwili ty, on i Szatan znajdujecie się na falującej łące zielono-żółtej trawy, pod niebem barwy błękitu usianym ulotnymi szlaczkami białych obłoków. Ogromne pozłacane drzewa o wyglądzie sosen chwieją się leniwie w delikatnych podmuchach wiatru, a pomiędzy rabatami wielkich pomarańczowych, szmaragdowych, rubinowych i szafirowych kwiatów bujają roje maleńkich tęczowych ptaszków, wypełniających powietrze niesamowitą muzyką. Czerwone, aksamitne, kangurowate stworzenia o natchnionych liliowych oczach, pasą się w najlepsze, skaczą dookoła i trącają się czule długimi ryjkami.

– Oto twój wyjątkowo ładny światek, który krąży wokół Tau Ceti – sarka starzec. – Oto nowy Eden, do którego zmierzają te mały, i nie chwaląc się, muszę powiedzieć, że nie gorszy od tego, co zrobiłem na Ziemi.

– Może nawet lepszy – przyznaje Szatan.

– Tak sądzisz? – ryczy starzec głosem gromu. Przewraca oczami i ciska w powietrze garść błyskawic, wrzeszcząc z purpurową od gniewu twarzą:

– Obróć się w gówno!

W tej samej chwili niebo przybiera barwę niezdrowego – chemicznego fioletu, poznażonego żyłami paskudnych szarych chmur. Zielono-żółta trawa, złociste sosny i barwne kwiaty zmieniają się w śluzowatą brunatną breję, ptaki zaś i czerwone aksamitne kangury ulatniają się w postaci cuchnących purpurowych oparów. Brunatna breja i purpurowe opary mieszają się, zestalają...

A ty, ubrany w ciężki kombinezon kosmiczny, stoisz na bezkresnej równinie purpurowo-czarnej skały, pod okrutnym martwym niebem; jesteś jednym z kilkunastu mężczyzn w kombinezonach, pełzających po trupie planety jak mrówki po wyschlłym gnacie.

Patrzysz, jak Szatan i starzec zawisają na chwilę ponad zmodyfikowanymi frachtowcami asteroidalnymi Karawany, a następnie oddalają się od Tau Ceti V w noc galaktyczną. Ze statków zdaje się unosić szary opar, jakby plexi ich wejść i luków zapaćkały wydzieliny milionów lat rozpaczy.

– Popatrz na nich teraz! – pieje triumfalnie starzec. Strzela palcami i we trzech patrzycie oto z rampy na prymitywny pokład rolny. Zielone porosty na syntetycznej glebie przypominają jakiś niewydarzony grzyb, w powietrzu pachnie ozonem, a widoczni w dole ziemnioryjcy są garbatymi karłami, poruszającymi się niemrawo, jak pod ciśnieniem 4 gs.

– To już nie potrwa długo – mówi starzec. – Do najbliższego świata jaki zmontowałem, jest stąd odległość stulecia. Nikt z nich nie doczeka chwili ujrzenia go, i oni to dobrze wiedzą, oj wiedzą!

Znów strzela palcami i we trzech stoicie przy trzonie pochodni na pokładzie mieszkalnym pierwszej generacji: ponure niebieskie korytarze, ołowiane stropy, paskudne stalowe wykładziny, rzędy identycznych szarych drzwi. Ludzie snujący się bez celu tu i tam są równie wyprani z koloru i życia jak ich otoczenie.

– A zanim zdołają tam dotrzeć ich dzieci, zacnie im wszystkiego brakować – mówi starzec. – Węgla dla ciała. Wapnia dla kości. Fosforu dla soków żywotnych, żelaza dla krwi.

Światło przygasa, ściany pokrywają się mgiełką. Ludzie zaczynają wiotczeć i roztapiać

się, a ty czujesz, jak miękną twoje własne kości, jak krew twoja rzednie w wodę; całe twoje ciało jest jak rozłazący się budyń.

– Sami pomału zamieniają się w gnój – chichocze zjadliwie starzec.

Raz jeszcze strzela palcami – i oto jesteś abstrakcyjnym punktem widzenia u boku starca i Szatana, którzy trwają w zawieszeniu nad dogasającymi światłami Karawany.

– No co, Żmiju, będziesz płacił? – i starzec z pewną miną wyciąga rękę.

– Jeszcze się nie poddali – odpowiada Szatan, ćmiąc czubek ogona.

– Uparty dureń! – rzuca z irytacją starzec.

Szatan wydmuchuje pióropusz lawendowego dymu, któremu nie ma końca. Obłok dymu pęcznieje, narasta i rozwija się w wielką chmurę pary wodnej, która szczelnie otula flotyllę zmodyfikowanych frachtowców asteroidalnych.

– Z nich też uparte durnie! – mówi Szatan. A gdy sinawa chmura rozwiewa się, Karawana jest odmieniona. W miejsce dziesiątków zmodyfikowanych frachtowców asteroidalnych, sunących poprzez kosmos w smudze rozpaczy, pojawiają się setki nowych, zrodzonych w Karawanie, statków-pochodni, skrzących się na tle czarnego aksamitu nocy jak otwarty, piracki kufer z drogocennym łupem, odbywających dumną promenadę poprzez czeluść pod osłoną własnej triumfalnej tęczowej tęczy – błony wodorowej.

Szatan zaśmiewa się, strzela z długiego, krętego ogona jaki bicza i we trzech staje przy olbrzymiej, oplatającej trzon pochodni, spirali pokładu filtracyjnego, pośród zbiorników odzysku materiałów, konsol kontrolnych i meduzowatej głowy zwojów przekaźnikowych. Czujesz w kościach niebywałą moc pochodni, która wnika w ciebie poprzez podeszwy stóp. Szatan władczy gestem ogona wskazuje kolejne zbiorniki.

– Węgiel dla ciała – parodiuje skrzekliwy głos starca. – Wapń dla kości. Fosfor dla soków żywotnych. Żelazo dla krwi. A wszystko to z samego medium międzygwiazdowego, którego się nie pozbędziesz bez zamknięcia całego kramu, Panie Krzaku Gorejący! Oni nie obracają się w proch – oni proch obracają w siebie!

Zanosi się dzikim śmiechem, znów strzela z ogona i staje we trzech w sosnowym lasku na pokładzie rolnym, pod hologramem błękitnego nieba, wdychając wonie rosnącej roślinności.

– Popatrz, popatrz: oni zasadzili ogród na twoim ugorze! – naigrywa się Szatan, skreślając się w pół ze śmiechu na widok purpurowej od gniewu twarzy starca. Jeszcze jedno trzaśnięcie z ogona – i plyniecie oto nad ogromną promenadą wyjątkowo rozjarzonego światłami pokładu rozrywki: restauracje w złocie, szafirach i srebrze, diamentowe stoliki dryfujące na zero-grawitacyjnych płytach, cygańskie tancerki wirujące nieważko w powietrzu, różane fontanny, olśniewająca muzyka, zapach fiesty.

– Popatrz, popatrz! I miasto światła w twojej wiecznej ciemności!

Jeszcze jedno trzaśnięcie z ogona: szybujecie nad centrum Karawany, otoczonym rojem rozjarzonych statków, pod jutrznią błony wodorowej. Szatan wyciąga dłoń do starca.

– Czy to ci wygląda na przygotowania do kapitulacji, Panie Nie Będziesz Miał Innych Przede Mną? Mają wszystko, czego im trzeba – i to wyłącznie z prochu! Mogą tak ciągnąć po wsze czasy. Pobłogosław dłoń moją srebrem, Panie Stworzycielu Wszystkich Rzeczy Widzialnych i Niewidzialnych. Twój synowi i córki wyrwali się spod twojej komendy!

Twarz starca z purpurowej staje się czarna. Z jego nozdrzy bucha ogień. Mierzwa brody skręca się i rozkręca z wściekłym elektrycznym trzaskiem.

– Gdyż jam jest bogiem pomsty i gniewu! – ryczy. – I będę siekł ich i chłostał!

– Nie wysilaj się dla mnie ze swoimi błazeństwami, kabotynie, strata czasu! – szydzi Szatan, wydmuchując kółka lawendowego dymu. – Przyparli cię do muru.

– Tak uważasz, synu? Poczekaj, aż dotrą do kolejnej Ultima Thule! – starzec strzela palcami; łomot burzy – i staje we trzech w niebotycznym grubopiennym lesie, gdzie kora drzew fosforyzuje światłem, a liście, wielkie jak żagle, falują i klaszczą na wietrze. Chłodną

ziemię pokrywa gruby kobierzec brązowej, podobnej do mchu, trawy, pocętkowany czerwonymi, niebieskimi, żółtymi i fioletowymi wachlarzami kwitnących grzybów. Pierzaste żółte i pomarańczowe dwunogi wielkości małych, skaczą górą z liścia na liść, a dołem, w brązowej trawie, tarzają się małe, tłuste, fioletowe kulki futra, podskubując grzyby. Powietrze pachnie cynamonem i jabłkami, a nieznaczne nadbogactwo tlenu sprawia, że głowę masz przyjemnie lekką.

– Niech sam zgadnę... – wzdycha Szatan, cmokając w zamyśleniu czubek ogona.

– Obróć się w gnój! – ryczy starzec, a głos jego jest burzą, która rozdziera niebo. Puszczą krystalizuje się i rozpada w pył, brązowa trawa twardnieje w skale, zaś pierzaste dwunogi i fioletowe kulki futra ulegają dekompresji i eksplodują. Stoisz na równinie brązowej skały, poznaczonej zielonkawymi pasmami, pod niebiesko-czarnym niebem, zanieczyszczonym zielonymi chmurami, a powietrze cuchnie chlorem.

– Robisz w piętę Panie Tyś Był – mówi Szatan. – Twoje ogrody nie są im już potrzebne, gdyż ich jest moc i chwała po wsze czasy, amen.

– Czyżby? – wyszczerza się starzec. – Już im niepotrzebny stary Pan Wszechświata? Czyżby? Za długo byłeś Księciem Łgarzy, synu. Nie rozumiesz, jak ci durnie są zaprogramowani. Gdyż jam ich postawił jednego wbrew drugiemu, a każdego wbrew sobie samemu. To najstarsza sztuczka w całej księdze. Strzela palcami i we trzech stoicie przyparci od zewnątrz do luku pokładu rozrywki przez który z dzikim wraskiem wali tłum ziemiorycjów, roztrzaskując kryształowe stoły, przewracając rzeźby z ognia i potrząsając przy tym buńczucznie krzyżami oplecionymi symul-winoroślą, czemu towarzyszy skandowanie:

– Dostyc statków! Dostyc statków! Ziemia albo śmierć!

– Niepotrzebne im moje ogrody, co? – zachłystuje się starzec. – Wygrywam na ich umysłach jak na harfie, bo to ja stworzyłem ich wszechświat, zewnętrzny i wewnętrzny. – Strzela palcami. – Teraz patrz na swoich władców energii i materii!

Stoisz na gnijącym pokładzie rolnym, wdychając kwaśne powietrze. Sosny skarłały, barwy więdną, a oczy kłaniających się oplecionemu winoroślą krzyżowi ziemiorycjów błyszczą od gorączki.

– Na łokciach i kolanach czołgają się tam, skąd przyszli – rzecze starzec. – Stara śpiewka o poczuciu winy, za każdym razem ich bierze. – Znów strzela palcami i opadasz tunelem windy poprzez kolejne pokłady zadbanego statku. Powietrze jest słodkie, światła czyste i jaskrawe, lśnią wypolerowane powierzchnie z metalu i drogich kamieni, ale papuzi tłum wydaje się być zarażony lękiem, płoszy się z byle powodu, boi się cieni.

– A jeśli nie sięgnie ich prawica, to sięgnie lewica – mówi starzec. – Każdy człowiek jest wyspą, każdy jest sam. Co im ze zdobycia wszechświata, póki ja mam w zastaw ich dusze?

– A co im z tego, że wyrzekną się twojej marnej karczmy w zamian za zdobycie własnych dusz? – odpowiada Szatan, wydmuchując w każdy mijany pokład łańcuch z dymnych kółek. Pierścienie lawendowego dymu osiadają na skroniach ludzi i przemieniają się w srebrne opaski – pierwsze pełne przekaźniki sensoryczne, pierwowzory czujnika. – Strzeż się czujnika! – rzecze Szatan, gdy pierścienie przekaźników wtapiają się w czaszki swoich właścicieli, stając się chirurgicznie wszczepionymi czujnikami. – Oto Deklaracja Niepodległości twojemu scenariuszowi, O Producentach Biblijnych Eposów! Most, który łączy wyspy! Wrota do rzeczywistości, w które ty wnikać nie możesz! Korona stworzenia!

Szatan zwraca się do ciebie, gdy razem wysiadacie z tuby windy na spokojnym pokładzie mieszkalnym – chodniki ze złotych brykietów, wijące się między piernikowymi domkami z ametystu, kwarcu, topazu. Wydmuchuje ku tobie dymne kółko, które osiada na twojej głowie, a następnie wnika w twoją czaszkę.

– I co ty na to, człowieku? – pyta cię, ruchem głowy wskazując starca. – Czy ten tu Merlin Wspaniały jest rzeczywiście Bytem Wszechrzeczy i Końcem Wszechrzeczy, czy też

zwyczajnym kuglarzem?

Szatan wybuchając szaleńczym śmiechem, a wtedy ty strzelasz z własnego ogona, zaśmiewając się szatańsko i wydmuchując starcowi prosto w nos kłęby sinawego dymu, a starzec wybałusza na ciebie rozwścieczonego oczka.

– Gdzie on jest? – pyta starzec.

– Pan pozwoli, że się przedstawię – mówisz.

– Nie będziesz mi tu drwił z Boga! – krzyczy starzec.

– Strzeż się pana przestrzeni nad przestrzeniami i czasów nad czasami – mówisz, kurząc czubek ogona.

Kozłujesz o ziemie fioletową futrzaną kulkę, pod ogromnymi fosforycznymi drzewami. Stoisz na Champs Elysees, w pięknym Paryżu, na Ziemi utraconej. Tańczysz w grand-salonie Jofe D'mahla i częstujesz się olśniewaczem, który w twoich ustach eksploduje w różowo-aksamitne olśnienie, przemieniając cię zarazem w kobietę kochającą się ze złocistym chłopcem na czarnym piasku plaży, nad srebrnym jeziorem, pod księżycami barwy błękitu i pomarańczy. Deską surfingową ze szmaragdowego światła suniesz po wewnętrznej krzywiznie wysokiej na mile fali, która przewala się przez bezbrzeżne turkusowe morze. Wzbijasz się w samo serce błękitno-białego słońca, płoniesz – lecz się nie spalasz.

Jesteś punktem widzenia obok Szatana i starca, którzy unoszą się w tubie windy poprzez pokłady przemienionego statku. Pozbawione wdzięku spodni ziemioryców ustępują miejsca wielobarwnym strojom. Z metalowych pokładów wyrastają drzewa, bluszcz i kwiaty. Ślady korozji znikają z luków pokładów rolnych, krzyże barwy winorośli rozplývają się w powietrzu, a kwaśno cuchnące bagna zmieniają się w wonne ogrody rozkoszy.

Starzec kipi gniewem. Jego czerwona twarz purpurowieje, staje się czarno-ultrafioletowa, zgrzytające zęby sypią skry, a z opuszek palców strzelają mini-błyskawice.

– oni... oni... oni... – duka zaślepiony gniewem, wzrokiem siejąc gromy.

– Tym razem zjedli owoc z Drzewa Stworzenia – szczerzy się w uśmiechu Szatan. – Jak ci się podobają te jabłuszka?

– Za zjedzenie owocu z drzewa Wiadomości Dobrego i Złego wyгнаłem te hołotę z Raju, ogniem i mieczem – ryczy starzec głosem tysiąca nowych. – Za to zemszczę się na nich tak, że tamta kara wyda im się spacerkiem po raj!

Po czym eksploduje w oślepiający błysk, a ty widzisz już tylko gwiazdzisty firmament i olbrzymi grzyb chmury ognia nuklearnego, wysoki na wiele lat świetlnych, skłębiony, nieogarniony – statyczny, wieczny.

– Gdyż teraz stałem się Panem Nieprzyjaciół, Niszczycielem Światów! Przypatrzcie się memu dziełu, o śmiertelni, i pogrąźcie się w rozpacz!

I widzisz, jak Jofe D'mahl przelatuje z szalupy kosmicznej na podest u wejścia "Beli-37". Widzisz, jak wylania się z tuby windy na mostek pokładu statku. Ty sam jesteś Jofe D'mahlem, patrzącym za siebie przez plexi w stronę Karawany – kręgu diamentowej światłości za tęczową gazą błony wodorowej. Na twoich oczach krąg kurczy się powoli w świetlny punkcik, w jeszcze jedną abstrakcyjną gwiazdę zagubioną w czarnych bezmiarach próżni bez granic.

– Obezwładniające, co? – mówi Haris Bandoora, wstępując częściowo w twoje pole widzenia. – Sto milionów gwiazd, planet zapewne tyle samo, i ta jedna jedyna galaktyka – okruch materii pływający w nieskończonej nicości. Niegdyś byliśmy drobinami nic nie znaczącej anomalii zwanej życiem, zanieczyszczającą pyłek kurzu okrążający drobinę materii zagubioną w wiecznej próżni. Teraz nawet tym już nie jesteśmy.

– Jesteśmy liczącym się elementem – mówisz ty.

– Gdybyś wiedział...

– Wiedział – co?

– Usłyszałem wezwanie, Haris – Raj Doru, z ogniem w przenikliwych piwnych oczach,

wyłonił się na mostek i stanął u boku Bandoory.

Stoisz w pęcherzu próżniowym na podeście u wejścia "Beli-37", z Harisem Bandoorą i Rajem Doru. Twoje pole widzenia obejmuje tylko maleńki statek, abstrakcyjne gwiazdy, dwóch mężczyzn i nieskończone nic. Na widok przeraźliwej czeluści odczuwasz zawrót głowy i mdłości.

Doru rozpościera ramiona, włącza polaryzator grawitacji i wyskakuje w czerń próżni.

– Co on robi? – krzyczysz.

– Syci się próżnią – mówi Bandoora. – Odpowiada na wezwanie. Oddali się tak, żeby stracić statek z oczu i pozostanie tam przez jeden standardowy dzień.

– Co on tam będzie robił? – pytasz cicho, patrząc jak Doru niknie w wiecznej nocy.

– Cokolwiek zdarza się między człowiekiem a próżnią, pozostaje między człowiekiem a próżnią. – Dlaczego wy to robicie?

– Każdy ma własny powód, D'mahl. Wezwanie ma wiele głosów. Wkrótce sam je usłyszysz, we własnym języku.

Stoisz na mostku statku zwiadowczego, patrząc jak Haris Bandoora znika w straszliwych oceanicznych Bezmiarach. – Czy słyszysz wezwanie, Jofe D'mahl? – pyta cichy głos Areth Lorenzi, nestorki próżniojadów, stojącej teraz obok ciebie na podobieństwo ucieleśnionej zjawy.

– Nie jestem pewien, co słyszę – mówisz. – Może to tylko moje własne ego. Muszę zarejestrować na taśmie próżniossanie, inaczej cały czas tu spędzony pójdzie na marne.

– To jest wezwanie – mówi ona. – Do każdego przychodzi po linii jego własnego wektora.

– Jest coś, o czym mi nie mówicie.

– Jest, ale żeby to poznać, musisz zasmakować próżni.

Stoisz w swoim pęcherzu próżniowym na podejściu u wejścia "Beli - 37", kolana uginają się pod tobą, patrzysz w bezdenną czeluść, w którą masz zaraz skoczyć, miliony gwiazdnych szpileczek kłują siatkówki twoich oczu, w twoich uszach wyją czarne cisze. Bierzesz wdech i nurkujesz w nieznanie. I oto unosisz się w czystej czarnej nicości, gdzie gwiazdy są okruchami świetlonej materii, oddalonymi o całe nieskończoności, o pustą nieskazitelność czeluści. Nic się nie rusza. Nic się nie zmienia. Nic nie ustępuje. Cisza jest wieczna. Czas nie istnieje.

– Co takiego wiedzą próżniojady? – pytasz w końcu, choćby po to, żeby usłyszeć własny głos. – Co oni takiego słyszą tutaj, w tym nieskończonym nigdzie?

Kosmicznym tworzywem wstrząsa nieokiełznany, potworny śmiech, firmament rwie się na dwie części od olbrzymiej chmury w kształcie grzyba, wysokiej na lata świetlne, która kłębi się i kotłuje, a pozostaje niezmienna, poza czasem.

– Chciałbyś wiedzieć, co wiedzą próżniojady, chciałbyś, nędzny śmiertelniku? – odzywa się głos z kolumny nuklearnego ognia. – Chciałbyś znać prawdę, od której dusza twoja szejnie w grudkę prochu?

I grzyb chmury przemienia się w starca w zszarganej szacie, o długich siwych włosach i brodzie, o wroście mierzonym na parseki, starca, który palcami stóp zmiata gwiazdy, a którego dłonie tworzą mgławice. W oczach starca jarzą się nowe, z opuszków palców strzelają komety, a na obliczu maluje się gniew, doszczętny i wieczny.

– Popatrz no na swój wszechświat, dwunożna małpo, na to, co daje ci teraz, pomocie Adama, i po wsze czasy!

Stoisz na czarnym skalistym urwisku, pod okrutnym, najeżonym promieniami słońcem, krztusząc się próżnią. Stąpasz po wodzie olejowego, żółtego morza, które wypiera twoje ciało, a sine błyskawice rozdierają seledynowe niebo. Wokół ciebie wiruje zielono-niebieski śnieg, a ty czołgasz się przez bezkresną równinę spękanych lodów pod nikłym czerwonym słońcem. Twoje kości trzeszczą pod ciśnieniem 4g, kiedy próbujesz unieść się pod kruszejącym

nawiasem, a odległe niebo o obrzydliwie szarej barwie znaczą paskudne, brunatno-purpurowe smugi.

– Spójrz na swoją ostatnią płonną nadzieję, przekłete stworzenie! – ryczy głos. – Spójrz na swój Eden, 997-Beta-II

I stoisz na spękany szelfie jadowicie zielonej skały, patrząc z góry na chemicznie niebieskie morze. Purpurowe niebo upstrzone jest niebieskimi i zielonkawymi obłokami, a powietrze rozdyma ci płuca, kolana uginają się pod tobą, świadomość zaczyna się oddalać.

Raz jeszcze pływasz w próżni, otoczony galaktycznym grzybem chmury, który przeistacza się w przerażający obraz starca wysokiego na całe lata świetlne. Doszczętna pustka czeluści międzygwiazdnej płonie ogniem promieni X, dobywającym się z czarnych dziur jego oczu, włosy i broda są rozdymającymi firmament grzywami gorejącego do białości płomienia, szpony palców zgniatają kolonie gwiazd, usta przecinają galaktykę blizną śmierci, a gniew jego jest absolutny.

– Proch, śmierzący mikrobie! – wyje głosem, od którego dziesięć tysięcy planet wyskakuje z orbit.

– Wszystko to proch marny! To właśnie wiedzą próznojady. Biada ci, stworzyłem dla ciebie wszechświat, który nie ma końca, czas i przestrzeń bez końca. A w całym tym dziele jeden ogród obfitujący w życie, jedną Ziemię, jeden Eden, który własnymi rękami na zawsze zniszczyłeś. Wszystko inne to proch – pusta próżnia, trujący gaz, martwa materia, światy bez końca, czas bez litości! Patrzcie na dzieła moje, o śmiertelni, patrzcie na swoje wiezienie, i bądźcie pogrążeni w rozpacz!

Od jego śmiechu drży galaktyka, a oczy jego są jak otchłanie piekielne.

Potrząsas głową i uśmiechasz się. Palcem wskazującym prawej ręki mierzysz w piekłącego się kolosa.

– O jednym zapomnisz, kuternogo – mówisz. – To ja stworzyłem te rzeczywistość. Ty nie jesteś rzeczywisty. Ulotnij się, bzduro chorej wyobraźni! I monstualny starzec poczyna się rozplýwać w ogromną sinawą mgłę.

– Może i nie jestem rzeczywisty – mówi – ale na pewno rzeczywista jest sytuacja, w której się znalazłeś. Z niej się wymigaj, pyskaczu! - Znika, dłubiąc kciukiem w nosie.

A ty widzisz Jofe D'mahla, małą figurkę w lśniącym lustrzanym kostiumie, stojącą samotnie w wieczystej czeluści. Odwraca się do ciebie, rośnie, mówi:

*Czyśmy wbrew Fatum nie konspirowali,
A, ujarzmiwszy podły kształt wszechrzeczy,
W kształt marzeń czyśmy go nie przemieniali?*

Lustrzany strój D'mahla sieje błyski w nieskończoność, poprzez barwy widma światła. Z opuszków jego palców strzelają błyskawice, a zorze otaczają pierścieniami jego ciało jak fale błon wodorowych.

– Niech się stanie światłość – powiedzieliśmy dnia pierwszego – i oto jest światłość. Jesteś D'mahlem, wokół ciebie wyrasta nagle drogocenny przepych dwóch tysięcy czterdziestu statków-pochodni.

– Niech się stanie niebo – rzekliśmy dnia drugiego – mówisz, i stoisz oto na pastwisku pełnym łagodnych, purpurowych pagórków, pod tęczowym niebem, w roztańczonym tłumie obywateli Karawany.

– Ziemia. – oto tłum przeniesiony zostaje na "Eizdgin", gdzie ziemioryjcy połączywszy trzy pokłady stworzyli las niebosiężnych sosen i królewskich dębów pod lazurowym niebem.

– Niech się stanie materia i energia bez końca – rzekliśmy dnia trzeciego – mówisz i czujesz moc przepływającą przez twoje ciało, gdy siadasz okrakiem na obniżonym tronie pochodni, gdy sam stajesz się pochodnią, na której jedziesz. – I oto jest materia i energia wiecznotrwała.

A dnia czwartego udaliśmy się na odpoczynek – mówisz dryfując w próżni. – I na

kontemplację tego, czegośmy sami nie stworzyli. Stwierdziliśmy, że jest to pozbawione życia oraz znaczenia i że jest bez nadziei nie doskonałe.

– Dnia piątego zaś – rzecze D'mahl, a ty widzisz go stojącego w czerni, odzianego w strój z tysiąca światła – porzucimy nasze dzieciństwo, bogi i demony, planety i słońca, winy i skruchy. D'mahl stoi przed ogromnym drgającym ekranem, patrząc z góry na trawę i las pokładu rolnego.

– A dnia szóstego, czyż nie powiemy: Niech się stanie życie? I czyż nie stanie się życie?

Niedźwiedzie, krowy, jednorożce, konie, psy, lwy, żyrafy, czerwone aksamitne stworzenia o wyglądzie kangurów, hipopotamy, słonie, tygrysy, bawoły, myszy, kolibry, myszy, zające, gęsi, zebry, kozy, małpy, skrzydlate smoki, tapiry, orły – gnają na łeb na szyję, lądem i powietrzem, z drgającego ekranu, aby wypełnić swoją muzyką lasy i pastwiska.

Jesteś D'mahlem, czujesz, jak moc pochodni przenika twoje ciało, siejesz błyski z opuszków palców, stoisz w samym centrum Karawany, skąpany w świetle, życiu i ruchu. Mówisz:

– A dnia siódmego, czyż nie powiemy: Obyśmy byli płodni i rozmnażali się i zapełniali martwe, nieskończone obszary próżni statkami, życiem i znaczeniem?

I rozpościerasz ramiona, a wokół ciebie eksploduje rój statków-pochodni i Karawana rozkwita w olbrzymią mandalę, wypełniając sobą czerń otchłani, niezmierzoną, otwierającą się w nieskończoność, wieczną.

– I czyż nie będzie to dzień wieczny?

Przekład: Jolanta Kozak

Rok myszy

– Nie zadzieraj z Myszą.

– Nie zadzieraj z Myszą?! Wysyłamy cię pierwszą klasą do Kalifornii, umieszczamy w luksusowym hotelu w Anaheim, a kiedy ściągamy cię z powrotem, żebyś złożył meldunek o sytuacji, raczysz nas zdegenerowanymi taoistycznymi mistycyzmami?

Xian Bai z trudem zapanował nad chęcią poluzowania sztywnego kołnierzyka koszuli; po dwóch tygodniach spędzonych w południowej Kalifornii, gdzie nawet wysocy rangą urzędnicy zjawiali się na ważnych spotkaniach w niezobowiązujących strojach, miał wrażenie, że lada chwila się udusi.

– To nie taoistyczny epigram, tylko dobra rada często powtarzana w amerykańskich kręgach finansowych – wyjaśnił. – Nie znajdzie się tam nikogo, kto uważałby za rozsądne przeciwstawianie się Korporacji Disneya.

Gdyby wiceminister do spraw kontaktów kulturalnych z zagranicą był Długonosym, jego blada twarz z pewnością zrobiłaby się purpurowa z wściekłości. Jednak, mimo braku tej cechy charakterystycznej dla białej rasy, zdołał dość wyraźnie dać wyraz swoim uczuciom, rąbnawszy pięścią w biurko z taką siłą, że filiżanki aż podskoczyły na spodeczkach.

– A czym, twoim zdaniem, jest Chińska Republika Ludowa?! – ryknął. – Jakąś republiką bananową, która siedzi w kieszeni Stowarzyszenia Producentów Owoców? Jest nas ponad miliard dwieście pięćdziesiąt milionów! Jesteśmy największym i najszybciej rozwijającym się rynkiem na świecie! Mamy najliczniejszą armię i broń jądrową! To Mysz powinna się dobrze zastanowić, czy warto z nami zadzierać! – Pociągnął łyk herbaty, uspokoił się nieco i zmierzył Xian Baia pogardliwym spojrzeniem. – Mam nadzieję, że dałeś im to jasno do zrozumienia?

– Oczywiście! – odparł bez wahania Xian Bai.

Jednak jego pewność siebie była mocno naciągana. Dwa tygodnie spędzone w Anaheim, podczas których z trudem zdołał doprosić się o spotkanie z zastępcą kierownika działu marketingu zagranicznego, a szczególnie przebieg i rezultaty tej rozmowy, przekonały go, że potęga, o której z taką dumą mówił minister, jest fikcją.

– Bądź realistą, Xian – poradził mu urzędnik. – Strach przed Żółtym Zagrożeniem i desantem chińskich wojsk na plaży w Orlando odszedł razem z Ronaldem Reaganem. Mielibyście zbombardować "Piratów Mórz Południowych"?

– Ale Chiny są największym na świecie rynkiem zbytu dóbr konsumpcyjnych...

– ...który szczelnie zamknęliście przed nami od czasu awantury o ten film o Dalajlamie. Ovitz wyleciał wtedy z roboty, a nas to nieźle trzepnęło po kieszeni, bo przecież musiał dostać solidną odprawę. – Zastępca kierownika działu marketingu zagranicznego zerknął w górę. – Mówię ci, Michaela mało szlag nie trafił. Nie pomogliście sobie tym posunięciem, chłopcy.

– Więc postanowiliście się zemścić kolejnym filmem?

Amerykanin uśmiechnął się jak Król Lew.

– Tym lepsza zemsta, im wyższy zysk netto.

Słudzy Myszy chętnie pozwolili Xian Baiowi uczestniczyć w przedpremierowym pokazie "Wielkiego Marszu", choć podczas przyjęcia po projekcji (białe wino, dim sum, lo mein i żeberka z grilla), jakiś zniesmaczony amerykański dziennikarz narzekał, że film należy do klasy B, ponieważ po przedpremierowych pokazach filmów klasy A podaje się zazwyczaj homara, kawior i szampana.

Xian Baia niewiele to obchodziło, ponieważ i tak zupełnie stracił apetyt. Nic dziwnego, skoro film okazał się animowaną wersją heroicznego Długiego Marszu z czasów Rewolucji,

ociekającą przesłodzoną muzyką, upiękkszöną infantylną choreografią, z lisem w roli Czou En-laia, ichneumonem w roli Czang Kaj-szeka zgrają rozradowanych mrówek jako żołnierzami Armii Ludowej, a także, o zgrozo, samym przewodniczącym Mao pokazanym jako uśmiechnięta, nieco otyla panda.

– Chyba zdaje pan sobie sprawę, że po premierze tego skandalicznego "dzieła" w Stanach Zjednoczonych nasz rynek zamknie się całkowicie i nieodwołalnie na wszystkie wasze produkty? – zapytał Xian Bai zgodnie z otrzymanymi instrukcjami.

– Nie ma sprawy. Jeśli chcecie, możemy zorganizować premierę w Chinach.

– Z pewnością nie przypuszcza pan, że kiedykolwiek pokażemy ten film chińskiej publiczności?!

– Lepiej być w namiocie i sikać na zewnątrz, niż być na zewnątrz i sikać do środka, jak powiedział wielki Lyndon Johnson.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że tak czy inaczej wejdziemy jednak na wasz rynek, ale wcale nie po to, żeby od razu zgarnąć kupę szmalu. "Długi Marsz" kosztował około pięćdziesięciu milionów, na promocję wydaliśmy trochę mniej niż drugie tyle, a za prawa do rozpowszechniania dostaliśmy już ponad dwieście milionów. Zarobiliśmy ponad sto milionów, zanim jeszcze ktokolwiek obejrzał film. Założę się, że jeszcze przed Gwiazdką dochody tylko ze sprzedaży maskotki Mao wyniosą więcej niż cały budżet filmu.

– Czy... A więc... Zamierzacie sprzedawać przewodniczącego Mao jako wypchaną pandę?

Co prawda Xian Bai uważał się za apolitycznego pragmatyka, lecz coś takiego nawet jemu nie mieściło się w głowie.

– Badania marketingowe wykazały, że dzieciaki oszaleją na jego punkcie. Mao jako pluszowa zabawka zdobędzie dziesięć razy większą popularność niż jako polityk. – Zastępca kierownika działu marketingu zagranicznego pochylił się w stronę gościa. – Mamy jeszcze ciekawsze plany, ale musisz mi obiecać, że nie piśniesz nikomu ani słowa.

– Nie mogę podejmować takich zobowiązań.

Amerikanin wzruszył ramionami.

– Właściwie, co mi tam; lada chwila i tak wszyscy się dowiedzą. No więc postanowiliśmy nie sprzedawać sieciom fastfoodów praw do wykorzystywania wizerunków naszych bohaterów, ponieważ sami wchodzimy w ten interes. Co prawda Myszka Miki, Kaczor Donald i cała reszta starej ekipy są związani długoterminowymi kontraktami, ale Panda Mao...

– Chyba nie mówi pan poważnie!

– Tak, tak, wiem co myślisz: głupie posunięcie, rynek jest przesycony hamburgerami, pizzami, hot dogami, pieczonymi skrzydełkami i licho wie czym jeszcze, ale zapomniałeś o jednym. Nikt nie sprzedaje w ten sposób chińskiego żarcia! Niedźwiadkowe Pagody we wszystkich centrach handlowych na świecie! Panda Mao w każdym supermarkecie! Tylko patrzeć, jak stary biedny Ronald McDonald skoczy na łeb ze swoich złotych łuków.

Chociaż Xian Bai przedstawił starannie ocenioną i znacznie złagodzoną wersję tej rozmowy, wiceminister do spraw kontaktów kulturalnych z zagranicą i tak długo nie mógł dojść do siebie.

– Czy oni naprawdę myślą, że ujdzie im płazem taka zniewaga wyrządzona Państwu Środka? Jak to możliwe, żeby amerykański rząd dopuścił do czegoś takiego? Chyba dałeś im do zrozumienia, że nasze sankcje mogą dotknąć również inne amerykańskie firmy?

Xian Bai żałośnie skinął głową.

– I co?

Xian Bai westchnął i wbił wzrok w blat biurka.

– Wystosowali własne ultimatum.

– Ultimatum? – wykrztusił z niedowierzaniem wiceminister.

– Chińska Republika Ludowa musi wyrazić zgodę na rozpowszechnianie "Długiego Marszu" w liczbie co najmniej tysiąca kopii, przekazać nieodpłatnie tereny pod budowę co najmniej tysiąca Niedźwiadkowych Pagód oraz trzech Disneylandów w Szanghaju, Pekinie i Hongkongu, przyznać całkowite zwolnienie od podatków na pięćdziesiąt lat, a także przekazać Korporacji Disneya sześćdziesiąt procent wpływów brutto z rozpowszechniania filmu, bo w przeciwnym razie...

– Co?

– Bo w przeciwnym razie, jak mi powiedziano, Myszka Miki zaryczy, Kaczor Donald tupnie, Dumbo wzbije się w powietrze, a Wielki Zły Wilk tupnie, chuchnie i domek nam zdmuchnie.

Początkowo wyglądało to tak, jakby z kilku stron do Chin zbliżały się groźne fronty burzowe, ale wkrótce obawy ustąpiły miejsca zdumieniu i radości, kiedy rzekome chmury okazały się zgrupowaniami setek tysięcy czarnych, identycznych latawców.

Każdy był podobizną pewnej słynnej na całym świecie myszy.

Jednak po bliższym przyjrzeniu się stwierdzono, że to wcale nie latawce, tylko...

– Balony! – wykrzyknął wiceminister do spraw kontaktów kulturalnych z zagranicą. – Miliony balonów na chińskim niebie!

– To istotnie zabawne – odparł Xian Bai – chociaż nie rozumiem...

– Zabawne! – zawył wiceminister, sięgnął do kieszeni i wydobył sflaczały przedmiot, który najwyraźniej wywoływał w nim gwałtowną odrazę. – Po wypuszczeniu powietrza zmniejszają się do rozmiarów portfela biedaka. Wystarczy parę dmuchnięć, żeby napęcznieć ponownie.

Natychmiast zademonstrował ten nieskomplikowany proces; po chwili trzymał w rękach podobiznę słynnej myszy nieco większą od piłki futbolowej.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co to jest, ty kretynie? – zawarczał.

Xian Bai z udręką wpatrywał się w balon, lecz nie był w stanie dostrzec niczego nadzwyczajnego... No, może z wyjątkiem nosa gryzonia, który nie był czarny, lecz srebrzystostalowy i wydawał się wypełniony jakimiś elektronicznymi podzespołami.

– To antena satelitarna, matole! – zawył wiceminister.

Nawet jeśli duch przewodniczącego Mao niechętnie spogląda z góry na ten spektakl, to duch Deng Xiao-pinga z pewnością jest zadowolony, myślał Xian Bai, przecinając wstęgę podczas uroczystego otwarcia piątej Niedźwiadkowej Pagody. W każdym razie ogromna pluszowa Panda Mao uśmiechała się dobrodusznie z podium przy głównym wejściu. Bądź co bądź sam wielki Lenin powiedział przecież, że nie da się zrobić rewolucji, nie tłukąc przy okazji kilku jaj, choć przepisy kulinarne zawarte w "Małej Czerwonej Książeczce Pandy Mao" bynajmniej nie nakłaniały do rozrzutnego stosowania tego kosztownego surowca.

Częściowo za karę, a częściowo dlatego, że nie było nikogo, kto by się do tego lepiej nadawał, Xian Bai został wysłany z powrotem do Anaheim, by ponownie stawić czoło sługom Myszy. Tym razem jednak odbył podróż maszyną znacznie mniej renomowanego przewoźnika, w klasie turystycznej, zamieszkał w obskurnym motelu w Santa Ana, a kiedy wreszcie udało mu się pokonać liczne biurokratyczne przeszkody i przebić się na najniższy szczebel kierowniczy, został skierowany do wydziału prawnego i trafił tam na człowieka o twardym spojrzeniu, uzbrojonego w krawat i okulary w stalowych oprawkach.

- Nie pogwałciliśmy żadnych umów, konwencji ani prawa międzynarodowego – oświadczył stanowczo urzędnik. – Balony zostały wypuszczone w międzynarodowej przestrzeni powietrznej.

– I przypadkowo nadleciały nad Chiny?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Ręka boska. Oczywiście możecie wytoczyć proces papieżowi – jeśli pan chce, służę wizytówką brata – ale z nami niczego nie zwojujecie.

– Mimo tego, że konwerter anteny odbiera wyłącznie Disney Channel, który, oczywiście zupełnie przypadkowo, właśnie teraz zaczął nadawać po kantońsku i mandaryńsku?

– Satelita wisi na orbicie geostacjonarnej, w przestrzeni nie podlegającej jurysdykcji żadnego państwa. Mamy prawo nadawać co chcemy, w dowolnym języku.

– Ale obywatele Chin nie mają prawa posiadać indywidualnych anten do odbioru programu satelitarnego ani oglądać audycji zagranicznych nadawców!

Prawnik zademonstrował porcelanowy krokodyli uśmiech będący niezaprzeczalnym dowodem wysokiego kunsztu zawodowego stomatologów z Beverly Hills.

– To już wasz problem – oznajmił. – Naszym problemem jest brak waszej zgody na rozpowszechnianie "Długiego Marszu" w Chinach oraz fakt, że bezprawnie zagarniacie większość dochodów z funkcjonowania Niedźwiadkowych Pagód. – Uśmiech znikł, ale krokodyl pozostał. – Jeśli do dnia światowej premiery filmu nasz problem nie zniknie, wasz stanie się znacznie bardziej dokuczliwy.

– Jak to?... – wyjąkał Xian Bai.

Czy sytuacja mogła się pogorszyć? Przecież i tak nie było możliwości skonfiskowania milionów balonowych anten; wystarczyło, że pojawiła się milicja, a z anten natychmiast spuszczano powietrze, by napełnić je ponownie, jak tylko znikło zagrożenie. Setki milionów Chińczyków oglądały transmisje z Disneylandów, kreskówki i pełnometrażowe filmy fabularne, zapowiedzi "Długiego Marszu", reklamy Niedźwiadkowych Pagód. Coraz głośniej wyrażano żądania otwarcia Chin dla sług Myszy, a według najnowszych badań już co najmniej czterdzieści jeden milionów Chińczyków święcie wierzyło, że przewodniczący Mao przyszedł na świat jako czarno-biała panda.

– Dużo bardziej – potwierdził krokodyl bez uśmiechu. – Możemy za darmo oddać czas antenowy Dalajlamie. Możemy pokazywać wideoklipy z masakry na placu Tien An Men, z muzyką Nine Inch Nails. Możemy puszczać stare filmy z Charlie Chanem, a jeśli to wszystko nie da rezultatu, pozostanie nam jeszcze broń ostateczna.

– To znaczy?

– Nadamy pierwsze dwadzieścia minut "Długiego Marszu" w czasie niekodowanym, resztę zakodujemy, zmusimy Chińczyków do kupienia kosztownych dekoderów, a winą obarczymy partię komunistyczną. – Uśmiech zjawił się ponownie. – Naprawdę uważa pan, że jakkolwiek rząd przetrwa takie trzęsienie ziemi?

– Nie zadzieraj z Myszą... – westchnął Xian Bai.

– Dobry pomysł – zgodził się prawnik. – Nawiasem mówiąc, za pięć procent od obrotu mógłbym pomóc wam jakoś z tego wybrnąć. Ręka rękę myje, jak mówi stare chińskie przysłowie.

Parę tysięcy lat burzliwej historii nauczyło mieszkańców Państwa Środka, że najważniejszy jest rezultat uzyskany po ostatecznym obliczeniu wszystkich wpływów i wydatków. Można chyba powiedzieć, że to właśnie Chińczycy są autorami takiej filozofii życiowej – szczególnie jeśli za jej skutecznością przemawiają spore profity.

Tym klientom Niedźwiadkowych Pagód, którzy mieliby problemy z jej zaakceptowaniem, "Mała Czerwona Książeczka Pandy Mao" dostarczała nie tylko przepisów kulinarnych i praktycznych porad, ale także ideologicznego wytłumaczenia. Bądź co bądź fast food również jest chińskim wynalazkiem. Dim sum, zupa wonton, warzywa smażone z dodatkiem drobno pokrojonego mięsa, są znacznie bardziej ekologiczne i pożywniejsze niż hamburgery, pizze i rozmaite pieczone części kurczaków. A ponieważ składniki są tańsze, zysk jest nieporównanie większy.

Dzisiaj Chiny, a jutro cały świat, obiecał przewodniczący Panda Mao.

Jakie ma znaczenie, że w "Małej Czerwonej Książeczce Pandy Mao" zacytowano bez podawania źródła wypowiedzi Konfucjusza, Lao Tse albo nawet samego Buddy? Najważniejsze, że słowa Pandy Mao tchną niewzruszoną prawdą.

Mędrzec mądrze czyni, czyniąc dobro.

To w zupełności wystarczyło, żeby Xian Bai był zawsze uśmiechnięty podczas częstych wizyt w banku.

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik